

Sue Grafton

alfabet
zbrodni

D jak **dtużnik**



Grafton Sue

Alfabet zbrodni Kinsey Millhone 04

D jak dłużnik

To miało być proste zlecenie: doręczyć czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Kinsey Millhone, wiedzona kobiecą intuicją i doświadczeniem detektywistycznym, przeczuwała jednak, że może się spodziewać komplikacji, które niebawem nastąpiły – zleceniodawca zginął w tajemniczych okolicznościach, a próba wyjaśnienia jego śmierci okazała się dopiero wstępem do mrocznej i niezwykle zawikłanej historii.



ROZDZIAŁ 1

PÓŹNIEJ dowiedziałam się, że naprawdę nazywał się John Daggett, ale w dniu, w którym stanął w drzwiach mojego biura, przedstawił się innym nazwiskiem. Od początku coś mi w nim nie pasowało, ale nie potrafiłam określić, w czym rzecz. Robota, do której mnie wynajął, wydawała się dziecinnie prosta, chociaż niedługo potem okazało się, że dupek próbował wykpić się od płacenia. A gdy się pracuje na własny rachunek, nie można sobie pozwolić na takie numery. Wieści szybko się roznoszą i zaraz wszyscy wiedzą, że można cię wykiwać. Dlatego nie zamierzałam mu odpuścić. Chciałam tylko odzyskać pieniądze, a tymczasem wpakowałam się w kabałę, której skutki odczuwam do dziś.

Nazywam się Kinsey Millhone. Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem z prawem wykonywania zawodu w stanie Kalifornia. Wynajmuję małe biuro w Santa Teresa, gdzie mieszkam od urodzenia. Mam trzydzieści dwa lata. Dwukrotnie zamężna i rozwiedziona. Aktualnie jestem sama, ale nieźle sobie radzę. Przyznaję, czasami bywam niezdolna, ale zwykle nie mam specjalnych wymagań, jeśli nie liczyć chyba zbyt przesadnej potrzeby niezależności. Poza tym jestem cholernie uparta i nie znoszę podporządkowywać się innym. Mimo niezłego wykształcenia i ukończenia akademii policyjnej cechy te czynią ze mnie idealną kandydatkę na prywatnego detektywa. Rachunki płacę w terminie, staram się przestrzegać prawa i oczekuję, że inni będą postępować podobnie - choćby ze zwykłej przyzwoitości. Jeśli chodzi o sprawiedliwość, trzymam się surowych zasad, aczkolwiek potrafię kłamać na zawołanie. Ta niekonsekwencja nigdy mnie nie deprymowała.

Wszystko zaczęło się w końcu października, w przeddzień Halloween. Pogoda przypominała jesień na środkowym zachodzie - było chłodno, ale słonecznie i rześko. Mogłabym przysiąc, że w drodze do centrum czułam w powietrzu zapach palonych ognisk. Miałam wrażenie, iż liście na drzewach lada chwila zżółkną i poczerwienieją. Niestety, jedyne drzewa, jakie widziałam, to były palmy, monotonnie zielone. Letnie upały już minęły, a deszcze jeszcze do nas nie dotarły. Typowa kalifornijska pogoda, ni to lato, ni zima, ale w powietrzu wyczuwałam jesień. Wprawilo mnie to w doskonały nastrój i pomyślałam, że może po południu wybiorę się na strzelnicę.

Był sobotni poranek. Przyszłam do pracy, żeby podgonić papierkową robotę - zrobić porządek w rachunkach i przygotować rozliczenie miesięczne. Siedziałam za biurkiem z kalkulatorem pod ręką. Przede mną stała maszyna do pisania z wkręconym formularzem do wypełnienia, a po lewej stronie leżały cztery zaadresowane i gotowe do wysłania koperty z oświadczeniami podatkowymi. Byłam tak pochłonięta pracą, że dopiero ciche chrząknięcie uświadomiło mi, iż ktoś stoi w drzwiach. Podskoczyłam jak oparzona. Nieznajomy uznał to najwyraźniej za zabawne, ale ja potrzebowałam dłuższej chwili, żeby uspokoić rozdygotane serce.

- Nazywam się Alvin Limardo - oznajmił mężczyzna. - Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem.

- Nic nie szkodzi - odparłam. - Po prostu nie wiedziałam, że pan tu stoi. Przyszedł pan do mnie?

- Jeśli pani jest Kinsey Millhone, to tak.

Wstałam, wyciągnęłam rękę na powitanie i poprosiłam, żeby usiadł. Nie wiem dlaczego pomyślałam, że to jakiś bezdomny, bo nic w jego wyglądzie nie potwierdzało moich domysłów.

Miał około pięćdziesiątki i był wychudzony. Twarz pociągła, z wysuniętym podbródkiem. Miał krótko przystrzyżone, szpakowate włosy, pachniał cytrynową wodą kolońską. Oczy brązowe, o nieobecny spojrzeniu. Ubrany w garnitur o nieokreślonym odcieniu zieleni. Miał duże dłonie i długie palce z wyraźnie zaznaczonymi stawami. Chociaż ubranie nie było zniszczone, gołe nadgarstki wystające z przykrótkich rękawów marynarki nadawały mu mocno zaniedbany wygląd. W ręce trzymał jakiś świstek papieru złożony na czworo, którym bawił się bezmyślnie.

- W czym mogę pomóc? - spytałam.

- Chcę, żeby pani to komuś dostarczyła. - Rozprostował kartkę i położył ją na biurku. Był to czek gotówkowy opatrzony wczorajszą datą, wystawiony na bank w Los Angeles, dla niejakiego Tony'ego Ga-hana, i opiewał na sumę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

Próbowałam ukryć zdumienie. Facet nie wyglądał na kogoś, kto ma tyle pieniędzy. Może pożyczył je od tego Gahana i teraz zwraca dług?

- Powie mi pan, o co chodzi?

- Wyświadczył mi przysługę i chcę mu podziękować. To wszystko.

- To musiała być niezła przysługa - zauważyłam. - Mogę spytać, co takiego dla pana zrobił?

- Okazał mi życzliwość, gdy zawiodło mnie szczęście. A do czego ja jestem panu potrzebna?

Uśmiechnął się przelotnie.

- Adwokat zażyczyłby sobie sto dwadzieścia za godzinę. Zakładam, że pani bierze mniej.

- Takie zlecenia wykonuje firma kurierska - powiedziałam. - A najtaniej będzie, jak pan sam doręczy ten czek. - Musiał uznać mnie za niezbyt rożgarniętą, ale naprawdę nie rozumiałam, do czego potrzebny mu prywatny detektyw.

Odchrząknął i powiedział:

- Próbowałem, ale niestety nie znam aktualnego adresu pana Gahana. Kiedyś mieszkał przy Stanley Place, ale się wyprowadził. Byłem tam dziś rano i nie zastałem nikogo. Wygląda na to, że od dłuższego czasu dom stoi opuszczony. Chcę, żeby ktoś go odnalazł i dopilnował, by otrzymał te pieniądze. Proszę powiedzieć, ile to będzie kosztować, wypłacę pani zaliczkę.

- To zależy, ile czasu zajmie mi wytropienie pana Gahana. Może w urzędzie meldunkowym albo w wydziale komunikacji mają jego aktualny adres. Sporo da się załatwić przez telefon, lecz i tak zajmie to trochę czasu. Na początek trzydzieści dolarów za godzinę, ale stawka może wzrosnąć.

Wyjął książeczkę czekową i zaczął wypisywać czek.

- Dwieście dolarów?

Lepiej czterysta. Jeśli okaże się, że to za dużo, zwrócę panu nadpłatę - powiedziałam. - A przy okazji przypominam, że muszę trzymać się przepisów, więc mam nadzieję, że nie jest to żadna śmierdząca sprawa. Wolalabym, żeby powiedział mi pan całą prawdę.

I tu mnie zastrzelił - jego wytłumaczenie było na tyle niezwykle, że trafiło mi do przekonania. Chociaż sama kłamię jak najęta, nie podejrzewałam, że można tak zręcznie przemieszać prawdę z fałszem.

- Jakiś czas temu popadłem w konflikt z prawem i wylądowałem w więzieniu. Niedługo przed aresztowaniem Tony Gahan pomógł mi. Nie wiedział o mojej sytuacji, więc na pewno nie zrobił tego z wyrachowania. Czuję, że mam wobec niego dług.

- Dlaczego nie chce pan załatwić tego osobiście? Zawahał się, po czym odparł z wyraźnym zażenowaniem;

- To trochę tak, jak w tej powieści Dickensa „Wielkie nadzieje”. Może mieć opory przed przyjmowaniem czegokolwiek od przestępcy. Ludzie nie przepadają za byłymi więźniami.

- A co, jeśli nie zechce przyjąć prezentu od nieznanego ofiarodawcy?

- Wówczas zwróci mi pani czek i zatrzyma zaliczkę.

Kręciłam się niespokojnie na krześle. Coś tu nie gra, pomyślałam.

- Skoro siedział pan w więzieniu, skąd ma pan te pieniądze?

- Z Santa Anita. Jestem na warunkowym i nie powinienem stawiać na wyścigach, ale trudno mi się powstrzymać. Właśnie dlatego wolę, żeby te pieniądze były u pani. Jestem hazardzistą. Nie mogę mieć takiej forsy przy sobie, bo, proszę wybaczyć wyrażenie, z miejsca ją przepie-przę. - Spojrzał na mnie, oczekując dalszych pytań. Widać było, że zamierza mi powiedzieć tylko tyle, ile będzie konieczne, aby rozwiązać moje wątpliwości. Zadziwiający był jego spokój i cierpliwość. Naturalnie dopiero po fakcie zrozumiałam, iż jego wyrozumiałość wynikała zapewne z zadowolenia, że udało mu się wcisnąć mi taki kit. Musiał nieźle się bawić, prowadząc tę grę. Kłamanie to świetna zabawa - sama mogłabym robić to przez całe życie.

- Za co pana skazano? - zapytałam.

Opuścił wzrok i zwracając się do swoich wielkich dłoni złożonych na brzuchu, odparł:

- To nie ma nic do rzeczy. Pieniądze są czyste, zdobyłem je w uczciwy sposób. W tej transakcji nie ma nic nielegalnego, jeśli to panią martwi.

Pewnie, że mnie martwiło, aczkolwiek zastanawiałam się, czy nie przesadzam z podejrzliwością. Obiektywnie patrząc, w jego prośbie nie było nic złego. W myślach rozważałam wszystkie za i przeciw, próbując zgadnąć, co takiego zrobił Tony Gahan dla Limarda, że ten czuje się w obowiązku spłacić dług w ten sposób. Doszłam do wniosku, że dopóki wszystko jest legalne, nie jest to moja sprawa. Intuicja podpo-

wiadala mi, że powinnam pozbyć się tego faceta, ale nazajutrz przypadał termin płacenia czynszu za mieszkanie. Miałam jakieś pieniądze na rachunku bieżącym, ale niespodziewany zastrzyk gotówki na pewno by się przydał. Doszłam do wniosku, że nie widzę żadnych powodów, by nie przyjąć tego zlecenia.

- W porządku - powiedziałam na głos. Skinął głową, wyraźnie usatysfakcjonowany.

- Świetnie.

Obserwowałam, jak składa swój podpis na czeku. Wydarł go z książeczki i przesunął w moim kierunku, chowając książeczkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Jeśli będzie się pani chciała ze mną skontaktować, na czeku jest mój adres i numer telefonu.

Wyjęłam standardowy formularz zlecenia z szuflady biurka i przez kilka minut wypełniałam rubryki. Mężczyzna podpisał go i podał mi ostatni znany adres Tony'ego Gahana - w Colgate, miasteczku położonym kilka mil na północ od Santa Teresa. Podświadome obawy nie opuszczały mnie i zaczęłam żałować, że zgodziłam się przyjąć to zlecenie. Ale wytłumaczyłam sobie, że skoro umowa została podpisana, spróbuję wyciągnąć z niej jak najwięcej. W końcu to nic wielkiego, myślałam.

Mężczyzna wstał. Ja też podniosłam się z za biurka i odprowadziłam go do drzwi. Dopiero teraz, gdy oboje staliśmy, zobaczyłam, że jest ode mnie dużo wyższy. Ja miałam pięć stóp i sześć cali, a on musiał być co najmniej sześć cali wyższy. Przy drzwiach zatrzymaj się na moment i znowu spojrział na mnie tym dziwnym, nieobecnym wzrokiem.

- Może powinienem powiedzieć pani jeszcze coś o Tonym Gahanie - powiedział.

- Co takiego?

- On ma piętnaście lat.

Stałam w otwartych drzwiach i patrzyłam, jak Alvin Limardo odchodzi powoli korytarzem. Że też nie zawołałam go z powrotem! Już wtedy powinnam się była domyślić, że szykują się kłopoty. Ale nie zrobiłam tego. Zamknęłam drzwi i wróciłam do biura. Pod wpływem nagłego impulsu otworzyłam drzwi na balkon i wyjrzałam na ulicę. Nigdzie ani śladu mojego gościa. Potrząsnęłam głową z rozczarowaniem.

Schowałam czek do szafki zamykanej na klucz. W poniedziałek zaniósę czek do banku i schowam w swojej skrytce do czasu, aż znajdę Tony'ego Gahana i będę mogła mu go wręczyć. Piętnaście lat?

W południe zamknęłam biuro i poszłam na parking, gdzie zostawiłam samochód - rozpadającego się volkswagena, na którym z trudem można było doszukać się śladów oryginalnego lakieru. Z pewnością nie jest to samochód, którym można startować w rajdzie, ale z drugiej strony trudno szukać rajdowych emocji w pracy detektywa. Czasami dostarczam pozwy sądowe, co bywa uciążliwe, ale na co dzień zajmuję się zbieraniem informacji na temat pracowników i pracodawców, poszukiwaniem zaginionych osób oraz pomagam kilku miejscowym adwokatom w wyszukiwaniu dowodów i świadków. Biuro wynajmuję od firmy ubezpieczeniowej California Fidelity Insurance, dla której sama niegdyś pracowałam. Siedziba firmy znajduje się w sąsiedztwie. Od czasu do czasu zbieram dla nich informacje, w zamian udostępniają mi dwa całkiem przyzwoite pomieszczenia, jedno od frontu, drugie z tyłu budynku, z osobnym wejściem i balkonem wychodzącym na State Street.

Poszłam na pocztę wysłać listy, a potem wstąpiłam do banku i wpłaciłam na swoje konto czterysta dolarów od Alvina Limarda.

W czwartek, następnego tygodnia, dostałam oficjalne pismo z banku, w którym informowano mnie, że czek nie został zaakceptowany. Zgodnie z posiadanymi przez nich danymi, Al viii Limardo zlikwidował swoje konto. Na dowód załączono tenże czek ostemplowany na czerwono, co miało zapewne oznaczać, że bank czuje się zdegustowany.

Podobnie jak ja.

Moje konto uszczuplono o czterysta dolarów, a na dodatek kazano mi zapłacić dodatkowe trzy - pewnie po to, bym zapamiętała sobie na przyszłość, żeby nie zadawać się z bankrutami. Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer telefonu Alvina Limarda, podany na czeku. Linia została odłączona. Byłam na tyle przezorna, że zdecydowałam, iż poczekam z rozpoczęciem poszukiwań Tony'ego Gahana, aż czek zostanie zinkasowany, więc przynajmniej nie napracowałam się na darmo. Ale w jaki sposób mam wymienić czek? No i co zrobić z dwudziestopięciotysięczną darowizną? Na razie czek spoczywał bezpiecznie w skrytce bankowej, ale nie miałam z niego żadnego pożytku, a nie zamierzałam doręczyć go, dopóki nie zyskam pewności, że dostanę swoje honorarium. Teoretycznie mogłabym napisać do Alvina Limarda i wysłać mu rachunek, ale najprawdopodobniej wróciłby do mnie równie szybko, jak czek. To na nic. Musiałam osobiście pojechać do Los Angeles. Jednego już się nauczyłam na temat odzyskiwania długów - im szybciej się działa, tym większe ma się szanse.

Sprawdziłam jego adres w podręcznym atlasie ulic Los Angeles. Nawet na mapie okolica nie wyglądała na ekskluzywną. Rzuciłam okiem na zegarek - było piętnaście po dziesiątej. Jazda do LA zajmie mi co najmniej półtorej godziny, kolejnej godziny potrzebuję na znalezienie ulicy, dorwanie Limarda i zmuszenie go do przepisania czeku. Może uda się jeszcze zjeść lunch. A potem kolejne dziewięćdziesiąt minut na powrót do domu. Jak dobrze pójdzie, będę w biurze koło czwartej. Całkiem nieźle. Nie miałam wielkiej ochoty na tę wyprawę, ale ponieważ była konieczna, doszłam do wniosku, że nie ma na co czekać -trzeba brać byka za rogi.

Zatankowałam samochód i o dziesiątej trzydzieści byłam już w drodze do Los Angeles.

ROZDZIAŁ 2

W SHERMAN OAKS zjechałam z Ventura Freeway na autostradę San Diego. Jechałam nią na południe do Venice Boulevard, gdzie po zjeździe z estakady skręciłam w prawo. Według moich obliczeń Limardo mieszkał gdzieś w pobliżu. Zawróciłam na ulicę Sawtelle, biegnącą równoległe do autostrady.

Kiedy w końcu zobaczyłam ten budynek, uświadomiłam sobie, że widziałam jego tył z autostrady. Pomalowano go na dziwny pastelowy kolor, a fasadę zdobiła wątpliwa dekoracja w postaci wściekle pomarańczowego transparentu z napisem MIESZKANIA DO WYNAJĘCIA. Od ulicy oddzielał go betonowy krawężnik i wysoki na dziesięć stóp mur, który miał go izolować od zgiełku pędzących samochodów. Okoliczni mieszkańcy uznali go za swego rodzaju tablicę ogłoszeniową i pokryli często niecenzuralnymi napisami. U podstawy muru walczyły o przetrwanie anemiczne chwasty, a na kilku krzewach, które oparły się działaniu spalin, wisały niczym dokoracja wszelkiego rodzaju śmieci. Od razu zauważyłam ten budynek, ponieważ był typowy dla Los Angeles: obdrapane ściany, odpadający tynk, kiepska konstrukcja. Z tyłu wyglądał paskudnie, ale z przodu prezentował się jeszcze gorzej.

Zabudowę tej ulicy stanowiły przede wszystkim standardowe kalifornijskie „bungalowy”: małe drewniano-gipsowe domki z dwoma sypialniami, wygrabionym podjazdem i ogrodem pozbawionym drzew. Większość z nich pomalowano na mdły odcień turkuszu lub różu, spod którego przebijał kolor poprzedniej farby. Znalazłam wolne miejsce po drugiej stronie ulicy, zamknęłam samochód i ruszyłam w kierunku kamienicy.

Budynek wyraźnie popadał w ruinę. Sztukateria była mocno wybrakowana i pokryta łuszczącą się farbą, a aluminiowe ramy okien powyginane i pordzewiałe. Żelazną furtkę w pobliżu wejścia wyrwano z muru, pozostawiając w nim dziury wielkości pięści. Okna dwóch mieszkań w suterenie zabito deskami. Właściciel budynku pomyślał o ustawieniu przy schodach kilku kubłów na śmieci, lecz najwyraźniej zapomniał, że należy je opróżniać. Duży żółty pies z zapalem grzebał w stercie odpadków, choć najwyraźniej jego wysiłek nagrodzony został jedynie kawałkiem pizzy, która zwisała mu z pyska niczym kość.

Podeszłam do schodów. Większość skrzynek pocztowych w holu została pozbawiona zamknięcia, a ich zawartość poniewierała się po podłodze. Zgodnie z adresem podanym na czeku, Limardo mieszkał pod numerem 26, zapewne na którymś z wyższych pięter. W budynku było czterdzieści mieszkań, ale zaledwie kilka skrzynek pocztowych opatrzone tabliczkami z nazwiskiem lokatora. Zdziwiło mnie to. W Santa Teresa nie ma co liczyć na otrzymanie poczty, jeśli nie ma się porządnej, zamykanej na klucz skrzynki pocztowej. Wyobraziłam sobie, jak listonosz wchodzi do tego budynku, wyrzuca na podłogę zawartość torby i czym prędzej ucieka, zanim lokatorzy opadną go jak muchy.

Dom był zbudowany na planie czworoboku. Mieszkania rozmieszczono z czterech stron wokół wewnętrznego „dziećnińca”, wyłożonego żwirem i płytami chodnikowymi, poprzerastanymi kępami trawy. Ruszyłam w górę splekanymi, betonowymi schodami.

Na podeście drugiego piętra natknęłam się na starego Murzyna, który siedział na składanym metalowym krześle i rzeźbił coś nożem w kostce białego mydła. Na kolanach rozłożył gazetę, na którą spadały wióry odcinanego mydła. Mężczyzna był masywny, nieforemny, około pięćdziesiątki. Krótkie, kędzierzawe włosy, posiwiałe na skroniach; oczy w kolorze przybrudzonego brązu, jedna powieka ściągnięta do dołu przez bliznę biegnącą w poprzek policzka.

Obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem, po czym znów skupił uwagę na kawałku mydła.

- Pewnie szukasz Alvina Limarda - odezwał się po chwili.
- Tak - odparłam zaskoczona. - Skąd pan wie?

Uśmiechnął się półgębkiem, ukazując zęby równie białe jak mydło, które trzymał w dłoniach. Wykrzywił twarz i miałam wrażenie, że mrugnął do mnie zdeformowaną powieką.

- Kotku, nie mieszkasz tutaj. Znam wszystkich lokatorów. Nie wyglądasz też na taką, która chciałaby wynająć tu mieszkanie. Gdybyś znata dokładny adres, poszłabyś tam prosto, a nie rozglądała się dokoła, jakbyś oczekiwała, że ktoś się na ciebie rzuci. Zamilkł i zmierzył mnie uważnym spojrzeniem. - Na mój gust jesteś z opieki społecznej albo wydziału zwolnień warunkowych. A może jesteś kuratorem?

Nieźle - pochwaliłam. - Ale dlaczego powiedział pan Limardo? Skąd przypuszczenie, że szukam właśnie jego?

Znowu uśmiechnął się szeroko, odsłaniając różowe dziąsła.

- Tu wszyscy nazywają się Alvin Limardo. To taki dowcip. Używamy tego nazwiska do załatwiania różnych spraw. Sam w zeszłym tygodniu byłem Alvinem Limardem, gdy dawali darmowe kupony na żarcie. Limardo dostaje чеки z opieki społecznej, renty dla weteranów, emerytury. W zeszłym tygodniu ktoś przyniósł nakaz aresztowania. Powiedziałem, że go nie ma. Poszedł sobie. Teraz nie ma tu żadnego Limarda. Ten, którego szukasz, to biały czy czarny?

- Biały - powiedziałam i opisałam mężczyznę, który odwiedził moje biuro w sobotę. W połowie opisu Murzyn zaczął potakiwać, nie przerywając przy tym rzeźbienia. Z kawałka mydła wyłaniała się postać maciory karmiącej małe. Całość nie miała więcej jak cztery cale długości.

To John Daggett. Uuu... to paskudny facet. Musi być, że jego szukasz, ale on się stąd wyniósł.

- Nie wie pan dokąd?

- Mówią, że do Santa Teresa.

- Tak. Wiem, że był tam w zeszłą sobotę. Spotkałam go - odpowiedziałam. - Czy od tego czasu pokazał się tutaj?

Mężczyzna sceptycznie wydał wargi.

- Widziałem go w poniedziałek, a potem znowu wyjechał. Pewno nie tylko ty go szukasz. Wygląda, że bardzo mu się spieszyło. A czego od niego chcesz?

- Zapłacił mi lewym czekiem. Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

Wzięłaś czek od takiego faceta? Na Boga, dziewczyno! Czyś ty zgłupiała?

Nie mogłam się nie roześmiać.

- Tak, wiem. Sama jestem sobie winna. Pomyślałam, że może zdążę go dorwać, zanim zniknie na dobre.

Potrząsnął głową.

- Nie bierz niczego od takich jak on. To twój pierwszy błąd. A przyjdzie tutaj może być kolejnym.

- Czy jest tu ktoś, kto może mi powiedzieć, gdzie go szukać? Murzyn wskazał ostrzem noża drzwi sąsiedniego mieszkania.

- Spytaj Lovellę. Może coś wie, a może nie.

- To jego przyjaciółka.

- Raczej nie. Jest jego żoną.

Pukając do drzwi oznaczonych numerem 26, poczułam, jak wstępuje we mnie odrobina nadziei. Obawiałam się, że Daggett wyprowadził się na dobre. Drzwi mieszkania były zrobione z dykty. Na wysokości kolan ktoś wybił w nich potężną dziurę, w uchylonym okienku powiewała zasłona. Szyba była pęknięta na całej długości i sklejona prowizorycznie taśmą klejącą. Z wnętrza dochodził zapach gotowanej kapusty czy brukselki, przemieszany z wonią octu i bekonu.

Drzwi otworzyły się i wyjrzała z nich kobieta. Miała spuchniętą górną wargę, jak dziecko, które potłukło się, gdy pierwszy raz wsiadło na rower. Niedawno ktoś musiał podbić jej lewe oko - granatowy siniak okalały zielone, żółte i szare kręgi. Włosy koloru siana, przedzielone pośrodku głowy, przytrzymywały za uszami spinki. Nawet nie próbowałam zgadywać, ile może mieć lat. Musiała być młodsza, niż można by się spodziewać, biorąc pod uwagę wiek Daggetta, który miał około pięćdziesiątki.

- Lovella Daggett?

- Tak. - Najwyraźniej nie zamierzała mówić więcej, niż było konieczne.

- Jestem Kinsey Millhone. Szukam Johna.

Bezwiednie oblizła górną wargę, jakby nie mogła przyzwyczać się do jej zmienionego kształtu. Częściowo zakrzepnięta krew przypominała wasy.

- Tu go nie ma. Nie wiem, gdzie jest. Czego od niego chcesz?

- Wynajął mnie do pewnej roboty, ale zapłacił lewym czekiem. Miałam nadzieję, że będziemy mogli to wyjaśnić.

Obserwowała mnie z namysłem, zastanawiając się nad tym, co powiedziałam.

- Do jakiej roboty?

- Miałam coś doręczyć.

Widać było, że nie wierzy ani jednemu słowu.

- Jesteś gliną?

-Nie.

- A kim?

Pokazałam jej zalaminowaną kopię mojej licencji. Spojrzała na nią, po czym odwróciła się i nie zamykając drzwi, ruszyła w głąb mieszkania. Uznałam, że w ten sposób zaprasza mnie do środka.

Weszłam do pokoju i zamknęłam drzwi. Na podłodze leżała wysłużona zielona wykładzina, którą tak uwielbiają właściciele mieszkań do wynajęcia. Jedyne meblowanie stanowił stolik do gry w karty i dwa drewniane krzesła. Jaśniejszy prostokąt na dywanie przy jednej ze ścian był zapewne pozostałością po stojącej tam do niedawna kanapie, a regularnie rozmieszczone odciski nówek krzeseł i stolika do kawy świadczyły, że pokój posiadał kiedyś to, co dekoratorzy wewnątrz nazywają „kącikiem wypoczynkowym”. Sądząc po tym, co zobaczyłam, wypoczynek w wydaniu Daggetta oznaczał pranie na kwaśne jabłko swojej małżonki i niszczenie wszystkiego, co wpadło mu w ręce. Jedyne lampy miały oderwaną wtyczkę, a z końca sznura smętnie zwisały pozrywane przewody.

- Co się stało z meblami?

- Wyniósł do lombardu. Pewnie musiał zapłacić dług w barze. Samochód poszedł wcześniej. To kupa szmelcu, ale kupiłam go za własne pieniądze. Powinnaś zobaczyć moje łóżko. Stare, zaszczone materace, które znalazł gdzieś na ulicy.

W rogu pomieszczenia znajdował się barek. Podeszłam do niego i usiadłam na jednym z wysokich stołków. Lovella bez pośpiechu przeszła do kuchni, wydzielonej z głównego pokoju. Na kuchence stał metalowy rondel bez pokrywki, w którym wściekle bulgotała woda. Na drugim palniku gotowała się brukselka, wepchnięta do poobijanego garnka.

Lovella miała na sobie wytarte dżinsy i gładką białą koszulkę, włożoną na lewą stronę, z metką „Fruit of the Loom” na karku. Dół bluzki podwinęła i zawiązała w węzeł, odsłaniając brzuch.

- Chcesz kawy? Właśnie miałam robić.

- Tak, proszę - odrzekłam.

Oplukała filiżankę nad zlewem i przetarła ją papierowym ręcznikiem. Postawiła naczynie na blacie, wsypała łyżeczkę rozpuszczalnej kawy i zdjęła garnek z wodą z palnika, chwytając rączkę przez ten sam skrawek papieru, który wcześniej służył jako ściereczka. Napęliła wodą dwie filiżanki, zamieszała i pchnęła jedną w moim kierunku, nie wyjmując z niej łyżeczki.

- Daggett to dupek. Powinni go przymknąć na dobre - stwierdziła beznamiętnym tonem.

- Czy to on ci zrobił? - spytałam, spoglądając na jej posiniaczoną twarz.

Popatrzyła na mnie bez słowa. Teraz z bliska widziałam, że ma najwyżej dwadzieścia pięć lat. Pochyliła się i oparła łokciami o blat, trzymając filiżankę w obu dłoniach. Nie nosiła stanika; duże, miękkie piersi zwisały jak balony napełnione wodą. Na cienkim materiale koszulki wyraźnie odciskały się guziczki sutków. Zastanawiałam się, czy jest dziwką - znałam kilka podobnych do niej. Tak jak ona zdawały się nie zwracać żadnej uwagi na wrażenie, jakie wywierały na facetach - atrakcyjna powłoka, a w środku pusto.

- Jak długo jesteś mężatką?

- Mogę zapalić?

- To twoje mieszkanie. Możesz robić, co chcesz - powiedziałam.

Musiałam ją rozbawić tym stwierdzeniem, bo obdarzyła mnie bladym uśmiechem. Sięgnęła po paczkę pall maili, włożyła papierosa do ust i zapaliła go od palnika na kuchence, przechylając głowę, żeby nie podpalić sobie przy tym włosów. Zaciągnęła się mocno i wypuściła z ust obłok dymu.

- Sześć tygodni - odpowiedziała. - Korespondowaliśmy ze sobą, gdy siedział w San Luis. Pisaliśmy do siebie przez rok, a jak tylko wyszedł, wzięliśmy ślub. Idiotyzm, no nie? Jezu, uwierzysz, że zrobiłam coś takiego?

Wzruszyłam obojętnie ramionami. Najwyraźniej nie oczekiwała odpowiedzi.

- Jak się poznaliście?

- Przez jego kumpla Billy'ego Polo - kiedyś z nim chodziłam. Rozmawiali o kobietach i tak jakoś zgadało się o mnie. Billy pewnie powiedział mu, że jestem niezłą, i Daggett do mnie napisał.

Łyknęłam kawy. Miała mocno cierpki smak, typowy dla kawy rozpuszczalnej, a na powierzchni unosiły się pojedyncze granulki.

- Masz może mleko?

- A, pewnie. Przepraszam - powiedziała. Podeszła do lodówki i wyjęła z niej małą puszkę skondensowanego mleka.

Niezupełnie to miałam na myśli, ale nie protestowałam. Wlałam mleko do kawy i z zaciekawieniem obserwowałam, jak wypływa na powierzchnię w postaci drobnych kropek. Ciekawe, czy można by z nich,

tak jak z liści herbaty, wysnuć jakąś przepowiednię. Wróżyły rychłe kłopoty z żołądkiem, to pewne.

- Daggett, jeśli chce, potrafi być czarujący - ciągnęła dziewczyna. - Ale daj mu kilka drinków i zmienia się w świnię.

Ileż razy słyszałam takie opowieści!

- Dlaczego od niego nie odejdziesz? - To pytanie zawsze cisnęło mi się na usta.

- Bo to nie ma sensu, i tak mnie dorwie - oświadczyła sucho. - Nie znasz go. Zabije mnie jak psa. A niechbym spróbowała zawiadomić gliny. Spojrzysz krzywo i tak ci przywali, że będziesz zbierać zęby po całej ulicy. On nienawidzi kobiet, ot co. Oczywiście, gdy wytrzeźwieje, całuje cię po nogach. Nieważne, mam nadzieję, że poszedł sobie na dobre. W poniedziałek rano ktoś zadzwonił do niego i zaraz potem wyleciał stąd, jakby się paliło. Od tego czasu się nie odezwał. Inna rzecz, że wczoraj odłączyli telefon, więc i tak nie mógłby zadzwonić.

- Dlaczego nie porozmawiasz z jego kuratorem?

- Racja, mogłabym - przyznała z wahaniem. - Daggett musi meldować się u niego co pięć minut. Miał pracę, ale znudziła mu się po dwóch dniach. Rzecz jasna, nie powinien pić. Wydaje mi się, że na początku próbował tego przestrzegać, ale szybko zrezygnował.

- Teraz masz szansę, dlaczego nie uciekniesz?

- A niby gdzie miałabym iść? Nie mam złamanego grosza.

- Istnieją schroniska dla maltretowanych kobiet. Zadzwoń do telefonu zaufania dla ofiar przemocy. Będą wiedzieli, jak ci pomóc.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Boże, uwielbiam takie panusie! Pobił cię kiedyś jakiś facet?

- Żaden, za którego wyszłam - odparłam. - Nie wiązałabym się z taką kanalią.

- Też tak mówiłam, siostró, ale to nie jest takie proste. Nie przy takim sukinsynu jak Daggett. Przysięga, że znajdzie mnie nawet na końcu świata, i wiem, że nie żartuje.

- Za co siedział w więzieniu?

- Nigdy nie mówił, a ja nie pytałam. Teraz wiem, że powinnam była, ale wtedy nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Przez pierwsze tygodnie było całkiem niezłe. Zachowywał się jak zakochany dzieciak. Boże, latał za mną jak szczeniak! Nie mogliśmy się sobą nacieszyć, było tak, jak pisał w listach. A potem, pewnej nocy doszał się do Jacka Danielsa i gównem walnęło w wentylator.

- Czy kiedykolwiek wspominał niejakiego Tony'ego Gahana?

- Nie. Kto to?

- Nie jestem pewna. Jakiś dzieciak, którego kazał mi znaleźć.

- Jak ci zapłacił? Mogę zobaczyć ten czek?

Wyjęłam go z torebki i położyłam na barku. Pomyślałam, że lepiej nic nie mówić o czeku gotówkowym. Doszłam do wniosku, że nie będzie zachwycona, widząc, jak Daggett pozbywa się lekką ręką takiej forsy.

- Rozumiem, że Limardo to fałszywe nazwisko? Z uwagą oglądała czek.

- Taa, ale Daggett trzymał jakieś pieniądze na tym koncercie. Pewnie zlikwidował je tuż przed wyjazdem.

Zaciągnęła się papierosem i odłożyła czek na blat. Tym razem zdążyłam odwrócić twarz, zanim wydmuchnęła dym.

- A ten telefon w poniedziałek. Nie słyszałaś, o czym rozmawiał?

- Nie mam pojęcia. Byłam wtedy w pralni. Kiedy wróciłam, jeszcze rozmawiał. Trzeba było widzieć jego twarz - szara jak ścierka! Szybko rozłączył się i wpadł w szal. Przewrócił wszystko do góry nogami, szukając książeczki czekowej. Bałam się, że pomyśli, że ja ją schowałam i pobije mnie, ale był tak spanikowany, że w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi.

- Powiedział ci, że się boi?

- Nie, ale był trzeźwy jak świnia i strasznie trzęsły mu się ręce.

- Nie wiesz, gdzie mógł pójść?

Błysk w oku zdradził mi, że coś wie, ale szybko odwróciła wzrok.

- Miał tylko jednego przyjaciela - Billy'ego Polo w Santa Teresa. Jeśli szukał pomocy, mógł pojechać tylko do niego. Wydaje mi się, że miał tam też jakichś krewnych, ale nie wiem, co się z nimi stało. Nigdy o nich nie mówił.

- Więc Polo wyszedł już z więzienia?

- Słyszałam, że niedawno go zwolnili.

- Dobrze. Pójdę tym śladem, bo nic innego mi nie zostało. Aha, zadzwoń do mnie, gdyby któryś z nich pokazał się tutaj, dobrze? - Wyjęłam wizytówkę i dopisałam na drugiej stronie domowy adres i telefon. - Zadzwoń na mój koszt.

Uważnie obejrzała wizytówkę.

- Jak myślisz, o co tu chodzi?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko znaleźć Dagget-ta, odzyskać swoją forszę i do widzenia.

ROZDZIAŁ 3

SKORO byłam już w tej okolicy, postanowiłam wstąpić do banku. Kobieta zajmująca się obsługą klientów robiła wszystko co w jej mocy, żeby mi nie pomóc. Miała ciemne włosy, dwadzieścia kilka lat. Doszłam do wniosku, że musi pracować tu od niedawna, ponieważ na każde moje pytanie reagowała przerażonym spojrzeniem. Widać było wyraźnie, że nie czuje się zbyt pewnie i woli na wszystkie pytania odpowiadać przecząco. Nie chciała podać mi numeru konta „Alvina Limarda” ani sprawdzić, czyje zlikwidowano. Nie zamierzała również poinformować mnie, czy istnieje rachunek wystawiony na nazwisko Johna Daggetta. Wiedziałam, że w papierach musi istnieć jakiś ślad po czeku gotówkowym, ale dziewczyna odmówiła sprawdzenia tej informacji. Zważywszy, że w grę wchodziła niebagatelna kwota, pomyślałam, że spróbuję mimo wszystko czegoś się dowiedzieć. Przecież bank musiał się zainteresować, co stało się z dwudziestoma pięcioma tysiącami! Stałam przy kontuarze ze wzrokiem utkwionym w urzędniczkę, a ona spoglądała na mnie bezmyślnie. Może nie zrozumiała, o co mi chodzi?

Wyjęłam kopię swojej licencji i pokazałam jej.

- Proszę spojrzeć - powiedziałam. - Widzi pani? Jestem prywatnym detektywem i mam poważny problem. Zostałam wynajęta, by doręczyć czek gotówkowy, ale straciłam kontakt z człowiekiem, który mi to zlecił. Nie mam żadnych danych na temat odbiorcy tego czeku. Chciałabym tylko uzyskać jakieś informacje, które pozwoliłyby mi wykonać zlecenie.

- Rozumiem-odrzekła.

- Ale nie udzieli mi pani żadnych informacji, tak?
- To wbrew przepisom.
- A czy wypisanie złego czeku przez Alvina Limarda jest zgodne z przepisami?
- Nie.
- To co wobec tego mam zrobić? - spytałam. Znałam odpowiedź... zjedz go, wrzuć do rzeki...! ale poczułam niemalże perwersyjną chęć postawienia na swoim.
- Niech go pani pozwie do sądu.
- Przecież nie mogę go znaleźć. Jakim cudem pozwę go do sądu, skoro nikt nie wie, gdzie się podziewa!
Patrzyła na mnie tępo. Żadnej reakcji.
- No dobra, a co z dwudziestoma pięcioma tysiącami? - drażylałam dalej. - Co mam zrobić z tą forszą?
- Nie wiem.
Spuściłam wzrok na biurko. Gdy chodziłam do przedszkola, rozwiązywałam takie problemy, gryząc przeciwnika, i do tej pory co jakiś czas mam na to chęć. To naprawdę dobrze robi na nerwy.
- Chcę mówić z pani kierownikiem.
- Z panem Stallingssem? Wyszedł i nie wróci przed końcem pracy.
- To z kim powinnam porozmawiać, żeby załatwić tę sprawę? Urzędniczka potrząsnęła głową.
- Ja zajmuję się obsługą klientów.
- Jaką obsługą?! Przecież nie ruszyła pani dupy, żeby mi pomóc.¹ Spojrzała na mnie z dezaprobatą.
- Proszę łaskawie nie używać przy mnie takiego języka. Pani mnie obraża,
- Co mam zrobić, żeby uzyskać jakąś pomoc?
- Ma pani u nas konto?
- A gdybym miała, to co? Udzieliłaby mi pani potrzebnych informacji?
- Nie. Nie wolno nam ujawniać danych klienta.
Idiotyzm! Zrezygnowałam z dyskusji i odeszłam od kontuaru. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć jej czegoś do słuchu, ale nie przychodziła mi do głowy żadna celna riposta. Świetnie wiedziałam, dlaczego się tak wściekam. Byłam zła na siebie, że przyjąłam tę robotę, ale miałam nadzieję, że uda mi się wyładować gniew na urzędnicze bankowej. To bez sensu. Wróciłam do auta i ruszyłam w drogę powrotną.

W Santa Teresa byłam o szesnastej trzydzieści pięć. W pełnym biegu minęłam biuro i pojechałam prosto do domu. Gdy przekroczyłam próg mieszkania, od razu poczułam się lepiej. Kiedyś był tu garaż, który przerobiono na pokój, w kształcie kwadratu o boku długości czterech i pół metra, z małą kiszka po prawej stronie, oddzieloną od pokoju barkiem. Tam mieści się kuchnia, która dzięki inteligentnemu rozplanowaniu jest bardzo funkcjonalna: mała pralko-suszarka wciśnięta między szafki, sporo szuflad, wiszących półek i szafek wbudowanych w ściany, przez to mieszkanie jest przytulne i wygodne, dokładnie takie, jakiego mi potrzeba. Mam też szeroką przenośną sofę, na której zwykle sypiam, biurko, krzesło, mały stolik i kilka ogromnych poduszek, które w razie potrzeby służą jako dodatkowe miejsca do siedzenia. Łazienka to jedna z tych kabin z włókna szklanego, jakie sprzedają wraz z wbudowanymi niezbędnymi urządzeniami: wieszakiem na ręczniki, mydelniczką i otworem okiennym, przez który mogę wyglądać na ulicę. Czasami staję sobie w wannie, opieram łokcie o parapet i gapię się na przejeżdżające samochody, myśląc o tym, jak wielkie mam szczęście. Kocham być sama. To równie fajne, jak bycie bogatym.

Rzuciłam torebkę na biurko i odwiesiłam żakiet. Przysiadłam na chwilę na sofie, zdjęłam buty, a potem wyjęłam z lodówki butelkę białego wina i korkociąg. Kiedy tylko o tym pamiętam, staram się zachowywać jak osoba z klasą, co w moim przypadku oznacza rezygnację z wina sprzedawanego w kartonie na rzecz butelkowanego. Wyciągnęłam korek i napełniłam kieliszek. Minęłam biurko, zabierając po drodze książkę telefoniczną i z kieliszkiem w jednej ręce, a aparatem telefonicznym w drugiej zasiadłam na sofie. Odstawiłam kieliszek na stolik i zaczęłam wertować książkę, szukając nazwiska Billy'ego Polo. Oczywiście nie było go. Sprawdziłam Gahana. Nic. Przełknęłam łyk wina i zastanowiłam się, co dalej.

Pod wpływem impulsu zajrzałam pod literę D. Lovella mówiła, że Daggett mieszkał kiedyś w tej okolicy. Może nadal ma tu jakichś krewnych.

Znalazłam czterech Daggettów. Kolejno dzwoniłam do każdego z nich, za każdym razem powtarzając tekst: „Dzień dobry. Szukam Johna Daggetta, który mieszkał kiedyś w Santa Teresa. Czy dodzwoniłam się pod właściwy numer?”.

Pierwsze dwie rozmowy nie wniosły nic nowego, ale trzeci numer okazał się strzałem w dziesiątkę. Gdy wyjaśniłam, w jakim celu za-

dzwoniłam, pod drugiej stronie słuchawki zapadła głucha cisza, jakby mężczyzna, który odebrał telefon, zastanawiał się, co odpowiedzieć.

- Czego pani od niego chce? - zapytał w końcu. Sądząc po głosie, miał jakieś sześćdziesiąt lat. W jego słowach słychać było zaniepokojenie, ale także lekkie zaciekawienie. Najwyraźniej nie był pewien, ile może mi powiedzieć.

Prawdopodobnie dlatego nie bawił się w uprzejmości i od razu przeszedł do sedna. Z tego, czego do tej pory dowiedziałam się na temat Daggetta, jasno wynikało, że to kawał drania, więc nie zamierzałam udawać, że jestem jego przyjaciółką. Jeśli powiem, że jest mi winien pieniądze, mój rozmówca rzuci słuchawką. Zwykle w takich sytuacjach sugerowałam, że chcę oddać dług, ale czułam, że tu to nie przejdzie. Ludzie już nie dają sobie wciskać kitu tak łatwo.

Wobec tego skorzystałam z pierwszego kłamstwa, jakie przyszło mi do głowy:

- Dobrze, powiem panu prawdę - oznajmiłam. - Spotkałam Johna tylko raz, ale próbuję odnaleźć naszego wspólnego znajomego, a John ma chyba jego adres i numer telefonu.

- A kogo pani szuka?

Tu mnie zastrzeżił - tej części historii jeszcze nie wymyśliłam.

- Kogo? Hmm... Alvina Limarda. Czy John wspominał o nim kiedykolwiek?

- Nie, nie sędzę. Ale może dzwoni pani do niewłaściwej osoby. John Daggett, który tu kiedyś mieszkał, jest w więzieniu od, niech no policzę... będzie już ze dwa lata. - Jego zachowanie sugerowało, że nawet zwykła pomyłka telefoniczna wzbudza w nim nadzieję na przerwanie monotonii życia na emeryturze. Wyglądało na to, że trafiłam na złotą żyłę.

- Właśnie o niego mi chodzi - powiedziałam. - Siedział w San Luis.

- Nadal tam jest.

- Nie. Wyszedł. Zwolniono go sześć tygodni temu.

- Johna? Niemożliwe, proszę pani. Jest w więzieniu i mam nadzieję, że tam zostanie. Nie chcę mówić o nim źle, ale sama się pani przekona, że to kłopotliwy człowiek.

- Kłopotliwy?

- No tak. Przynajmniej ja tak to nazywam. John jest osobą, która stwarza problemy, i na ogół nie są to błahostki.

- Naprawdę? - zdziwiłam się. - Nie wiedziałam. - Świetnie trafiłam. Facet był skory do zwierzeń. Muszę go tylko zachęcać, a może

powie mi, jak dorwać Daggetta. Zaryzykowałam strzał w ciemno. -Pan jest jego bratem, prawda?

- Jestem jego szwagrem. Eugene Nickerson.

- Czyli jest pan mężem jego siostry? - indagowałam. Roześmiał się.

- Nie. To on ożenił się z moją siostrą. Zanim zmieniła nazwisko na Daggett, nazywała się Nickerson.

- Jest pan bratem Lovelli? - Trudno mi było wyobrazić sobie rodzeństwo, pomiędzy którym byłoby czterdzieści lat różnicy.

- Nie, bratem Essie.

Odsunęłam słuchawkę od ucha i spojrzałam na nią w zdumieniu. O czym on mówił?

- Chwileczkę, nic nie rozumiem. Może jednak nie mówimy o tej samej osobie.

W krótkich słowach opisałam Johna Daggetta. Nie chciałam uwierzyć w tak niewiarygodny zbieg okoliczności, ale coś tu nie grało.

- Tak, to on. Proszę mi przypomnieć, gdzie go pani poznała?

- W zeszłą sobotę. Tu, w Santa Teresa.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła wymowna cisza.

- A może mogłabym przyjechać do pana? Porozmawialibyśmy o tej sprawie - odezwałam się pierwsza.

- Tak chyba będzie najlepiej - zgodził się. - Jak się pani nazywa?

- Kinsey Millhone.

Wyjaśnił mi, jak mam do niego trafić, i zakończył rozmowę.

Mały biały domek z drewnianym gankiem stał w cieniu wzgórza Capillo Hill, w zachodniej części miasta. Krótka uliczka - po każdej stronie stały zaledwie trzy domy - kończyła się raptownie w miejscu, w którym asfalt przechodził w szeroki żwirowy plac parkingowy, tuż za posesją Daggetta. Zaraz za domem pięło się w górę zbocze wzgórza, porośnięte gdzieniegdzie krzakami i drzewami. Przydomowy ogródek, ogrodzony chylącą się ku ziemi siatką, był pogrążony w cieniu. Właściciel próbował obsadzić posesję krzewami, ale jego wysiłki spełzły na niczym, bo wszystko co z nich zostało, to smętnie sterczące z ziemi suche patyki. Dom przypominał mi bezdomnego psa, złapanego przez hycła i zamkniętego w klatce.

Wspięłam się po stromych drewnianych schodkach i zapukałam. Drzwi otworzył Eugene Nickerson. Wyglądał dokładnie tak, jak go

sobie wyobrażałam: koło sześćdziesiątki, średniego wzrostu, sztywne siwe włosy i zrosnięte brwi. Miał małe, wyblakłe oczy i niemalże białe rzęsy. Wąskie ramiona, szeroka klatka piersiowa, szelki, flanelowa koszula. W lewej ręce trzymał egzemplarz Biblii, zaznaczając palcem właściwą stronę.

No, no, pomyślałam.

- Proszę mi przypomnieć swoje nazwisko - powiedział, wpuszczając mnie do środka. - Przepraszam, ale pamięć już nie ta.

Podalam mu rękę.

- Kinsey Millhone. Miło mi pana poznać, panie Nickerson. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Nie, nie. Przygotowujemy się na spotkanie naszego kółka biblijnego. Zwykle spotykamy się w środy, ale w tym tygodniu nasz pastor rozchorował się na grype, więc spotkanie zostało przełożone. To moja siostra, Essie Daggett, żona Johna - oznajmił, wskazując na kobietę siedzącą na sofie. - Proszę mówić mi po imieniu - dodał.

Uśmiechnęłam się zdawkowo i skupiłam całą uwagę na jego siostrze.

- Dzień dobry. Jak się pani ma? Dziękuję, że zgodziliście się państwo na to spotkanie.

Podeszłam do niej i wyciągnęłam dłoń. Łaskawie dotknęła jej dwoma palcami i szybko cofnęła rękę. Miałam wrażenie, że ściskam gumową rękawiczkę.

Kobiela miała szeroką, bezbarwną twarz. Nietwarzowe uczesanie z siwych włosów i grube szkła w plastikowych oprawkach na pewno nie dodawały jej urody. Po prawej stronie nosa miała brodawkę wielkości ziarna kukurydzy. Dolna szczęka, mocno wysunięta do przodu, nadawała brodzie kanciasty kształt. Kobieta roztaczała wokół siebie duszący zapach konwalii.

Eugene wskazał gestem, żebyśmy usiadła. Wybór ograniczał się do miejsca na sofie, obok Essie, i rozchwianego drewnianego krzesła, pozbawionego kilku prętów. Wybrałam to ostatnie, siadając ostrożnie na brzegu, żeby nie spaść. Eugene usadowił się na wiklinowym fotelu bujanym, który zatrzeszczał niepokojąco pod jego ciężarem. Wąską fioletową wstążeczką, zwisającą z grzbietu Biblii, zaznaczył odpowiednie miejsce, po czym zamknął książkę i odłożył na stolik. Essie nie odezwała się ani słowem - siedziała sztywno ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

- Może napije się pani wody? - zaproponował mężczyzna. - Nie mamy kawy ani czegoś mocniejszego, ale może zechce pani 7 Up?

- Nie trzeba, dziękuję - odparłam.

Byłam na serio zaniepokojona. Przebywanie w towarzystwie żarliwych chrześcijan bywa równie uciążliwe, jak przestawanie z bogaczami. Czujesz, że obowiązują tu jakieś tajemnicze zasady, jakaś obłądna etykieta, i cokolwiek byś zrobił, wyjdiesz na chłama. Postanowiłam, że będę trzymać język za zębami, i modliłam się w duchu, żeby nie wymknęło mi się żadne przekleństwo. Jakim cudem John Daggett mógł być spokrewniony z tym dwojgiem?

Eugene odchrząknął i powiedział.

- Wyjaśniłem Essie, że dzwoniła pani w sprawie Johna i wygląda na to, że nasze informacje się nie pokrywają. Wedle naszej wiedzy, John nadal przebywa w więzieniu, ale z tego, co pani mówi, wynika, że możemy się mylić.

- Jestem tak samo zdumiona jak państwo - odrzekłam. Gorączkowo zastanawiałam się, ile powinnam im powiedzieć, żeby

zabrzmiało to przekonująco. Chociaż Daggett nieźle mnie załatwił, czułam, że nadal obowiązuje mnie dyskrecja. I nie chodziło tu tylko o zwolnienie warunkowe - głównym problemem była Lovella. Nie chciałam być tą, która pierwsza doniesie jego, najwyraźniej ciągle prawowitej małżonce, o nowej pani Daggett.

- Czy mają może państwo jego zdjęcie? - zapytałam. - Całkiem możliwe, że mężczyzna, z którym rozmawiałam, podawał się za pańskiego szwagra, a w rzeczywistości wcale nim nie jest.

- No, nie wiem - odparł Eugene z powątpiewaniem. - Z pani opisu wynika, że to John.

Essie sięgnęła ręką za siebie i wyjęła kolorową fotografię w srebrnej oprawce.

- Zrobiono je z okazji trzydziestej piątej rocznicy naszego ślubu - odezwała się nosowym głosem. Najwyraźniej nie lubiła nadużywać słów. Podała zdjęcie swojemu bratu, jakby ten nigdy wcześniej go nie widział.

- Tuż przed tym, jak zabrali go do San Luis - potwierdził Eugene, wręczając mi fotografię. Z tonu jego głosu można by wnioskować, że Daggett wyjechał w delegację.

Uważnie obejrzałam zdjęcie. Daggett jak żywy - tyle że nienaturalnie sztywny, jak ktoś, kogo wbito w kostium wiktoriańskiego dżentelmena czy żołnierza konfederatów i kazano pozować. Najwyraźniej miał przyciasny kołnierzyk i zbyt dużo pomady na włosach. Na twarzy malowało się skrywane przerażenie; wyglądał, jakby lada chwila chciał

się poderwać i uciec. Essie siedziała przy jego boku wyprostowana jak deska. Miała na sobie liliową suknię z krepdeszynu, z wywatowanymi ramionami, szklanymi guzikami i z wielkim storczykiem przypiętym do lewego ramienia.

- Śliczne - wymruczałam, w pełni świadoma, że za takie kłamstwo powinien trafić mnie grom z jasnego nieba. Fotografia była paskudna. Essie wyglądała jak buldog, a John sprawiał wrażenie, jakby męczyły go gazy.

Oddałam zdjęcie Essie.

- Za co go skazano? Essie teatralnie westchnęła.

Wolimy o tym nie mówić - wtrącił łagodnym tonem Eugene. -Proszę opowiedzieć nam o swojej znajomości z Johnem.

- Naturalnie. Nie znam go zbyt dobrze, chyba mówiłam już panu przez telefon. Mamy wspólnego znajomego i to jego szukam. John napomknął, że ma rodzinę w tej okolicy, i postanowiłam, że spróbuję się czegoś dowiedzieć. Rozumiem, że nie kontaktował się z wami ostatnio?

Essie wyprostowała się i oznajmiła:

- Trwaliśmy przy nim tak długo, jak było to możliwe. Ale nawet pastor stwierdził, że zrobiliśmy już wszystko, co w naszej mocy. Nie wiemy, co się kryje w mrocznych zakątkach jego duszy i z czym zмага się jego sumienie, ale istnieją pewne granice. Uważam, że nie można mu już pomóc. - W jej głosie pojawiła się ostra nuta i zastanawiałam się, co jest jej przyczyną: gniew, pokora, a może poczucie, że jest świętą między potępionymi.

- Rozumiem, że John był pewnego rodzaju dopustem bożym? Essie mocno zacisnęła wargi i nerwowo spłotła palce.

- Cóż, jak mówi Biblia Święta: „Miłujcie nieprzyjaciół waszych, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą. Błogosławcie tym, którzy was przeklinają, módlcie się za tych, którzy was krzywdzą!”* - zakończyła oskarżycielskim tonem. Zaczęła kiwać się w podnieceniu.

No, no, pomyślałam, zaraz przegrzeje się jej silnik. Eugene pochylił się i chrząknął, chcąc zwrócić moją uwagę.

- Pani powiedziała, że widziała go w sobotę. Czy mogę wiedzieć, dlaczego pani się z nim spotkała?

*** Ten i następne cytaty pochodzą z Biblii wydanej przez Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1975.**

Uświadomiłam sobie, że powinnam byia lepiej dopracować szczegóły mojej opowieści. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Gwałtowny wybuch Essie Daggett wyprowadził mnie z równowagi i teraz miałam w głowie kompletną pustkę.

Kobieta pochyliła się mocno do przodu i spytała:

- Czy zostałam zbawiona?

- Słucham?! - zapytałam zaskoczona.

- Czy przyjąłś Jezusa do swego serca? Czy odrzuciłaś grzech? Czy zostałam obmyta krwią Baranka?

Kropla śliny wylądowała na moim policzku, ale nie odważyłam się jej zetrzeć.

- Ostatnio nie - odparłam ostrożnie. Co we mnie widzą takie baby?

- No, Essie. Pani nie przyszła tu, żeby rozprawiać o swojej duszy -wtrącił Eugene. Rzucił okiem na zegarek. - Ojej, już czas na twoje lekarstwo.

Wykorzystałam chwilę i podniosłam się.

- Nie chcę zabierać państwu czasu - rzuciłam beztroskim tonem. -Bardzo doceniam waszą pomoc, i jeśli będę jeszcze czegoś potrzebować, zadzwonię. - Pogrzebałam w torebce, wyjęłam z niej wizytówkę i położyłam na stole.

Essie najwyraźniej rozkręciła się na dobre:

- I będą kamienować twoje członki, a miecze ich przeszyją cię na wskroś. I spalą twoje domy, a sądzić cię będą na oczach wielu kobiet; i sprawią, że nierządnicę odwrócić się od ciebie, a za swoją pracę nie dostaniesz zapłaty.

- Tak, tak. Dziękuję bardzo - powtarzałam, wycofując się w kierunku drzwi. Eugene poklepywał uspokajająco dłoń Essie i nawet nie zauważył mojego wyjścia.

Zamknęłam drzwi i ruszyłam truchtem do samochodu. Robiło się ciemno, a okolica nie należała do najprzyjemniejszych.

ROZDZIAŁ 4

W PIĄTEK wstałam o szóstej rano i poszłam na plażę pobiegać. Z powodu kontuzji przez większość lata nie mogłam tego robić, ale od dwóch miesięcy ponownie uprawiałam jogging i czułam się nieźle. Nigdy nie byłam fanatyczną zwolenniczką ćwiczeń i starałam się unikać wszelkiego zbędnego wysiłku, ale ostatnio zauważyłam, że wraz z wiekiem moje ciało zaczyna się rozłazić niczym masło wyjęte z lodówki. Nie miałam zamiaru czekać, aż tyłek obwiśnie mi do ziemi, a uda zaczną przypominać skórzane bukłaki na wodę. Trzy-milowy codzienny trucht ścieżką rowerową wzdłuż plaży załatwiał sprawę i pozwalał mi bez kłopotów wciskać się w ulubione obcisłe dżinsy.

Świt rozkwitał na niebie niczym akwarelowy pejzaż; smugi błękitu, fioleto i różu przenikały się wzajemnie. Nad oceanem kłębiły się pierzaste, ciemne chmury, a fale bijące o brzeg niosły zapach odległych mórz. Było chłodno i biegłam nie tylko po to, by zachować figurę, ale też żeby nie zmarznąć.

Wróciłam do mieszkania o szóstej dwadzieścia pięć. Wzięłam prysznic, włożyłam dżinsy, sweter i buty, zjadłam miskę płatków śniadaniowych. Przejrzałam też poranną gazetę, zwracając szczególną uwagę na prognozę pogody, z której wynikało, że od Alaski zbliża się do nas potężny front burzowy. Na popołudnie zapowiadano deszcze -opady miały trwać przez cały weekend i dopiero w poniedziałek powinno się przejaśnić. W Santa Teresa deszcz nie zdarza się często, ale kiedy przychodzi, powietrze nabiera miłej rzeźkości. Zawsze wtedy mam ochotę zostać w domu i zwinąć się na sofie z dobrą książką. Wła-

śnie kupiłam najnowszą powieść Lena Deightona i już czekałam, żeby zabrać się do niej jak najprędzej.

O dziewiątej zmobilizowałam się - wyjęłam z szafy ciepłą kurtkę, zamknęłam drzwi od mieszkania i ruszyłam do biura. Chwilowo świeciło słońce, ale znad niedalekich wysepek zmierzały już ku miastu ołowiane chmury. Zaparkowałam za budynkiem i weszłam na piętro tylnymi schodami, mijając po drodze szklane drzwi biur California Fidelity, gdzie praca wrzała już na całego.

Otworzyłam drzwi swojego biura i weszłam do środka, rzucając torebkę na pobliskie krzesło. Prawdę mówiąc, nie miałam wiele do roboty. Postanowiłam, że trochę popracuję, a potem wrócę do domu.

Na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości. Przejrzałam pocztę, po czym napisałam pobieżne sprawozdania z wczorajszych wizyt u Lovelli Daggett oraz Eugene'a Nickersona i jego siostry, Essie. Ponieważ żadne z nich najwyraźniej nie miało pojęcia, gdzie jest Daggett, postanowiłam zająć się Billym Polo. Do tego potrzebne były mi jakieś bliższe dane. Zadzwoeniłam na komisariat policji w Santa Teresa i poprosiłam o połączenie z sierżantem Robbem.

Jonaha poznałam w czerwcu, gdy pracowałam nad sprawą zaginionych osób. Znając jego, co najmniej dziwne, stosunki z żoną, orzekłam, że nie jest dobrym materiałem na kochanka, co nie przeszkadzało mi jednak patrzeć na niego z zainteresowaniem. Reprezentował typ urody charakterystyczny dla Irlandczyków galijskiego pochodzenia: ciemne włosy, niebieskie oczy, w których dało się zauważyć błysk masochizmu. Nie znałam go na tyle dobrze, by stwierdzić, czy cierpi na własne życzenie, ale chyba nie chciałam tego wiedzieć. Czasami nieskonsumowany romans wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Żadnych nieporozumień, żądań czy rozczarowań, a wszystkie wady głęboko ukryte. Większość ludzi chowa w swym wnętrzu skomplikowaną płataninę emocji, skrywaną na co dzień pod maską pozorów. Ale gdy związek dwojga ludzi wchodzi w bardziej intymną fazę, zaczynają się kłopoty: nerwice wyłażą na wierzch, charaktery zaczynają się ścierać, by w końcu spowodować nieuchronną katastrofę, niczym dwa pociągi pędzące ku sobie po tym samym torze. Mam tego po dziurki w nosie. Życie dało mi w kość przez te wszystkie lata nie mniej niż jemu, więc po co wszystko komplikować?

Po dwóch dzwonek podniósł słuchawkę.

- Sierżant Robb, wydział osób zaginionych.

- Cześć, Jonah. Tu Kinsey.

- Witaj, kotku - powiedział. - W czym mogę ci pomóc? Oczywiście, jeśli nie jest to nic nielegalnego.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

- Mógłbyś sprawdzić dla mnie dwóch byłych więźniów?

- Jasne. Nie ma sprawy.

Podaliśmy mu oba nazwiska i te szczątkowe informacje, jakie udało mi się zdobyć. Zapisał wszystko i powiedział, że odezwie się, jak czegoś się dowie. Musiał wypełnić specjalny formularz uprawniający do dostępu do ogólnokrajowej bazy danych wszystkich, którzy popełnili kiedykolwiek jakieś wykroczenie. Ponieważ komputer centralny podlegał jurysdykcji federalnej, nie miałam żadnych szans, by się do niego dorwać. Praktycznie rzecz biorąc, prywatny detektyw nie dysponuje żadnymi specjalnymi uprawnieniami i musi wykazać się dużą pomysłowością, cierpliwością i sprytem, by wejść w posiadanie informacji, które instytucje państwowe uzyskują bez żadnych kłopotów. Z pewnością jest to frustrujące, ale nie niemożliwe. Ja opieram się na kontaktach z ludźmi mającymi dostęp do różnych części tego systemu. Mam znajomych w telekomunikacji, w organizacjach społecznych, w elektrowniach i wodociągach, a także w wydziale komunikacji. Od czasu do czasu uderzam do różnych organizacji rządowych, ale tylko wtedy, gdy w zamian mam im coś do zaoferowania. A jeśli chodzi o informacje bardziej osobiste, zawsze mogę polegać na wszechobecnym plotkarstwie - ludzie uwielbiają obrzucać się nawzajem błotem i bez żadnych oporów chlapią językiem na prawo i lewo.

Założyłam teczkę dla Billy'ego Polo i wróciłam do pracy.

Znając Jonaha, przypuszczałam, że najprawdopodobniej zwróci się do wydziału zwolnień warunkowych i tam podadzą mu aktualny adres Polo. A tymczasem mogłam sama odwalić część roboty. Śledztwo na własną rękę często daje niespodziewane korzyści. Nie chciałam przy tym pozbawić się elementu zaskoczenia - to połowa frajdy. Wiedziałam, że Polo nie ma w aktualnej książce telefonicznej, ale zadzwoniłam do informacji z nadzieją, że a nuż ostatnio podłączono mu telefon. Nic takiego.

Wobec tego zadzwoniłam do znajomej ze służb miejskich - powinni mieć jakieś dane na temat Polo. I znowu puźło. Polo nie składał podania o podłączenie gazu, wody czy prądu, ale z drugiej strony mógł wynajmować mieszkanie, a wówczas opłaty za te usługi były wliczone w czynsz.

W kilku obskurnych hotelach na State Street też nikt nie słyszał o Billym Polo. Pomyślałam, że przy okazji mogę też spytać o Daggetta, ale jego również nie widziano.

Dobrze wiedziałam, że w biurze kasy chorych skwitują moją prośbę uprzejmym: „Przykro nam, ale...”, a nie sądziłam, by nazwisko Bil-ly'ego figurowało w spisie wyborców.

Co mi zatem zostawało?

Rzuciłam okiem na zegarek. Od rozmowy z Jonahem minęło zaledwie pół godziny. Nie byłam pewna, ile czasu zajmie mu znalezienie potrzebnych danych, a nie chciałam siedzieć bezczynnie, czekając na jego telefon. Zgarnęłam torebkę i kurtkę, zamknęłam biuro i wyszłam na State Street. Dwie przecznice dalej mieściła się biblioteka publiczna. Zamierzałam do niej wstąpić.

Znalazłam wolny stolik w dziale informacyjnym i zabrałam się do przeglądania książek telefonicznych Santa Teresa z ostatnich pięciu lat. W czwartej znalazłam w końcu nazwisko Polo. Świetnie. Zapisałam adres przy Merced Street, zastanawiając się, czyjego dane wykreślono z następnych spisów telefonów z powodu odsiadki w więzieniu.

Z działu archiwalnego wydobyłam spis mieszkańców z tamtego roku. Oprócz alfabetycznego wykazu nazwisk spis zawierał również alfabetyczny spis adresów, tak więc znając tylko adres, można było znaleźć nazwisko mieszkającej tam osoby i numer telefonu. W drugiej części książki zamieszczono spis numerów telefonów, co było bardzo przydatne, gdyż znając jedynie numer, można było znaleźć osobę, do której należał, i jej adres. W ten sposób można było uzyskać jeszcze dodatkowe informacje na temat zawodu poszukiwanego i nazwisk jego sąsiadów. Po dziesięciu minutach miałam gotowy wykaz siedmiu najbliższych sąsiadów Polo. Sprawdziłam, czy są wymienieni w najnowszej książce telefonicznej, i okazało się, że dwoje z nich nadal mieszka przy Merced Street. Zapisałam oba numery, odłożyłam książki na miejsce

i wyszłam z biblioteki.

Na niebie pojawiły się grube zwały chmur, które gdzieniegdzie przepuszczały jeszcze pojedyncze promienie słońca. Temperatura powietrza gwałtownie spadała, a podmuchy wilgotnej bryzy przybierały na sile. Spojrzałam na pociemniały horyzont nad oceanem, który przepowiadał nadchodzącą ulewę. Przyspieszyłam kroku.

Po powrocie do biura uzupełniłam kartotekę Polo o świeżo zdobyte informacje. Chciałam właśnie pójść do domu, gdy rozległo się ciche

pukanie do drzwi. Zawahałam się przez chwilę, po czym wstałam i otworzyłam drzwi.

Za nimi stała blada kobieta po trzydziestce.

- O co chodzi? - spytałam.

- Jestem Barbara Daggett.

Mam nadzieję, że to nie kolejna żona, pomyślałam i na wszelki wypadek spytałam;

- Córka Johna Daggetta?

- Tak.

Kobieta miała urodę typową dla platynowych blondynek - wysoka, harmonijnie zbudowana, krótkie, gęste włosy okalające twarz, skóra gładka jak jedwab. Miała mocno zarysowane kości policzkowe, delikatne brwi i przenikliwe spojrzenie swego ojca. Jedno oko zielone, drugie niebieskie - widziałam kiedyś kota albinosa, który miał takie oczy, to strasznie rozprasza. Ubrana była w szary wełniany kostium i elegancką białą bluzkę z koronkowym gorsem. Na nogach miała bordowe pantofle na wysokich obcasach, idealnie dopasowane kolorem do torebki. Wyglądała jak prawnik czy makler, czyli jak ktoś przyzwyczajony do wydawania rozkazów.

- Proszę wejść - powiedziałam. - Właśnie zastanawiałam się, jak go odnaleźć. Zakładałam, że matka powiedziała pani o mojej wizycie?

Plotłam, co mi ślina na język przyniesie, ale kobieta zignorowała mnie kompletnie. Usiadła i patrzyła tym swoim przenikliwym wzrokiem, jak siadam po drugiej stronie biurka. Chłód, który od niej bił, mógłby obniżyć temperaturę w pomieszczeniu o dobre kilka stopni, a jej spojrzenie nie napawało mnie optymizmem. Odchyliłam się do tyłu na krześle i zagadnęłam:

- W czym mogę pani pomóc?

- Chcę wiedzieć, dlaczego szuka pani mojego ojca. Wzruszyłam ramionami z udawanym spokojem, zdecydowana trzymać się wymyślonej historii.

- To niezupełnie tak. Szukam jego znajomego.

- Dlaczego nikt nas nie poinformował, że tata został zwolniony z więzienia? Moja matka jest załamana. Trzeba było sprowadzić do niej lekarza.

- Przykro mi - rzuciłam.

Barbara Daggett skrzyżowała nogi i lekkim ruchem ręki wygładziła spódnicę.

- Przykro pani? Nie ma pani pojęcia, w jakim ona jest stanie. Wreszcie zaczęła czuć się bezpiecznie, a teraz dowiadujemy się, że ojciec jest gdzieś w mieście. To ją naprawdę dobiło. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

- Panno Daggett, nie jestem jego kuratorem - oznajmiłam. - Nie wiem, kiedy wyszedł i dlaczego nikt was o tym nie zawiadomił. Problemy pani matki nie zaczęły się wczoraj.

Na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec.

- To prawda. Jej problemy zaczęły się w dniu, w którym go poślubiła. Zrujnował jej życie. Wszystkim nam zrujnował życie.

- Mówi pani o jego alkoholizmie? Zignorowała to pytanie i oznajmiła bez ogródek:

- Chcę wiedzieć, gdzie on jest. Muszę z nim porozmawiać.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest pani ojciec. Jeśli go znajdę, na pewno panią poinformuję. Tylko tyle mogę zrobić.

- Wuj twierdzi, że widziała go pani w sobotę.

- Tak, przelotnie.

- Co robił w mieście?

- Nie mówił - odparłam.

- A o czym rozmawialiście? Jakże to interesy zawiodły go do prywatnego detektywa?

Nie zamierzałam odpowiadać na to pytanie, więc zastosowałam jej metodę i po prostu pominęłam pytanie milczeniem. Wyciągnęłam notatnik i długopis.

- Czy może mi pani podać swój numer telefonu?

Otworzyła torebkę i wręczyła mi wyjętą z niej wizytówkę. Pracowała przy State Street, trzy przecznice od mojego biura, i jak głosił napis na wizytówce, była członkiem zarządu i dyrektorem firmy o nazwie FMS.

Widząc moje pytające spojrzenie, wyjaśniła:

- Zajmuję się pisaniem programów komputerowych dla firm. Tu ma pani numer telefonu służbowego. Dopisałam też domowy numer, bo nie ma go w książce telefonicznej.

- Niezła praca - zauważyłam. - Jakie studia pani kończyła?

- Studiowałam chemię i matematykę na Uniwersytecie Stanford, a na USC zrobiłam magisterium z informatyki i technologii.

Uniosłam brwi w nieukrywanym zdziwieniu. Nie wygląda na to, żeby Daggett w jakikolwiek sposób zrujnował jej życie, pomyślałam,

ale powstrzymałam się od komentarzy. Być może kariera zawodowa Barbary Daggett nie szła w parze z pomyślnością w życiu prywatnym. Być może, jak to było w moim przypadku, sukcesy w pracy rekompensowały jej porażki w kontaktach z mężczyznami, dlatego nie chciałam pochopnie jej osądzać. Gdzie jest napisane, że o wartości człowieka stanowi jego zdolność do łączenia się w pary? Spojrzała na zegarek i wstała.

- Jestem umówiona. Proszę do mnie zadzwonić, gdyby pojawił się u pani.

- Czy mogę spytać, dlaczego chce się pani z nim spotkać?

- Przekonywałam matkę, żeby wniosła sprawę o rozwód, ale do tej pory odmawiała. Może jego uda mi się przekonać.

- Dziwi mnie, że nie rzuciła go wiele lat temu. Uśmiechnęła się chłodno.

- Twierdzi, że poślubiła go „na dobre i złe”. Jak do tej pory nie zaznała tego pierwszego. Być może nadal ma nadzieję?

- Jeszcze jedno. Za co go skazano?

Nagle jej twarz zmieniła wyraz i myślałam przez chwilę, że nie odpowie na pytanie.

- Za spowodowanie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym - odparła w końcu. - Był pijany i uderzył w inny samochód. Zabił pięcioro ludzi, w tym dwoje dzieci.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale ona najwyraźniej nie oczekiwała żadnej reakcji z mojej strony. Podała mi dłoń na pożegnanie i wyszła. Przez chwilę słyszałam jeszcze stukot jej obcasów, gdy odchodziła korytarzem.

ROZDZIAŁ 5

ZANIM w końcu wyszłam z biura i wsiadłam do samochodu, rozpadało się na dobre. Ciężkie ciemnoszare chmury zawisły nad miastem, a krople deszczu rozbijały się na chodniku z głośnym pluskiem. Odłożyłam teczkę z aktami Daggetta na siedzenie pasażera i wyjechałam tyłem z parkingu na Cannon Street, po czym skręciłam w prawo, kierując się na Chapel Street. Minęłam trzy przecznice i zatrzymałam się przed supermarketem, żeby kupić mleko, dietetyczną pepsi, chleb, jajka i papier toaletowy. Przygotowywałam się do dłuższego obłęzenia -podniosę most zwodzony i przeczekać deszczowe dni w przytulnym mieszkanku, myślałam. Przy odrobinie szczęścia mogę nie ruszać się z niego i przez tydzień.

W chwili gdy otwierałam drzwi mieszkania, zadzwonił telefon. Odstawiłam torbę z zakupami na blat i podniosłam słuchawkę.

- Dzięki Bogu, już miałem się rozłączyć - usłyszałam głos Jonaha.

- Dzwoniłem do biura, ale nikt nie odbierał.

- Skończyłam na dzisiaj z pracą. Zawsze, jeśli zechcę, choć nie sądzę, żeby tak było, mogę popracować w domu. Widziałeś, jak leje?

- Leje? A, chyba tak. Nie miałem nawet czasu wyjrzeć przez okno. Ale to świetnie - zauważył. - Słuchaj, zdobyłem już dla ciebie trochę informacji, aJe na resztę będziesz musiała poczekać. Woody miał jakąś pilną sprawę i musiałem ustąpić mu miejsca. Jutro też pracuję, więc wtedy to załatwię.

- Pracujesz w sobotę?

- Zastępuję Sobela, to mój dobry uczynek na ten tydzień odparł.

- Masz coś do pisania? Podam ci kilka danych na temat Polo.

Podał mi datę urodzenia Polo, wzrost, wagę, kolor oczu i włosów, ksywy i nazwiska, którymi się posługiwał, oraz krótki przebieg „kariery zawodowej”. Zdobył także nazwisko kuratora, ale nie zastał go w biurze i powiedziano mu, że facet pojawi się dopiero w poniedziałek po południu.

- Dzięki. Sama też nie próżnowałam i zdobyłam parę informacji -pochwaliłam się. - Założę się, że pierwsza go znajdę. - Jonah zaśmiał się i odłożył słuchawkę.

Schowałam jedzenie do lodówki i wyciągnęłam spod biurka małą przenośną maszynę do pisania. Wypisałam dane od Jonaha na kartce, a następnie odsunęłam się od biurka i jeszcze raz przeczytałam zdobyte informacje. William Poiokowski alias Billy Polo miał trzydzieści lat, wzrost około metra sześćdziesięciu, waga około siedemdziesięciu kilogramów. Oczy i włosy - brązowe, żadnych blizn, tatuaży czy innych „znaków szczególnych”. Jego kartoteka policyjna zawierała chyba wszystkie paragrafy kodeksu karnego, od drobnych wykroczeń po poważne przestępstwa. Napaść, fałszerstwo, przechowywanie skradzionego mienia, kradzieże, posiadanie narkotyków. Raz oskarżono go nawet o „niszczenie mienia więziennego”, co w tym stanie należy do wykroczeń. Gdyby połączono to z próbą ucieczki, zostałyby osądzone. A ponieważ tak się nie stało, należało przypuszczać, że najpewniej przyłapano go na ozdabianiu ścian aresztu nieprzyzwoitymi napisami. Nieźle, nieźle.

Wyglądało na to, że Billy Polo był kiepskim przestępcą; wszystko, za co się brał, wpędzało go w kłopoty. Był szesnaście razy aresztowany - w dziewięciu przypadkach zapadł wyrok skazujący, dwa razy uniewinniono go, a dziewięć pozwów oddalono. Dwukrotnie został zwolniony warunkowo, ale najwyraźniej niewiele mu to pomogło. Gnał na łeb na szyję ku swemu przeznaczeniu i robił wszystko, by stoczyć się na dno. Od uzyskania pełnoletności spędził w sumie ponad dziewięć lat w więzieniu. A swoją działalność przestępczą zaczął dużo wcześniej. Założyłam, że poznał Johna Daggetta w trakcie ostatniej odsiadki. Za usiłowanie napadu z bronią w rękę skazano go na dwa lata i dziesięć miesięcy w więzieniu San Luis Obispo, zakładzie karnym o normalnym rygorze położonym jakieś dziewięćdziesiąt mil na północ od Santa Teresa.

Ponownie sięgnęłam po książkę telefoniczną i sprawdziłam nazwisko Poiokowski. Znowu pudło. Boże, dlaczego w tym interesie

wszystko jest takie skomplikowane? A tam, nie czas teraz na takie rozważania.

Deszcz bębnił o szklaną ścianę osłaniającą przejście łączące moje mieszkanie z domem Henry'ego Pitta - to mój gospodarz. W pogodne dni Henry wystawia tam dzieżę z ciastem chlebowym. Gdy słońce przygrzeje mocniej, robi się tam ciepło i przytulnie niczym w szklarni, a ciasto rośnie w oczach, przelewając się przez brzegi naczyń. Jednorazowo wychodzi mu z tego dwadzieścia bochenków, które następnie piecze w ogromnym piecu chlebowym. Zainstalował go w domu, gdy zrezygnował z pracy w piekarni i przeszedł na emeryturę. Teraz Henry sprzedaje swoje wypieki okolicznym mieszkańcom. Oprócz tego oszczędza jak może, zbierając kupony rabatowe z gazet, i dorabia do emerytury, układając krzyżówki, drukowane później w periodykach, sprzedawanych zwykle przy kasach w supermarkecie. Henry Pitt ma osiemdziesiąt jeden lat i wszyscy wiedzą, że jestem jego oddaną wielbicielek.

Zastanawiałam się, czy nie zajrzeć do niego na chwilę, ale nawet tak krótki spacer w deszczu napawał mnie obrzydzeniem. Nastawiłam wodę na herbatę i wyciągnęłam się na sofie z książką w rękę, zakutana w koc. Tak spędziłam resztę dnia.

W nocy opady nasiliły się jeszcze i dwukrotnie budziło mnie bębnienie kropli deszczu o szyby - zupełnie jakby ktoś splukiwał okna węzem ogrodowym. Z oddali dochodziły groźne pomruki burzy, a co jakiś czas niebo przecinała błyskawica, której światło podświetlało gałęzie drzew za oknem, nadając im cokolwiek upiorny wygląd. Pogoda zmusiła mnie do rezygnacji z porannego joggingu, a perspektywa wolnego dnia sprawiła, że zatuliłam się szczelniej w kołdrę i pogrążyłam w głębokim śnie.

Obudziłam się o ósmej. Wstałam, wzięłam prysznic, ubrałam się i przygotowałam małe śniadanko - jajko na miękko na toście, okraszone dużą ilością soli ziołowej. Niech sobie mówią, co chcą, ja i tak nie zrezygnuję z soli!

Gdy zmywałam po śniadaniu, zadzwonił Jonah.

- Cześć, nie zgadniesz, co się zdarzyło. Znaleźliśmy twojego kumpla Daggetta. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, zakręciłam wodę i wytarłam ręce.

- Jak? Został złapany?

- Niezupełnie. Jakiś kloszard natknął się na niego w porcie. Był zaplątany w sieci rybackie. Dwieście stóp dalej fale wyrzuciły na brzeg małą łódkę. Uważamy, że te dwie sprawy łączą się ze sobą.

- Zginął dziś w nocy?

- Na to wygląda. Koroner twierdzi, że wpadł do wody gdzieś między północą a piątą rano. Nie znamy jeszcze przyczyny śmierci. Więcej będzie wiadomo po sekcji.

- Skąd wiesz, że to on?

- Odciski palców. Sprawdziliśmy w komputerze, w kostnicy oznaczono go symbolem N/N. Chcesz go zobaczyć?

- Zaraz przyjadę. A krewni, zawiadomiono ich?

- Tak. Jak tylko poznaliśmy jego tożsamość, wysłaliśmy do nich policjanta. Znasz tę rodzinę?

- Niezbyt dobrze, ale poznałam ich. Mówię ci to nieoficjalnie, ale on był bigamistą. W Los Angeles mieszka pewna kobieta, która twierdzi, że jest jego żoną.

- Pięknie. Przyjedź do mnie, jak będziesz wracać z St. Terry - rzucił i rozłączył się.

Komenda policji w Santa Teresa nie ma własnej kostnicy. Hrabstwo posiada oficjalnego koronera, ale sekcje zwłok przeprowadzają zwykle różni lekarze z trzech okręgów. Jeśli chodzi o miejsce, w którym przechowywane są zwłoki, policja korzysta z uprzejmości dwóch tutejszych szpitali; Santa Teresa Hospital (popularnie zwany szpitalem St. Terry) i kostnicy kliniki okręgowej mieszczącej się w pobliżu drogi stanowej nr 101. Daggetta zawieźli najwyraźniej do St. Terry, toteż ja również tam wyruszyłam, zaopatrzona w parasol, płaszcz przeciwdeszczowy i nieodłączną torebkę.

Parking dla odwiedzających był prawie pusty. Była sobota, a lekarzom najwidoczniej też nie spieszyło się do pracy. Niebo zasnuły grube chmury, poprzecinane gdzieniegdzie białymi smugami mgły rozwiewanej silnymi podmuchami wiatru. Chodnik przed budynkiem zaścięłały drobne gałęzie i mokre liście przyklejone do asfaltu. Krople deszczu nieprzerwanie bębniły o jezdnię, tworząc kolejne kałuże. Zaparkowałam możliwie blisko tylnego wyjścia, zamknęłam samochód i pobiegłam w kierunku drzwi.

- Kinsey! - usłyszałam tuż przy wejściu.

Z przeciwległego krańca parkingu nadchodziła Barbara Daggett. Musiała mocno trzymać parasol, by nie wyrwały go z jej ręki podmu-

chy wiatru. Miała na sobie piasecz przeciwdeszczowy i sportowe buty, a prawie białe włosy utworzyły aureolę wokół jej twarzy. Przytrzymałam drzwi i razem weszyliśmy do holu.

- Słyszałaś o moim ojcu?

- Dlatego tu jestem. Znasz szczegóły?

- Nie. Kwadrans po ósmej zadzwonił do mnie wuj Eugene. Wydaje mi się, że chcieli zawiadomić mamę, a on się nie zgodził. Jest tak ogłupiona lekami, że to i tak nie miałyby większego sensu. Wuj martwi się ojej reakcję, zwłaszcza w obecnym stanie.

- Twój wuj zamierza tu przyjechać? Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, powiedziałam mu, że sama wszystkim się zajmę. Nie ma żadnych wątpliwości, że to ojciec, ale ktoś musi potwierdzić jego tożsamość, żeby można było wydać ciało zakładowi pogrzebowemu. Naturalnie najpierw przeprowadzą sekcję. A ty skąd wiesz o wszystkim?

- Od jednego gliniarza. Mówiłam mu, że szukam twojego ojca, więc zadzwonił do mnie, jak tylko sprawdzili odciski palców. Zdążyłaś się z nim zobaczyć?

- Nie, ale najwyraźniej ktoś inny zdążył. - Złożyła parasol i otrząsnęła go z wody, po czym spojrzała na mnie. - Uważam, że ktoś go zabił.

Nie za wcześnie na takie przypuszczenia? - rzuciłam, lecz w głębi ducha czułam, że ma rację.

Minęliśmy hol i ruszyliśmy korytarzem w głąb budynku. Tutaj było znacznie cieplej, a w powietrzu unosił się zapach świeżej farby.

- Bez względu na wyniki sekcji, chcę, żebyś się tym zajęła - oznajmiła nagle.

- Od tego jest policja. Ja nie mam takich uprawnień. Może powinnaś poczekać i przekonać się, co oni zrobią w tej sprawie?

Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, ale się nie zatrzymała.

- Gównu ich obchodzi jego śmierć. Zresztą, dlaczego mieliby się przejmować? To tylko podstarzały pijak.

- Daj spokój. Nie muszą podchodzić do tego uczuciowo - powiedziałam. - Popelniono morderstwo, mają robotę do wykonania i wierz mi, że wykonają ją dobrze.

Znalazłyśmy się przed drzwiami kostnicy. Zapukałam i z pomieszczenia wyszedł ciemnoskóry mężczyzna ubrany w zielony kitel. Na identyfikatorze miał wypisane nazwisko: Hall Ingraham. Był szczer-

pły, o karnacji w kolorze orzecha włoskiego. Krótko przystrzyżone włosy i pociągła twarz o regularnych rysach upodobały go do antycznego posągu.

- To jest Barbara Daggett - oznajmiłam. Spojrzał na nią przelotnie.

- Mogą panie poczekać tutaj - rzekł, wskazując sąsiednie pomieszczenie. Otworzył zamknięte na klucz drzwi i wpuścił nas do poczekalni.

- Sekcja zacznie się za chwilę - oznajmił, po czym zostawił nas same.

Pokój był nieduży i skromnie umeblowany - cztery plastikowe niebieskie krzesła, niski drewniany stolik, zasłany starymi czasopismami, i telewizor zamontowany pod sufitem przy ścianie. Barbara spojrzała niepewnie na wyłączony ekran.

- Odbiera obraz z kamery zamontowanej w kostnicy - wyjaśniłam. - Będziemy mogły zobaczyć go tutaj.

Wzięła do ręki gazetę i zaczęła przeglądać ją nerwowo.

- Nie powiedziałaś mi, dlaczego cię zatrudnił - rzuciła. Zatrzymała wzrok na reklamie rajstop, sprawiając wrażenie, że wcale jej nie interesuje moja odpowiedź.

Teraz nie było już żadnego powodu, dla którego nie miałabym powiedzieć jej całej prawdy, lecz mimo to nie zamierzałam tego zrobić. Takie skrzywienie zawodowe - lubię zatrzymać część informacji dla siebie. Gdy się raz coś powie, przepadło, więc lepiej nie chlapać językiem.

- Chciał, żebym znalazła jednego dzieciaka, Tony'ego Gahana - zaczęłam ostrożnie.

Podniosła głowę i utkwiała we mnie spojrzenie dwubarwnych oczu. Złapałam się na tym, że zastanawiam się, który kolor podoba mi się bardziej. Zielony był bardziej tajemniczy, ale niebieski miał wyjątkowo przejrzysty odcień. No a oba razem sprawiały naprawdę niesamowite wrażenie - tak jakby ktoś jednocześnie włączył czerwone i zielone światło na skrzyżowaniu.

- Znasz go? - spytałam.

- To jego rodzice i siostra zginęli w tamtym wypadku, a także dwie inne osoby. Co tata od niego chciał?

- Twierdził, że Tony Gahan pomógł mu, gdy ukrywał się przed policją. Chciał mu podziękować.

Popatrzyła z niedowierzaniem.

- Przecież to bzdura!

- Tak też myślałam.

Zapewne chciała wyciągnąć ze mnie więcej, ale właśnie w tej chwili ekran telewizora zaczął śnieżyć, a po chwili pojawił się obraz doczesnych szczątków Johna Daggetta. Leżał na stole, przykryty po szyję prześcieradłem. Wyglądał jak manekin - większość zmarłych wygląda podobnie, jakby śmierć ścierała z twarzy ślady wszelkich doświadczeń i emocji. Teraz, z lekkim zarostem i zmierzwionymi włosami, Daggett wyglądał o wiele młodziej - można by go wziąć za dwudziestolatka.

Barbara wpatrywała się w milczeniu w ekran. Jej twarz zaróżowiła się; siedziała z rozchylonymi lekko ustami, a w kącikach oczu pojawiły się łzy. Staralam się nie patrzeć na nią, czułam się jak intruz. Z głośnika popłynął głos pracownika kostnicy.

- Proszę powiedzieć mi, gdy panie skończą. Barbara odwróciła gwałtownie głowę.

- Dziękuję. Wystarczy - powiedziałam i obraz znikł z ekranu.

W chwilę później rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł ten sam mężczyzna, trzymając w ręku zaklejoną szarą kopertę i jakiś dokument przypięty do tekturowej podkładki.

- Musimy wiedzieć, gdzie przekazać zwłoki - powiedział. Mówił głosem wyzbytym wszelkich emocji, charakterystycznym dla osób, które na co dzień obcuja z rodzinami tragicznie zmarłych. Rzeczowy, bezosobowy ton wypowiedzi pozwala przeprowadzić wszelkie niezbędne ustalenia i hamuje histeryczne zapędy. W tym przypadku mężczyzna mógł być spokojny. Barbara Daggett prezentowała cechy typowe dla businesswoman - biła od niej wyniosła pogarda, która zbijała z tropu większość mężczyzn. Cała jej postawa wyrażała spokój i opanowanie, gdy odezwała się oficjalnym tonem:

- Rozmawiałam z zakładem pogrzebowym Wynington-Blake. Proszę poinformować ich, kiedy zakończy się sekcja zwłok, a oni zajmą się już wszystkim. Czy mam podpisać ten formularz?

Skinął głową i podał jej podkładkę i długopis.

- Pokwitowanie odbioru rzeczy osobistych - wyjaśnił. Podpisała się niecierpliwie, jakby dawała autograf natrętnemu fanowi.

- Kiedy będą wyniki sekcji?

Wręczył jej kopertę z rzeczami, które znaleziono przy Daggetcie, i odparł:

- Pewnie wieczorem.

- Kto ją będzie prowadził?

- Doktor Yee. Ma zacząć o pół do trzeciej. Barbara Daggett spojrzała na mnie.
- Ta kobieta jest prywatnym detektywem. Chcę, żeby informowano ją o wszystkim. Czy mam zostawić upoważnienie?

- Nie mam pojęcia. Chyba istnieją jakieś przepisy dotyczące tej kwestii, ale nie jestem pewien. Jeśli pani chce, mogę sprawdzić.

Wsunęła swoją wizytówkę pod zacisk podkładki i oddała mu ją ze słowami:

- Proszę to zrobić i zadzwonić do mnie.

Po raz pierwszy spojrzał jej w oczy i widziałam, że zauważył dziwny kolor tęczy. Barbara minęła go szybkim krokiem i wyszła z pomieszczenia, prowadzona wzrokiem sanitariusza.

Wyciągnęłam do niego dłoń i przedstawiłam się:

- Nazywam się Kinsey Millhone, panie Ingraham. Uśmiechnął się i odparł:

- A, tak. Kelly Borden opowiadała mi o pani. Miło mi panią poznać. Kelly Borden była pracowniczką biura koronera, poznałam ją

w sierpniu, gdy prowadziłam śledztwo w związku z pewnym morderstwem.

- Mnie również - rzekłam. - Czy już coś wiadomo na temat tej sprawy?

- Niewiele. Przywieźli go o siódmej, tuż po moim przyjściu.

- A może wie pan chociaż, kiedy zginął?

- Nie znam dokładnej godziny, ale na pewno zmarł niedawno. Ciało nie było rozdęte gazami, a proces gnilny jeszcze się nie rozpoczął. Widziałem wielu topielców i na podstawie własnego doświadczenia uważam, że znalazł się w wodzie wczoraj późnym wieczorem lub w nocy, choć nie mam pewności. Jego zegarek zatrzymał się na drugiej trzydzieści siedem, ale to nie musi niczego dowodzić. Ten zegarek to szmelc i mógł być po prostu uszkodzony, zresztą oddaliśmy go razem z innymi rzeczami panie Daggett. A w ogóle to nic nie wiadomo. Jestem zwykłym, szeregowym pracownikiem i w zasadzie nie powinienem pani nic mówić. Doktor Yee dostanie szalu, jeśli dowie się, że z panią rozmawiałem.

- Obiecuję, że nic nikomu nie powiem. Zbieram informacje dla własnych celów. A co z ubraniem? Co miał na sobie, gdy go znaleziono?

- Marynarkę, spodnie i koszulę.

- Buty tak. Nie miał skarpetek, podobnie jak portfela i dokumentów.
- Czy na ciele są jakieś ślady zranienia?
- Nie, przynajmniej ja ich nie widziałem.

Żadne inne pytania nie przychodziły mi do głowy, więc podziękowałam mu i powiedziałam, że odezwę się niedługo.

Wyszłam z pomieszczenia i zaczęłam rozglądać się za Barbarą Daggett. Skoro miałam dla niej pracować, musiałyśmy omówić pewne sprawy.

ROZDZIAŁ 6

ZNALAZŁAM ją w holu - wyglądała przez przeszklone drzwi na parking. Deszcz padał nieprzerwanie, a korony drzew kołysały się, szarpane mocnymi podmuchami wiatru. Ciepły blask świateł palących się w budynkach otaczających parking tylko podkreślał chłód i wilgoć powietrza na zewnątrz. Do drzwi wejściowych zbliżała się jakaś pielęgniarka. Skakała przez kałuże niczym mała dziewczynka grająca w klasy, a spod rozchylonego płaszcza przeciwdeszczowego wychylał się biały fartuch. Krople deszczu utworzyły na białych rajstopach ciemniejsze plamy, a jasne buty pokrywały drobne kropeczki błota. Otworzyłam drzwi, by mogła wejść do środka. Obdarzyła mnie uśmiechem.

- O, dzięki! Tam jest prawdziwy tor przeszkód. - Strząsnęła wodę z płaszcza i ruszyła w głąb holu, zostawiając za sobą mokre ślady butów na podłodze.

Barbara Daggett stała bez ruchu, jakby wrosła w ziemię.

- Powinnam pójść do matki - oznajmiła. - Ktoś musi jej powiedzieć. - Odwróciła się i spojrzała na mnie. - Jaka jest twoja stawka?

- Trzydzieści za godzinę plus wydatki - to norma w tym mieście. Jeśli naprawdę chcesz mnie wynająć, podrzucę ci umowę do biura.

- A co z zaliczką?

Szybko przemyślałam sprawę. Zwykle biorę jakąś zaliczkę, zwłaszcza gdy, tak jak w tym przypadku, przewiduję rozmowy z policją. Prywatnego detektywa nie obowiązuje tajemnica zawodowa, dlatego zaliczka stanowi dla klienta swego rodzaju zabezpieczenie, gwarancję lojalności.

- Czteryście powinno wystarczyć - powiedziałam głośno. Ciekawe, dlaczego wymieniłam tę samą sumę, jaka widniała na czeku Daggetta? A jeszcze dziwniejsze, że nadal poczuwałam się do lojalności względem niego. Facet ewidentnie mnie oszukał, ale jednak zgodziłam się pracować dla niego i poczucie obowiązku kazało mi wywiązać się z umowy. Pewnie nie byłabym taka skłonna do poświęceń, gdyby nie leżał w kostnicy, ale umarli są zupełnie bezbronni i uważam, że ktoś z żywych powinien zadbać o ich interesy.

- W poniedziałek moja sekretarka wypisze ci czek - oświadczyła Barbara.

Znow odwróciła się do drzwi i spojrzała na zamglony parking. Po chwili oparła głowę o szybę.

- Wszystko w porządku?

- Nie masz pojęcia, ile razy życzyłam mu śmierci - powiedziała. - Miałaś kiedyś do czynienia z alkoholikiem?

Potrząsnęłam przecząco głową.

- Doprowadzają cię do szaleństwa. Nieraz patrząc na niego, byłam przekonana, że gdyby tylko chciał, mógłby przestać pić. Ileż to razy błagałam go, by przestał. Myślałam, że po prostu nie zdaje sobie sprawy z tego, jak krzywdzi mnie i mamę. Na zawsze zapamiętam ten wyraz oczu, gdy był pijany - małe, różowe, świńskie oczka. Cały był przesiąknięty tym smrodem. Burbon. Boże, jak ja nienawidziłam tego zapachu! Jakby ktoś wlał butelkę wódki do centralnego ogrzewania... fale smrodu. Zionął nim.

Obróciła głowę i zobaczyłam, że jej oczy są suche, a spojrzenie bezlitosne.

- Mam trzydzieści cztery lata i odkąd pamiętam, nienawidziłam go każdym nerwem, każdą komórką ciała. A teraz jestem w pułapce. Bo to on wygrał, prawda? Do końca życia się nie zmienił, nie wyszedł na prostą, nie dał nam nic. Był takim draniem. Gdy o nim myślę, mam ochotę rozbić te drzwi gołymi rękoma. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle obchodzi mnie, w jaki sposób zginął. Powinnam czuć ulgę, a zamiast tego czuję się podle. A najgorsze jest to, że nawet po śmierci będzie miał nadal władzę nad moim życiem.

- Jakim cudem?

- Zobacz, co już mi zrobił. Myślę o nim za każdym razem, gdy mam ochotę na drinka, gdy piję i gdy odmawiam. Kiedy rozmawiam z mężczyzną, który trzyma w ręku kieliszek, kiedy widzę pijaka na uli-

cy czy choćby poczuje zapach alkoholu, przed oczami staje mi jego twarz. Boże, gdy widzę kogoś, kto przeholował z pićem, robi mi się niedobrze. Moje życie jest pełne wspomnień po nim - przeprosin, fałszywych pochlebstw, pijackiej kurtuazji i szlochów. Te wszystkie aresztowania, odejścia i powroty, obietnice bez pokrycia. Kiedy miałam dwanaście lat, matka dostała obsesji religijnej i sama już nie wiem, co było gorsze. Tata przynajmniej wstawał trzeźwy. A ona epatowała Jezusem od świtu do zmierzchu - żalosne. No i jeszcze uroki bycia jedynaczką... Urwała w pół słowa, jakby nagle się opamiętała.

- Do diabła! To i tak nie ma już znaczenia. Wiem, że użalam się nad sobą, ale to było prawdziwe piekło, a co gorsza, trwa nadal.

- Jednak wydaje mi się, że całkiem nieźle sobie z tym poradziłaś -zauważyłam. Spojrzała w okno i zobaczyłam w szybie, że uśmiecha się ironicznie.

- Znasz tę teorię: najlepszą zemstą jest osiągnięcie sukcesu, mimo wszelkich przeciwności. Tak, poradziłam sobie, bo nie miałam innego wyboru. Myśl o ucieczce od tego wszystkiego dodawała mi sił. Wyjechać, uciec od nich obojga... A najśmieszniejsze jest to, że nadal tkwię w tym samym miejscu. Im szybciej uciekam, tym bardziej osuwam się z powrotem. Jest taka odmiana pajaków: zakopują się w jamę i przykrywają cienką warstewką ziemi. Gdy ich ofiara stanie nad otworem, ziemia osuwa się i nieszczęśnik spada prosto w łapy oprawcy. Prawo ma przepisy na wszystkie możliwe przestępstwa, z wyjątkiem jednego: nie potrafi zapobiegać krzywdom wyrządzanym przez rodzinę.

W końcu ruszyła się z miejsca. Wsunęła dłonie w kieszenie płaszcza i popchnęła ramieniem drzwi, wpuszczając do środka strumień lodowatego powietrza.

- Idziesz czy zostajesz? - zapytała.

- Skoro już wyszłam z domu, myślę, że podjadę na chwilę do biura - odrzekłam.

Nacisnęła przycisk na ręczce parasola, który otworzył się z cichym trzaskiem. Wzięła mnie pod ramię i razem ruszyliśmy w kierunku samochodu. Krople deszczu rozbijały się o powierzchnię parasola z odgłosem przypominającym pękanie ziaren kukurydzy prażonych na patelni.

Otworzyłam samochód i wsiadłam do środka. Barbara podążyła w kierunku swojego auta. Odchodząc rzuciła:

- Zadzwoń do mnie do biura, jak tylko będziesz coś wiedziała. Zostanę w pracy do drugiej.

Budynek, w którym mieściło się moje biuro, był opustoszały. California Fidelity nie pracują w weekendy, więc na ich piętze nie było nikogo. Weszłam do biura, zbierając z progu stertę listów, które listonosz wepchnął przez szparę w drzwiach. Na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości. Z górnej szuflady biurka wyjęłam egzemplarz umowy i poświęciłam kilka minut na jego wypełnienie. Sprawdziłam adres Barbary na jej wizytówce, wzięłam wypełniony formularz i wyszłam.

Podeszłam trzy przecznice do jej biura i zostawiłam umowę w sekretariacie. Następnie udałam się na komisariat policji przy ulicy Floresta. Koniec tygodnia w połączeniu z paskudną pogodą sprawił, że posterunek był równie opustoszały, jak moje miejsce pracy. Przestępcy nie przestrzegają czterdziestogodzinnego tygodnia pracy, ale nawet oni nie palą się do roboty w dzień taki jak ten. Na podłodze pokrytej linoleum widniała gmatwanina mokrych odcisków butów, niby ilustracja do opisu jakiegoś okropnie skomplikowanego tańca. W powietrzu unosił się zapach wilgotnych ubrań i dymu papierosowego. Na ławce tuż koło wejścia ktoś porzucił przemoczoną gazetę, która najwyraźniej służyła mu jako prowizoryczna ochrona przed deszczem.

Oficer siedzący w dyżurce zadzwonił po Jonaha, który po chwili pojawił się za zamkniętymi drzwiami holu i wpuścił mnie do środka.

Nie wyglądał dobrze. Przez lato udało mu się zrzucić cztery kilogramy i podobno nadal chodził na siłownię, więc na pewno nie miał kłopotów ze zdrowiem. Ale roztaczał wokół siebie aurę znużenia, która wraz ze zmierzwionymi włosami i głębokimi cieniami pod oczami nadawała mu mocno nieszczęśliwy wygląd.

- Co się z tobą dzieje? - spytałam, gdy prowadził mnie do swojego gabinetu. Po rocznej separacji, w czerwcu ponownie wrócił do żony, lecz z tego, co słyszałam, nie układało się im najlepiej.

- Ona chce związku bez zobowiązań - rzucił.

- Och, daj spokój! - burknęłam niecierpliwie. Zdobył się na zmęczony uśmiech.

- Przynajmniej tak twierdzi. - Otworzył drzwi i weszliśmy do obszernego pomieszczenia w kształcie litery L, zastawionego dużymi drewnianymi biurkami.

Wydział osób zaginionych stanowi część sekcji morderstw, która wraz z sekcją kradzieży, narkotykową i śledczą wchodzi w skład wy-

działu dochodzeniowo-śledczego. Teraz nie było tu nikogo, ale co rusz wchodziły i wychodziły różne osoby. Z pokoju przesłuchań, umieszczonego po drugiej stronie korytarza, dochodził przenikliwy kobiecy głos, z czego wywnioskowałam, że właśnie trwa przesłuchanie. Jonah zamknął drzwi wejściowe, żeby odgłosy pracy komisariatu nie przeszkadzały nam w rozmowie.

Podszedł do automatu z kawą i napełnił dwa kubki jednorazowe. Jeden wręczył mi wraz z małymi paczuszkami słodzika i śmietanki w proszku. Tylko tego było mi trzeba - filiżanka chemii na gorąco. Kawa mocno pachniała spalenizną.

Opisanie sprawy Daggetta zajęło mi kilka minut. Ponieważ nie było jeszcze wyników sekcji, mogliśmy przyjąć jedynie teoretycznie, że w grę wchodzi morderstwo. Mimo to opowiedziałam Jonahowi o wszystkim, co do tej pory się wydarzyło, i opisałam główne postaci dramatu. Zwracałam się do niego jak do przyjaciela, a nie policjanta, a on słuchał z czysto prywatnym zainteresowaniem.

- Dobrze, więc jak długo był na wolności, zanim go zamordowano? - spytał, gdy skończyłam.

- Prawdopodobnie od poniedziałku. Być może najpierw pojechał gdzie indziej, ale z tego, co mówi Lovella, wynika, że skoro potrzebował pomocy, najpewniej udał się prosto do Billy'ego Polo.

- Przydały ci się informacje na temat Polo?

- Jeszcze nie, ale na pewno się przydadzą. Zanim się nim zajmę, chcę poczekać na najnowsze wiadomości. Jestem przekonana, że nawet jeśli się okaże, iż był to wypadek, Barbara Daggett zechce, bym zbadała tę sprawę. Po pierwsze, co robił na morzu w środku burzy? Poza tym, gdzie podziewał się przez te wszystkie dni?

- A ty gdzie się podziewałaś? - wtrącił Jonah. Spostrzegłam, że zamierza zmienić temat rozmowy. ~ Kto? Ja? Kręciłam się tu i tam.

Wziął do ręki ołówek i zaczął wybijać nim rytm na stole. Utkwił we mnie spojrzenie, które dobrze znałam - pożądanie i niepewność.

- Spotykasz się z kimś?

Uśmiechnęłam się lekko i potrząsnęłam głową,

- Wszyscy fajni faceci, których znam, są już żonaci. - Próbowałam być zalotna, a jemu najwyraźniej przypadło to do gustu.

Nie spuszczał ze mnie wzroku. Na policzkach pojawił się lekki rumieniec.

- A co z seksem?

- Wystarcza mi codzienny jogging. A co u ciebie? Uśmiechnął się i w końcu odwrócił spojrzenie.

- Rozumiem, mam się odczepić, tak? Roześmiałam się.

- Ale skąd, wcale nie próbuję unikać odpowiedzi. Naprawdę jest tak, jak mówię.

- Naprawdę? Dziwne. Swego czasu miałaś większe potrzeby.

- To było dawno temu, teraz już się w to nie bawię. Łóżko przywiązuje ludzi do siebie, a ja niezbyt łatwo godzę się z więzami. Poza tym, w czym tu wybierać? Przygoda na jedną noc nie różni się wiele od gry w futbol - sporo zapasów i kilka szybkich przyłożeń. Nie mów mi, że jestem zepsuta. Po prostu wolę być sama.

- Rozumiem cię. Przez ostatni rok próbowałem sobie kogoś znaleźć, ale nic z tego nie wyszło. Chodziłem po barach, podrywałem dziewczyny, ale zawsze robiłem coś nie tak. Gdy próbowałem je zagadywać, kilka powiedziało mi, że je obrażam.

- I bardzo dobrze, że ci się nie udało. Ciesz się, że nie nauczyłeś się cynizmu. Znam paru facetów, którzy z podrywek w barach uczynili sposób na życie, i wierz mi, nie są szczęśliwi. Na własne życzenie pozbyli się wszelkich uczuć. Przepelnia ich nienawiść do kobiet. Rzadko zasypiają w pustym łóżku, ale to wszystko, co osiągnęli.

Do pokoju wszedł porucznik Becker i usiadł za biurkiem naprzeciw nas. Jonah znowu zaczął stukać końcem ołówka o blat. Po chwili przestał i odchylił się na krześle.

- Chciałbym, żeby życie było łatwiejsze - rzucił.

- Życie jest proste - zaczęłam łagodnym tonem. - To ty próbujesz je sobie komplikować. Z tego co zdążyłam zauważyć, wiodło ci się całkiem nieźle bez Camilli. Ale jak tylko kiwnęła palcem, poleciałeś do niej natychmiast. A teraz zastanawiasz się, w którym miejscu popełniłeś błąd. Przestań w końcu zachowywać się jak ofiara.

Teraz to on się roześmiał.

- Boże, Kinsey. Dlaczego nie powiesz tego, co myślisz, bez owijania w bawełnę?

- W porządku. Nie rozumiem, dlaczego dobrowolnie zgadzasz się na cierpienie. Jeśli jesteś nieszczęśliwy, zrób coś, żeby to zmienić. Jeśli nie możesz dogadać się z żoną, to ją rzuć. Co za problem?

- Ty tak zrobiłaś, prawda?

- Niezupełnie. Ja rzuciłam pierwszego, a drugi rzucił mnie. Przy obu odcierpiałam swoje, ale dopiero teraz widzę, że niepotrzebnie męczyłam się tak długo. To była głupota. Strata czasu, która sporo mnie kosztowała.

- Nigdy nie mówisz o swoich byłych mężach.

- Nie, ale kiedyś ci o nich opowiem.

- Pójdziemy po pracy na drinka?

Spojrzałam na niego uważnie i pokręciłam przecząco głową. Wiesz, że wylądujemy w łóżku.

- I o to chodzi, nieprawdaż? - Uśmiechnął się i zabawnie zmarszczył brwi.

Roześmiałam się i wstałam. Na koniec jeszcze raz wróciłam do Daggetta.

- Zadzwoń z wynikami sekcji.

- I tak bym zadzwonił.

- Najpierw wyprostuj swoje życie.

Odprowadził mnie wzrokiem do drzwi. Szybkim krokiem wyszłam z biura, Z trudem panowałam nad pokusą, by wrócić tam, wskoczyć mu na kolana i zasypać twarz pocałunkami. Wiedziałam jednak, że po takim występie komisariat policji już nigdy nie byłby taki sam. Gdy obejrzałam się przelotnie przez ramię, spostrzegłam, że Becker przygląda nam się bacznym wzrokiem, udając, że grzebie w papierach.

ROZDZIAŁ 7

SMIERĆ Daggetta uznano za nieszczęśliwy wypadek. Jonah zadzwonił do mnie do domu o czwartej i przekazał mi najnowsze wieści. Zamierzałam spędzić kolejne popołudnie w łóżku i skończyć książkę. Nastawiłam wodę na kawę i właśnie znów układałam się na sofie, gdy zadzwonił telefon. Kiedy powiedział mi o wynikach sekcji, byłam zaskoczona i nie do końca przekonana. Czekałam, że wyjaśni jakoś tę rewelację, ale nic nie powiedział.

- Czegoś tu nie rozumiem - stwierdziłam. - Czy doktor Yee zna wszystkie okoliczności tej sprawy?

- Kotku, w krwi Daggetta było trzy i pół promila alkoholu! Mówimy tu o ostrym zatruciu alkoholem etylowym, był o krok od śpiączki.

- 1 to było przyczyną śmierci?

- Nie, utonięcie. Ale Yee twierdzi, że nic ma żadnych śladów umyślnego działania osoby trzeciej. Daggett wszedł na łódź, zaplątał się w sieci i wypadł za burtę, a był zbyt pijany, żeby się ratować.

- Gówna prawda!

- Kinsey, niektórym przytrafiają się nieszczęśliwe wypadki. Nic na to nie poradzisz.

- Nie wierzę. Nie tym razem,

- Brygada dochodzeniowa zbadła miejsce tragedii i niczego nie znalazła. Nawet najmniejszej poszlaki. Znasz tych ludzi i wiesz, że są dobrzy w swoim fachu. Skoro twierdzisz, że w grę wchodzi morderstwo, przedstaw jakieś dowody. Dopóki tego nie zrobisz, śmierć Daggetta pozostaje nieszczęśliwym wypadkiem. Dla nas ta sprawa jest zamknięta.

- A co robił na łodzi po pijaku? - spytałam. - Był splukany, na dworze lało jak z cebra. Kto by mu wynajął łódź ot tak, na piękne oczy?

W słuchawce rozległo się głębokie westchnięcie.

- Nikt. Najwyraźniej Daggett wziął samowolnie małą łódkę przycumowaną w porcie. Komendant nabrzeża zidentyfikował tę łódź, poza tym cuma została przecięta nożem.

- Gdzie ją znaleźli?

- Na plaży koło mola. Nie było żadnych odcisków palców. Wcale mi się to nie podoba.

- Słuchaj, wiem, co sobie myślisz, i nawet cię rozumiem. Jeśli to ci pomoże, to wiedz, że w pewnym stopniu podzielam twoje zdanie. Ale co z tego? Potraktuj to jak dar od losu. Gdyby uznano, że zachodzi podejrzenie zabójstwa, miałybyś związane ręce. A tak masz *carte blanche* i możesz robić, co chcesz... naturalnie, w pewnych granicach.

- Czy Dolan wie, że się tym interesuję? - Porucznik Dolan był zastępcą komendanta wydziału i moim odwiecznym przeciwnikiem. Nie znosił prywatnych detektywów wściubiających nos w sprawy policji.

- Sprawę prowadzi Feldman, Nie powinien się czepiać. Jeżeli chcesz, to z nim porozmawiam.

- Byłoby dobrze - odparłam. - A skoro już się tym zajmujesz, porozmawiaj też z Dolanem. Mam dosyć użerania się z nim.

- W porządku. Zadzwoń w poniedziałek. A ty informuj mnie na bieżąco, jeśli czegoś się dowiesz.

- Dobrze. Dziękuję.

Odłożyłam słuchawkę i natychmiast wykręciłam numer Barbary Daggett. Przekazałam jej uzyskane informacje. Skwitowała je milczeniem.

- I co o tym myślisz? - zapytała w końcu.

- Pozwól, że ujmę to tak: nie jestem przekonana, ale to ty płacisz. Jeśli chcesz, mogę powęszyć tu i tam przez kilka dni. Jeżeli nie znajdę niczego, damy sobie spokój i będziesz musiała się z tym pogodzić.

- Masz jakieś konkretne podejrzenia?

- Żadnych. Muszę po prostu podjąć trop i zobaczyć, dokąd mnie zaprowadzi. Być może donikąd, ale przynajmniej będę mogła powiedzieć, że próbowałam.

- W takim razie zrób to.

- W porządku. Odezwę się.

Odsunęłam koldrę i wstałam. Miejmy nadzieję, że Billy Polo jest gdzieś w okolicy. W tej chwili był jedynym punktem zaczepienia.

Napełniłam termos kawą, przygotowałam kanapkę z masłem orzechowym i marynatą i zapakowałam ją do papierowej torebki, zupełnie jakbym szła do szkoły. Zresztą, czułam się podobnie... to samo tępe uczucie strachu, co przed laty, gdy jako przerażona ośmiolatka dreptałam do podstawówki imienia Woodrowa Wilsona. Wcale nie miałam ochoty wychodzić na ten deszcz. Nie chciałam spotykać się z Billym Polo, który zapewne był niezłym czubkiem. Wydawał mi się niepokojąco podobny do paskudnych szóstoklasistów, których niegdyś tak się bałam... podły, bezwzględny i nieprzewidywalny.

Z głębi szafy wydobyłam ortalionową kurtkę i parasol. Z żalem opuściłam ciepłutkie mieszkanko i pojechałam na Merced Street, pod ostatni znany adres Billy'ego Polo. Było piętnaście po czwartej, ale na dworze panował już półmrok. Dzielnica musiała być niegdyś urocza, lecz w miarę jak bloki wypierały domki jednorodzinne, straciła urodę i obecnie stanowiła chaotyczną mieszaną podmiejskiej sielskości z wielkomiejskim zaniedbaniem. Pomędzy małymi zgrabnymi domkami poutykano trzypiętrowe szare kamienice. Wszystko razem sprawiało wrażenie, jakby dzielnicę planował architekt ignorant.

Zaparkowałam pod drzewem pieprzowca i schroniłam się pod jego gałęziami, walcząc z opornym parasolem. Wcześniej sprawdziłam nazwiska i numery domów dwóch byłych sąsiadów Polo. Miałam nadzieję, że któryś z nich może coś wiedzieć o jego rodzinie.

Pierwsze drzwi, do których zastukałam, otworzyła starsza kobieta na wózku inwalidzkim - nogi obute w wysoko sznurowane trzewiki były spowite bandażami. Po obu stronach podeszwy widniały małe nacięcia, przez które wystawały opuchnięte palce stóp. Kobieta nie wpuściła mnie do mieszkania, więc stojąc na rozchwianym ganku, rozmawiałam z nią przez siatkę wmontowaną w futrynę drzwi. Staruszka z trudem przypominała sobie Billy'ego, a już na pewno nie miała pojęcia, co się z nim stało ani dokąd się wyprowadził. Natomiast poradziła mi, abym udała się do małego domku na tyłach sąsiedniej posesji. Tego adresu nie miałam w spisie sporządzonym na podstawie wykazu ulic. Powiedziała mi, że w głównym budynku mieszkała niegdyś rodzina Billy'ego, natomiast mniejszy dom od ponad trzydziestu lat miał tego samego lokatora, starszego dżentelmena nazwiskiem Talbot. Podziękowałam jej za pomoc i ostrożnie zesłam po śliskich schodkach, kierując się w stronę sąsiedniej parceli.

Główny budynek był z pewnością jednym z najstarszych w okolicy - parterowy biały domek ze skośnym dachem, mansardą i gankiem, teraz zabitym deskami i zawalonym wszelkim śmieciem. Wydawało mi się, że rozpoznaję tył starej lodówki, a za nią coś, co przypominało stare skrzynki wypełnione starymi książkami. Wzdłuż ściany domu kłębił się szpaler zdziczałych hortensji i bluszczu. Obeszłam budynek szerokim łukiem, gdyż woda wypływająca szerokim strumieniem z rynny utworzyła na podjeździe całkiem sporą kałużę.

Budowla na tyłach ogrodu musiała być niegdyś szopą na narzędzia, z przybudówką z jednej strony, a małą wiatą garażową z drugiej. W zasięgu wzroku nie było jednak żadnego samochodu, a większość miejsca pod daszkiem zajmował stos drewna kominkowego, złożony przy ścianie budynku. Na pozostałej przestrzeni z trudem zmieściłby się rower.

Dom osadzony na kamiennych fundamentach był zbudowany z pomalowanego na biało drewna. Po obu stronach drzwi wejściowych znajdowały się okna, dach wieńczył mały komin. Całość, włącznie z cienką smugą dymu, unoszącego się nad dachem, do złudzenia przypominała dziecięcy rysunek.

Zapukałam do drzwi i w progu stanął bezzębny, pomarszczony staruszek. Czubek nosa i wystająca broda prawie się stykały, przedzielone ledwo widoczną, wąską linią ust. Spojrzał na mnie, ale gdy tylko się zorientował, że nie jestem kimś, kogo zna, pospiesznie cofnął się w głąb domu i po chwili wrócił ze sztuczną szczęką w dłoni. Uśmiechnął się nieśmiało i włożył ją do ust, z chrupnięciem przypominającym zgrzyt końskich zębów na wędzidle. Miał koło siedemdziesiątki - wątła, blada twarz poznaczona czerwonymi plamami i błękitnymi żyłkami; śnieżnobiałe, półdługie włosy spadały na kark, tworząc za uszami sterczące kępki, a nad czołem wysoką falę. Ubrany był w wypłowiałą koszulę i rozpinany sweter, najwyraźniej damski, sądząc po szklanych guzikach umieszczonych po złej stronie ściągacza. Drżącą dłonią przyglądał włosy i spojrzał na mnie wyczekująco.

- Pan Talbot?

- Zależy, kto pyta - odparł.

- Nazywam się Kinsey Millhone. Pańska sąsiadka poradziła mi, żebym porozmawiała z panem. Szukam Billy'ego Polo, jego rodzina mieszkała w domu od frontu jakieś pięć lat temu.

- Znam Bihyego. Czego pani od niego chce?

- Potrzebuję pewnych informacji na temat jego kumpla - wyjaśniłam i pokrótce przedstawiłam mu sprawę. Nie miałam żadnych powodów, żeby kłamać, więc powiedziałam prawdę.

Staruszek zmrużył oczy i powiedział:

- Billy Polo to bardzo paskudny facet. Mam nadzieję, że zdaje sobie pani z tego sprawę. - Mówił trzęsącym się głosem i zauważyłam, że cały lekko drży. Pewnie choroba Parkinsona, pomyślałam.

- Tak. Słyszałam, że do niedawna siedział w więzieniu. To tam chyba poznał człowieka, o którego mi chodzi. Nie wie pan czasem, gdzie mogłabym znaleźć Billy'ego?

- Cóż, ten dom należał do jego matki - odparł, wskazując głową na główny budynek. - Sprzedała go jakieś dwa lata temu, gdy ponownie wyszła za mąż.

- Czy nadal mieszka w Santa Teresa?

- Tak, o ile pamiętam na Tranvia Street. Po mężu nazywa się Christopher. Proszę chwilę poczekać, poszukam jej adresu. - Powlókł się do mieszkania, a po chwili wrócił z małym kalendarzykiem w ręku. - To cudowna kobieta. Co roku wysyła mi życzenia bożonarodzeniowe. O, tu jest. Bertha Christopher, ale wszyscy mówią do niej Betty. Jeśli ją pani spotka, proszę pozdrowić ją ode mnie.

- Dobrze, panie Talbot. Bardzo dziękuję za pomoc.

Tranvia Street była jedną z tych szerokich, pozbawionych drzew ulic za Milagro, po wschodniej stronie miasta. W okolicy dominowały drewniane parterowe domki z małymi ogródkami za siatkowym ogrodzeniem. Krople deszczu rozbijały się na liściach nienaturalnie wysokich krzaków poinsecji, a na betonowych podjazdach mokły w kałużach porzucone zabawki. Dzielnica była mocno zaniedbana, toteż pomalowany na musz-tardowo dom Berthy Christopher korzystnie wyróżniał się na tym tle. Zaparkowałam volkswagena po drugiej stronie ulicy, w odległości jakichś piętnastu metrów od domu, tak aby móc obserwować posesję, nie zwracając na siebie uwagi. Auta tutejszych mieszkańców były w większości mocno zdezelowane, więc mój samochód doskonale tu pasował.

Było już po piątej. Robiło się coraz ciemniej, a temperatura powietrza wyraźnie spadała. Deszcz jakby zelżał, więc zostawiłam parasol w samochodzie. Zamiast tego wciągnęłam na siebie żółtą kurtkę i podniosłam kaptur. Zamknęłam samochód i skacząc między kałużami, dotarłam na drugą stronę ulicy. Krople deszczu bębniły o ortalion i czułam się, jakbym siedziała pod namiotem.

Posesję Christopherów otaczał niski kamienny murek, zrobiony z dużych jak melony bloków piaskowca, połączonych zaprawą. Parapety frontowych okien udekorowano doniczkami z pnączem, a na ganku powieszono małe dzwonki rurkowe, które brzęczały cicho, poruszane wiatrem. Na werandzie stał mały metalowy stolik i dwa krzesła ogrodowe. Wszystko było pokryte cienką warstewką wody, a powietrze pachniało mokrą trawą.

Przy drzwiach wejściowych nie było dzwonka, więc zapukałam lekko w szybkę, po czym zbliżyłam do niej twarz, żeby zerknąć do środka. Wewnątrz panowały ciemności, nie paliły się też światła z tyłu domu. Przechyliłam się przez barierkę i sprawdziłam sąsiednie domy, w których również było ciemno. Uznałam, że ich mieszkańcy nie wrócili jeszcze z pracy, poczekałam więc kilka minut i wróciłam do samochodu.

Zapaliłam silnik i włączyłam na chwilę ogrzewanie, tak aby szyby pokryły się mgiełką. Potem przetałam ją w jednym miejscu, aby widzieć, co dzieje się na ulicy, usiadłam wygodnie i zaczęło się oczekiwanie. Za kwadrans szósta zjadłam kanapkę. Nie byłam zbyt głodna, ale nie miałam nic lepszego do roboty. Pół godziny później napoczęłam termos z kawą i włączyłam radio, gdzie leciał właśnie wywiad z jakimś nawiedzonym artystą. Tuż po wiadomościach o pół do siódmej na ulicy pokazał się jakiś samochód. Zwolnił, po czym skręcił na podjazd przed domem Christopherów.

W słabym świetle latarni zobaczyłam, że wysiada z niego jakaś kobieta. Przystanąła na chwilę, żeby rozłożyć parasolkę, ale zmieniła zdanie i ruszyła przez deszcz w kierunku tylnego wejścia. Za chwilę w domu zapaliły się kolejne światła... najpierw w pomieszczeniu po lewej stronie, prawdopodobnie kuchni, potem w salonie, a na końcu lampka nad drzwiami wejściowymi. Dałam jej kilka minut na zdjęcie płaszcza i ruszyłam ku drzwiom wejściowym.

Zapukałam. Zobaczyłam, jak wychodzi z pokoju w głębi domu i zbliża się do drzwi. Podeszła bliżej i przyjrzała mi się uważnie przez szybkę w drzwiach.

Miała około pięćdziesięciu lat, ziemistą cerę i twarz pokrytą głębokimi zmarszczkami. Brązowe włosy, o zbyt doskonałym kolorze, by można uznać go za naturalny, były rozdzielone przedziałkiem z boku głowy, z puszystą grzywką. Jej oczy miały wielkość i kolor miedziaków, a makijaż wyraźnie domagał się kilku poprawek. Była ubrana

w uniform, który widziałam już kiedyś, ale teraz nie bardzo go kojarzyłam - brązowe spodnie i tunika w brązowo-żółtą kratkę.

- Słucham? - spytała przez drzwi.

- Szukam Billy'ego - odparłam, próbując przekrzyczeć deszcz. - Czy wrócił już do domu?

- On tu nie mieszka, kotku, ale powiedział, że wpadnie dziś koło ósmej. Jak się pani nazywa?

Podalam pierwsze imię, jakie przyszło mi do głowy:

- Charlene. Pani jest jego matką?

- Charlene i jak dalej?

- Znajomy Billy'ego poradził mi, żebym do niego zajrzała, jeżeli będę kiedyś w Santa Teresa. Billy jest w pracy?

Kobieta spojrzała na mnie dziwnie, jakby samo przypuszczenie, że jej syn może gdzieś pracować, wydało jej się niedorzeczne.

- Pojechał do komisji samochodowego, zamierza kupić używane auto.

Miała jedną z tych pospolitych twarzy, które zawsze kogoś przypominają, ale dopiero teraz dotarło do mnie, skąd ją znam - była kasjerką w supermarkecie, w którym często robiłam zakupy. Kiedyś nawet rozmawiałam z nią na temat mojej pracy. Cofnęłam się szybko poza obręb światła, mając nadzieję, że rozpoznanie nie było obustronne. Podniosłam też kołnierz kurtki, udając, że osłaniam twarz przed wiatrem.

Kobieta chyba domyśliła się, że coś tu nie gra.

- Czego pani od niego chce?

Udałam, że nie dosłyszałam pytania, i powiedziałam gromkim głosem;

- To może przyjdę jeszcze raz, gdy wróci? Proszę przekazać mu, że Charlene chciała się z nim zobaczyć. Wpadnę, jak będę miała chwilę czasu.

- No dobrze - zgodziła się z wahaniem.

Pomachałam jej na pożegnanie i zeszłam po schodkach na ciemny podjazd, w pełni świadoma, że matka Billy'ego obserwuje mnie zza Firanki. W chwilę później prawdopodobnie straciła mnie z oczu, ponieważ światło na ganku zgasło.

Gdy wsiadałam do samochodu, poczułam zniechęcający dziwny dreszcz. Przy spotkaniu twarzą w twarz z Billym mogę powiedzieć mu prawdę, ale na razie nie ma potrzeby, by odkrywać wszystkie karty. Spojrzałam na zegarek i usadowiłam się wygodnie, przygotowana na kilkugodzinne czekanie. Zapowiadała się długa noc.

ROZDZIAŁ 8

UPLYNĘŁY cztery godziny, deszcz w końcu ustał i coraz wyraźniej widać było, że Billy prawdopodobnie w ogóle nie przyjedzie. Być może kupił samochód i teraz wypróbował jego możliwości na podmiejskich szosach albo też zadzwonił w międzyczasie do matki i zrezygnował z wizyty, słysząc, że szuka go jakaś Charlene. Wypiłam cały termos kawy i głowa dosłownie pękała mi od kofeiny. Gdybym paliła papierosy, pewnie napoczytałabym już drugą paczkę, a tak spędzałam czas, słuchając radia - wiadomości na zmianę z hiszpańskimi piosenkami. Zastanawiałam się, czy przez samo słuchanie dźwięków, które wykręcały mi żołądek na drugą stronę, nauczę się hiszpańskiego. Pomyślałam o Jonahu i innych znanych mi żonatych mężczyznach. Gdyby ktoś złamał mi serce, zapewne te rzewne melodie wycisnęłyby mi łzy z oczu, aczkolwiek dałabym głowę, że teksty piosenek mówiły o zwalczaniu stonki ziemniaczanej albo kłopotach z prostatą. Tak czy inaczej, nudziłam się śmiertelnie i pewnie w końcu pokłóciłabym się sama ze sobą, gdyby nie to, że wreszcie zaczęło się coś dziać. Zza zakrętu wyjechał jakiś samochód i zaparkował przy krawężniku, koło domu Chri-stopherów. Wyglądał na chevroleta, rocznik 1967 - biały, z tymczasową tablicą rejestracyjną, zatknietą za przednią szybę. Ledwie widziałam kierowcę, ale obserwowałam uważnie, jak w dwóch susach pokonał schodki i zapukał do drzwi wejściowych.

Betty Christopher wpuściła go do środka i oboje zniknęli mi z pola widzenia. W chwilę później w oknie kuchni pojawiły się cienie ich sylwetek - zgadywałam, że szykuje się szczerą pogawędkę przy piwie. Jednak zaraz potem drzwi wejściowe ponownie się otworzyły i wy-

szedł z nich właściciel chevroleta. Szybko zsunęłam się na siedzeniu tak, że moje oczy znalazły się na wysokości dolnej krawędzi szyby. Niebo nadal spowijała gruba warstwa chmur, które zupełnie zakryły księżyc, ale mimo mroku ciemne sylwetki aut odznaczały się całkiem wyraźnie. Mężczyzna rozejrzał się dookoła, po czym ruszył w kierunku ulicy. Serce zamarło mi z przerażenia, gdy zobaczyłam, że zmierza w moją stronę.

Przystanął na środku ulicy. Następnie podszedł do furgonetki zaparkowanej dwa samochody od mojego volkswagena. Zapalił małą latarkę, otworzył drzwi od strony kierowcy i zajrzał do środka, zapewne w poszukiwaniu jakichś dokumentów wozu lub jego właściciela. Na dłuższą chwilę straciłam go z oczu. Obserwowałam cienie, zastanawiając się, czy obejdzie samochód i pojawi się z drugiej strony, bliżej mnie. Potem usłyszałam przytłumiony trzask zamykanych drzwi. Snop światła latarki przesunął się po masce auta przede mną i przedniej szybie mojego samochodu, ale na szczęście był zbyt słaby, by rozproszyć ciemności panujące wewnątrz wozu. Mężczyzna zrezygnował z poszukiwań, ale jeszcze chwilę lustrował ulicę uważnym spojrzeniem. W końcu uznał, że nie ma powodów do obaw, i ruszył z powrotem do domu. Zanim dotarł do drzwi, na ganku pojawiła się właścicielka -tym razem miała na sobie szlafrok. Rozmawiali cicho przez kilka minut, po czym mężczyzna wsiadł do samochodu i odjechał. Jak tylko drzwi domu zamknęły się za panią Christopher, włączyłam silnik, zawróciłam i podążyłam za chevroletem. Miałam nadzieję, że to nie był przemyślny podstęp, mający na celu wywieść mnie w pole.

Mężczyzna kilkakrotnie skręcał, toteż zanim go dojrzałam, był już dwie przecznice ode mnie. Jechaliśmy bocznymi ulicami bez żadnych świateł ulicznych, tylko czasami przed skrzyżowaniem pojawiał się znak stop. Musiałam zbliżyć się do chevroleta, w przeciwnym razie groziło mi, że go zgubię. Jeśli się nie zna tego, kogo się śledzi, i nie wie, dokąd on zmierza, jednoosobowy „ogon” ma małe szanse powodzenia. O tej porze, gdy ulice są puste, prędzej czy później facet zorientuje się, że nie jadę za nim przypadkowo.

Z początku myślałam, że kieruje się na autostradę, ale zanim dojechaliśmy do północnego zjazdu, zwolnił i skręcił w prawo. Wtedy byłam już ledwie pół przecznicy za nim, więc gdy zniknął za zakrętem, podjechałam do krawężnika i zgasiałam silnik. Wsiadłam z samochodu i poszłam pieszo do rogu ulicy, po czym spojrzałam na prawo. Zdą-

żyłam zobaczyć tylne światła chevroleta, który w połowie ulicy skręcił w lewo na obskurny parking dla przyczep kempingowych.

Puentę to wąska uliczka we wschodniej części miasta, biegnąca równolegle do autostrady nr 101, a sam kemping jest wciśnięty między ulicę a autostradę, od której oddziela go trzymetrowy drewniany parkan i kłębówisko krzewów oleandru. Szybkim krokiem ruszyłam w jego kierunku. Światła we wszystkich domach były wygaszone, a na podjazdach stały stare, mocno nadwerężone samochody. Ulica była słabo oświetlona, ale w oddali widziałam kolorowe plamy światła, rzucane przez różnobarwne żarówki, którymi obficie obwieszono teren kempingu.

Zanim dotarłam do bramy wjazdowej, Chevrolet gdzieś zniknął, ale ponieważ teren nie był zbyt rozległy, wiedziałam, że znajdę go bez trudu. Przez cały kemping biegła dość szeroka utwardzona droga. Asfalt błyszczał jeszcze od deszczu, a z drzew eukaliptusowych, którymi obsadzono przejazd, ściekały rytmicznie krople wody. Wszędzie pomykano rozmaite ostrzeżenia: UWAGA PROGI - ZWOLNIJ, PARKING TYLKO DLA MIESZKAŃCÓW, DROGA WYJAZDOWA - NIE ZASTAWIAĆ.

Większość przyczep miała standardowe wymiary - około czterech, pięciu metrów długości, z jakimi zwykło się wyjeżdżać na wakacje. Przeważały modele Nomad, Airstream i Concord. W oknie każdej przyczepy umieszczono kartonową tablicę opatrzoną numerem odpowiadającym numerowi działki, na której parkował dany pojazd. Część z nich postawiono na wąskich trawniczkach - te były zapewne turystów, ale większość należała do stałych mieszkańców, i sądząc po wyglądzie, stały tu od dawna. Kemping podzielono na małe, wybetonowane parcele, rozdzielone niskimi drewnianymi płótkami lub rozwieszonymi na drągach bambusowymi matami. Nieliczni posiadali skromne trawniczki, udekorowane plastikowymi figurkami jeleni albo flamingów.

Była już prawie jedenasta i w wielu przyczepach panowały ciemności. W niektórych oknach widać było charakterystyczną stalowoniebieską poświatę włączonego telewizora. Po krótkich poszukiwaniach znalazłam chevroleta - jego maska była jeszcze gorąca, a silnik cicho stukał. Samochód stał przy ciemnozielonej, mocno sponiewieranej przyczepie. Markiza nad wejściem była oddarta i brakowało metalowej listwy. Z wnętrza dobiegał tępy łomot zbyt głośnej muzyki.

Okrągłe okienka rozświetlone blaskiem światła umieszczone były jakieś dwa metry od ziemi. Przemknęłam jak najbliżej przyczepy,

ukradkiem sprawdzając, czy nikt nie dostrzegł mojej obecności. Na szczęście na sąsiedniej przyczepie widniał napis DO WYNAJĘCIA, a w drugiej, położonej naprzeciwko, wszystkie zasłony były zaciągnięte. Cichutko podeszłam do okna i stanęłam na palcach, ostrożnie zaglądną do środka. Okno było lekko uchylone, a z wewnątrz wydobywał się gorący strumień powietrza, przyprawiony zapachem smażonej cebuli. Stare ścierki kuchenne zawieszona na mosiężnym pręcie zastępowały zasłony, ale wisiały na tyle niedbale, że z miejsca, w którym stałam, widziałam całkiem nieźle Billy'ego Polo i kobietę, z którą rozmawiał. Siedzieli przy składanym stoliku w części kuchennej, pili piwo i sądząc z ruchu ust, rozmawiali, aczkolwiek głośna muzyka skutecznie zagłuszała słowa. Wnętrze przyczepy stanowiło przygnębiający kolaż ścian oklejonych taną tapetą, brudnych naczyń, śmieci, podartej tapicerki, gazet i stosów puszkowanego jedzenia poupychanego na szafkach. Naklejka umieszczona nad wejściem głosiła buńczucznie: BYŁEM WE WSZYSTKICH CZTERDZIESTU OŚMIU STANACH!

Na wielkim kartonowym pudle stał włączony czarno-biały odbiornik telewizyjny. Na ekranie rozgrywały się właśnie ostatnie sceny jakiegoś serialu kryminalnego. Akcja najwyraźniej nabierała rumieńców - rozpedzony samochód wpadł w poślizg i przewracając się do góry nogami, spadł z wysokiego klifu, eksplodując w powietrzu. Następny kadr prznosił widzów do biura, w którym siedziało dwóch mężczyzn, a jeden z nich rozmawiał przez telefon. Billy i jego towarzyszka nie zwracali najmniejszej uwagi na film, zresztą i tak trudno byłoby im cokolwiek usłyszeć przy ryku dobywającym się z głośników radia.

Poczułam skurcz w prawej łydce. Rozejrzałam się dokoła, szukając czegoś, na czym mogłabym stanąć i odciążyć zbolące nogi. Trawnik przy sąsiedniej przyczepie porastały skłębione krzaki, a po całej działce walały się jakieś rupiecie. Przy drzwiach wejściowych stały drewniane przenośne schodki. Przedzierając się przez mokre gałęzie, dotarłam do przyczepy, zabrałam schodki i przytargałam je z powrotem pod okno Billy'ego Polo. Miałam nadzieję, że głośna muzyka skutecznie zagłuszy wszelkie odgłosy.

Ostrożnie wspierałam się na stopnie i jeszcze raz zajrzałam do wnętrza przyczepy. Billy Polo wyglądał zdumiewająco młodo jak na faceta, który przeżył trzydzieści lat w rynsztoku. Miał ciemne, kręcone włosy, mały nos, mięsiste usta i dołek w brodzie, który wyglądał jak ślad po ukłuciu igły. Nie był potężnie zbudowany, ale żyłaste mięśnie znamionowały sporą siłę. Miał w sobie coś z maniaka, jakieś wyczu-

walne napięcie w sposobie poruszania się i gestykulacji. Rozmawiając, rozglądał się niespokojnie lub, odwrotnie, wpatrywał w jeden punkt, jakby bał się kontaktu wzrokowego z rozmówcą.

Kobieta miała niewiele ponad dwadzieścia lat - szerokie usta, mocny podbródek i perkaty nos, który wyglądał, jakby ktoś przykleił jej do twarzy grudkę gliny. Nie była umalowana, gęste jasne włosy spadały nierówno przyciętymi falami na ramiona. Błądą skórę pokrywała masa piegów. Była ubrana w za dużą męską bonzurkę i najwyraźniej ku-rowała się z przeziębienia. Co chwila wyjmowała z kieszeni zwitek chusteczek higienicznych i z głodnym trąbieniem wydmuchiwała nos. Siedziała tak blisko okna, że dokładnie widziałam czerwone otarcia wokół jej nosa i górnej wargi. - Zastanawiałam się, czy nie jest czasem dziewczyną Billy'ego. Sposób, w jaki odnosili się do siebie, nie wskazywał na wielką namiętność, ale z pewnością łączyła ich spora zażyłość. Może łączyło ich niegdyś uczucie, które teraz najwyraźniej spowszedniało.

Nieprzerwana rockandrollowa rąbanka doprowadzała mnie do szaleństwa. Przy takim hałasie nie usłyszę ani słowa z ich rozmowy. Zeszłam ze schodków i okrążając przyczepę, podeszłam do drzwi wejściowych. Tu okno było otwarte na oścież, ale dokładnie zasunięte zasłony nie dawały szans na zajrzenie do środka.

Poczekalam na przerwę między piosenkami, wzięłam głęboki oddech i zaczęłam walić do drzwi.

- Hej, wyłączcie tę cholerną muzykę! - wrzasnęłam. - Ludzie próbują tu spać!

Z wnętrza przyczepy odezwał się głos kobiety - Przepraszam! -Muzyka gwałtownie przycichła, więc szybko wróciłam pod tylne okno, by sprawdzić, czy teraz zdołam coś podsłuchać.

Cisza, która zapanowała, była niczym balsam dla mych uszu. Film w telewizji najwyraźniej się skończył, a jego miejsce zajęły reklamy, ale głos był wyłączony, więc chociaż postaci na ekranie poruszały ustami, nie wydobywał się z nich żaden głos. Mimo że Billy i jego towarzyszką nie grzeszyli dobrą dykcją, zdołam usłyszeć, o czym rozmawiali.

- ...a jak myślałeś? Pewnie, że tak powie - powiedziała dziewczyna.

- Nie lubię presji. Nie chcę, żeby wisiała mi na karku... - Reszta słów była niezrozumiała.

- A co za różnica? Nikt jej nie zmusza. Do cholery, jest wolna, biała i pełnoletnia... chodzi o to, że... pchanie się w... ona po prostu nie wie... wszystko, prawda?

Zniżyła głos, a Billy zasłonił usta dłonią, więc nie usłyszałam ani słowa z jego odpowiedzi. Tak czy inaczej, nie powiedział chyba niczego ważnego, ponieważ ledwie zwracał uwagę na dziewczynę, wpatrzony w ekran telewizora. Zaczynały się właśnie lokalne wiadomości, czyli musiała minąć jedenasta. Jak zawsze najpierw pokazano czołówkę, po czym kamera zrobiła długi najazd na stół, przy którym siedzieli dwóch prezenterów w garniturach: jeden czarny, drugi biały - typowy zestaw dla epoki poprawności politycznej. Kamera pokazała zbliżenie Murzyna, a na ekranie za jego plecami pojawiło się na moment zdjęcie Johna Daggetta. Potem jego miejsce zajęła migawka z plaży - po dłuższej chwili uświadomiłam sobie, że to tam znaleźli ciało Daggetta. Na dalszym planie widać było pogłębiarkę pracującą u wejścia do portu.

Billy podskoczył jak oparzony i złapał dziewczynę za rękę, a ta odwróciła się, by zobaczyć, o co chodzi. Prezenter monotonnym głosem odczytywał informacje, przekładając kolejne kartki. Następnie operator skierował kamerę na drugiego dziennikarza, a na ekranie pojawił się obraz miejscowego wysypiska śmieci.

Billy i dziewczyna spojrzeli po sobie ze zdenerwowaniem. Billy nerwowo wykręcał palce.

- Jezu!!

Kobieta cisnęła w niego gazetą leżącą na stole.

- Mówiłam ci! Jak tylko przeczytałam, że na plaży znaleziono zwłoki jakiegoś kloszarda, wiedziałam, że to on. Do cholery, Billy! Wszystko, czegokolwiek się tkniesz, zmienia się w gówno! Wydaje ci się, że jesteś taki sprytny. Zabezpieczyłeś się. Akurat! Wygląda na to, że nawet nie wiesz, o czym mówisz!

- Przecież nie wiedzą, że go znaleźliśmy. Skąd niby mają się dowiedzieć? Spojrzała na niego z pogardą, wściekła, że jeszcze próbuje się tłumaczyć.

- Już gliny wiedzą, skąd. Pewnie zidentyfikują go na podstawie odcisków palców, no nie? Więc dowiedzą się, że siedział w San Luis. Nie trzeba geniusza, by odkryć, że siedział tam w tym samym czasie. Ani się obejrzysz, jak ktoś zapuka do twoich drzwi: „Kiedy ostatni raz widział pan tego człowieka” i cały ten bajzel.

Gwałtownie podniósł się z miejsca. Wszedł do kuchni i otworzył szafkę.

- Masz Black Jacka?

- Nie, nie mam. Wypiłeś wszystko wczoraj.

- Ubierz się. Wskoczmy do Huba.

- Biliy, jestem chora! Nie zamierzam nigdzie wychodzić o tej porze. Idź sam. A w ogóle, po co masz pić?

Włożył kurtkę i odparł:

- Masz jakąś forszę? Jestem splukany.

- Idź do pracy. Zaczynaj w końcu płacić za siebie. Mam dosyć utrzymywania cię.

- Powiedziałem, że ci oddam. O co ci chodzi? Daj spokój - przekonywał, niecierpliwie pstrykając palcami.

Z wystudiowaną powolnością dziewczyna otworzyła torebkę, wyjęła pięć dolarów i wręczyła Billy'emu, który przyjął je bez słowa.

- Zostajesz na noc? - spytała.

- Jeszcze nie wiem. Może tak. Na wszelki wypadek nie zamykaj drzwi.

- Dobrze, ale zachowuj się cicho. Czuję się podle, więc lepiej mnie nie budź.

Wyciągnął ręce i położył kobiecie na ramionach.

- Hej - zaczął łagodnie. - Uspokój się. Za bardzo się przejmujesz.

- Wiesz, gdzie tkwi problem? Wydaje ci się, że powiesz kilka miłych słówek i wszystko będzie w porządku, A tak nie jest i nigdy nie było.

- Cóż, zawsze jest ten pierwszy raz. A ty po prostu jesteś pesy-mistką...

W tym momencie uznałam, że czas wracać do samochodu. Odsunęłam się od okna, niepewna, czy powinnam odstawić schodki na miejsce. Stwierdziłam, że lepiej zwrócić je właścicielowi. Przepchnęłam je przez zarośla na sąsiednią działkę, ominęłam stertę śmieci i postawiłam schodki przy drzwiach przyczepy, po czym opuściłam kemping i wyszłam na ulicę.

Biegiem dopadłam auta, uruchomiłam silnik i zawróciłam, zakładając, że Billy pojedzie tą samą drogą, którą przyjechał na kemping. Miałam rację - po chwili zobaczyłam w lusterku wstecznym, jak Chevrolet wyjeżdża z bramy, skręca w lewo na ulicę i zmierza w moim kierunku. Wisiał mi na ogonie przez półtorej przecznicy, by w końcu wyprzedzić z niecierpliwym trąbieniem. W chwilę później skręcił w lewo, kierując się na Milagro. Wiedziałam, dokąd jedzie, więc specjalnie się nie spieszyłam. Trzy przecznice stąd był bar zwany Hub. Weszłam tam jakieś dziesięć minut później. Billy zdążył już zaopatrzyć się w Jacka Danielsa; stał przy stole bilardowym, trzymając w dłoni pełną szklaneczkę.

ROZDZIAŁ 9

HUB jest barem urządzonym w starym magazynie i panuje tam atmosfera typowa dla takich miejsc. Ogromna powierzchnia nie sprzyja nawiązywaniu bliższych kontaktów i jest zbyt zimno, by można spokojnie odpocząć. Wysoki, pomalowany na czarno sufit przecina płatanina odsłoniętych rur i przewodów. W głównej sali stoliki rozmieszczone są rzadko, a na ścianach wiszą czarno-białe fotografie, dokumentujące historię baru i jego różnorodnej klienteli. Szerokie, łukowo sklepione przejście prowadzi do mniejszej sali, gdzie znajdują się cztery stoły do gry w bilard. Nieodłączny element wyposażenia stanowi mocno zdezelowana potężna szafa grająca, pomalowana w żółte, zielone i czerwone pasy. Jak na sobotni wieczór, w barze było zdumiewająco mało gości. Z głośników leciała nieznana mi piosenka Williego Nelsona.

Byłam jedyną kobietą w barze, więc natychmiast zwróciłam na siebie uwagę męskiej klienteli. Przystanęłam na moment, czując na plecach wrogie, pytające spojrzenia czułam się jak pies przybłąda obwąchiwany przez nieprzyjaźnie nastawioną sforę rywali. W powietrzu wisiał dym papierosowy, z którego wyłaniały się sylwetki nachylone nad stołem bilardowym, z kijami w dłoniach. Poznałam Billy'ego po nastroszonej czuprynie. Z bliska był wyższy, niż mi się wydawało. Miał szerokie, muskularne ramiona i wąskie biodra. Grał w bilard z jakimś młodym Meksykaninem. Chłopak miał najwyżej dwadzieścia dwa lata, szczupłą twarz, wytatuowane ramiona. Spod rozpiętej koszuli w krzykliwych kolorach wyglądała wychudzona klatka piersiowa, a w okolicach mostka nieśmiało wyrastało kilka włosów.

Podeszłam do stołu i oparłam się o jego krawędź, czekając na koniec partii. Billy spojrział na mnie bez większego zainteresowania i złożył się do uderzenia. Zgrabnie wbił kolejną bilę do łuzy. Obszedł stół i szybkim ruchem umieścił kolejną kulę w narożniku. Potarł końcówkę kija kredą i złożył się do trzeciej bili. Oceniał odległość i pochylił się nisko nad stołem. M ocno pchnął bilę, która niczym pocisk wpadła do łuzy z boku stołu, zahaczając po drodze o kolejną kulę, ta poturlała się w kierunku narożnika i tańcząc przez moment na krawędzi, wpadła do łuzy. Na twarzy Billy'ego pojawił się przelotny uśmiech, ale nie podniósł oczu, by spojrzeć na mnie.

W trakcie tego popisu meksykański dzieciak stał z boku podparty na kiju i gapił się na mnie bezwstydnie. W pewnym momencie powiedział bezgłośnie „Kocham cię”. Jeden z jego zębów, obwiedziony złotą obwódka, wyglądał jak obrazek w ramce. Chłopak miał na podbródku smugę niebieskiej kredy. Billy ułożył bile na stole i odstawił kij do stojaka w kącie. Mijając chłopaka, wyjął banknot dwudziestodolarowy z jego kieszeni i schował do własnej. A potem, nie spoglądając na mnie, rzucił:

- To ty jesteś tą laską, która była dziś u mojej matki?

- Tak, jestem znajomą Johna Daggetta.

Gwałtownie podniósł głowę i spojrział na mnie z ukosa, demonstracyjnie przykładając dłoń do ucha.

- Kogo?

Uśmiechnęłam się szeroko. Więc tak się bawimy? Powtórzyłam podniesionym głosem:

- Johna Daggetta.

- A tak. Co tam u niego słyhać? - Zaczął przebierać palcami w rytm piosenki George'a Bensona, która tymczasem zastąpiła smętne zawodzenie Williego Nelsona.

- Nie żyje.

Billy'emu na pewno nie można było odmówić talentu aktorskiego. Całkiem udanie wyszło mu wyrażenie zdumienia, przy czym wyglądało ono nad wyraz naturalnie.

- Chrzanisz. Daggett nie żyje? Paskudnie. A cóż przytrafiło się staruszkowi? Atak serca?

- Utonął. Zeszłej nocy koło przystani - odparłam, wskazując kciukiem za siebie, aby dać mu jakieś pojęcie o lokalizacji portu.

- Tutaj, w mieście? Hej, to straszne. Nie miałem pojęcia. Słyszałem, że ostatnio był w Los Angeles.

- Myślałam, że wiedziałeś, mówili o tym w wiadomościach.

- No tak, aleja nie oglądałam tych bzdetów. Wiesz, wkurzają mnie. Mam ciekawsze rzeczy do roboty.

Jego spojrzenie błąkało się po ścianach, omijając mnie starannie. Zgadywałam, że gorączkowo zastanawia się, kim jestem i czego od niego chcę. W końcu zmusił się do spojrzenia na mnie.

- Przepraszam, nie pamiętam twojego nazwiska.

- Kinsey Millhone. Przyglądał mi się taksująco.

- Wydaje mi się, że mama mówiła coś o jakiejś Charlene. Potrząsnęłam w zdumieniu głową.

- Nie mam pojęcia, skąd jej to przyszło do głowy.

- A co robisz?

- Zbieram informacje. Jestem wolnym strzelcem. Ale to nie ma nic do rzeczy?

- Nie wyglądasz mi na znajomą Daggetta. Był prostym facetem, a ty masz za dużo klasy, żeby przestawać z takim mętem.

- Nie powiedziałam, że byliśmy ze sobą blisko. Poznałam go niedawno przez wspólnego znajomego.

- I po co mi o tym opowiadasz? Mam to gdzieś.

- Przykro mi to słyszeć. Daggett mówił, że jeśli coś mu się stanie, mam porozmawiać z tobą.

- Ze mną? O, nie - odparł z niedowierzaniem. - To nie ma żadnego cholernego sensu. Musiałaś mnie z kimś pomylić. Znaczy się, poznałem Daggetta, ale go nie znałem, kapujesz?

- To dziwne. Twierdził, że jesteście przyjaciółmi. Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Stary Daggett wpuścił cię w maliny, laleczko. Nic o tym nie wiem. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz go widziałem. Na pewno dawno temu.

- A przy jakiej okazji się spotkaliście?

Billy rzucił okiem na Meksykanina, który bezwstydnie podsłuchiwał.

- Na razie, człowieku - powiedział, po czym ściszył głos i dodał pogardliwym tonem: - Paco. - Najwyraźniej określenie to odgrywało rolę wyzwiska wśród wszystkich Latynosów.

Lekko popychając mnie za łokieć, poprowadził do sąsiedniego pomieszczenia.

- Ci wszyscy Indiańcy są tacy sami - stwierdził. - Wydaje im się, że umieją grać w bilard, a gównu wiedzą. Nie lubię gadać w obecności szpicli. Postawić ci piwo?

- Pewnie.

Wskazał wolny stolik i odsunął mi krzesło. Przewiesiłam kurtkę przez oparcie i usiadłam. Przyciągnął wzrokiem barmana i podniósł w górę dwa palce. Ten wyjął dwie butelki piwa, otworzył je i postawił na barze.

Billy spytał:

- Chcesz jeszcze coś? Może frytki? Mają całkiem niezłe - trochę tłuste, ale dobre.

Potrząsnęłam przecząco głową i obserwowałam go z zainteresowaniem. Zauważyłam, że Billy ma w sobie jakąś dziwną siłę przyciągania... niemalże zwierzęcą atrakcyjność, której prawdopodobnie nawet sobie nie uświadamiał. Czasami widuję podobnych facetów i nadal zadziwia mnie ten fenomen.

Podszedł do baru i zabrał butelki, zostawiając na kontuarze kilka zmiętych banknotów. Powiedział coś cicho do barmana i ten nałożył na każdą butelkę szklanek obróconą do góry nogami, posyłając w moim kierunku sztuczny uśmiech.

Billy wrócił do stolika i usiadł.

- Jezu, poprosisz o szklanekę, a patrzą na ciebie jak na idiotę. Banda obdartusów. Przychodzę tu tylko dlatego, że pracuje tu moja siostra.

A, pomyślałam, dziewczyna z przyczepy.

Napełnił szklanekę i popchnął ją w moim kierunku, a sam powoli opróżnił drugą butelkę. Miał głęboko osadzone oczy i drobne zmarszczki wokół ust.

- Słuchaj - powiedział. - Widzę, że ubzdurałaś sobie, że wiem coś, czego nie chcę ci powiedzieć. A prawda jest taka, że ani ja nie lubiłem Daggetta, ani on nie przepadał za mną. Nie mam pojęcia, kto naopowiadał ci tych głupot o naszej przyjaźni, ale na pewno nie Daggett.

- Jednak dzwoniłeś do niego w poniedziałek rano, prawda?

- O, nie. To nie byłem ja. Po co miałbym do niego dzwonić? Ignorując jego słowa, ciągnęłam dalej:

- Nie wiem, co mu powiedziałaś, ale był niezłe przestraszony.

- Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. To musiał być ktoś inny. A tak w ogóle, co on tu robił?

- Nie wiem. Przyływ wyrzucił jego ciało dziś rano. Miałam nadzieję, że ty dopowiesz mi resztę. Na pewno nie wiesz, gdzie spędził zeszłą noc?

- Nie, nie mam pojęcia. - Jego uwagę przyciągnął jakiś pyłek na pianie w szklance i starał się go wyciągnąć.

- Kiedy go ostatnio widziałeś? Chyba nie mówiłeś, prawda? Odparł sztucznie przesłodzonym głosem:

- Ojej, nie mam przy sobie kalendarzyka. Mam tam wszystko zapisane. Chyba jedliśmy kiedyś lunch w jakimś ustronnym miejscu -tylko nas dwóch.

- Czyżby w San Luis?

Nastąpiła krótka cisza, a jego uśmiech wyraźnie przygasł.

- Siedziałem z nim w San Luis - rzucił zaczepnym tonem. - Ja i trzystu siedemdziesięciu innych facetów. I co z tego?

- Myślałam, że może utrzymujecie ze sobą kontakty.

- Chyba nie znałaś Daggetta zbyt dobrze. Przebywanie w jego towarzystwie to jak chodzenie z psim gównem na bucie, rozumiesz? Nikt się do tego nie pali, no nie?

- Czy znał jeszcze kogoś w Santa Teresa?

- Nie mam pojęcia. Co mnie to obchodzi?

- A twoja siostra? Znała go?

- Coral? Nie ma mowy. Ona nie zadaje się z takimi dupkami. Gdybym zobaczył ją z Daggettem, osobiście skrzyłbym jej kark. Nie rozumiem, dlaczego tak mnie wypytujesz. Powiedziałem, że niczego nie wiem. Nie widziałem go, nie kontaktował się ze mną. Dlaczego mi nie wierzysz?

- Bo uważam, że nie mówisz całej prawdy.

- I kto to mówi? To ty przylazłaś tu za mną, pamiętasz? W ogóle nie muszę z tobą gadać. Robię ci uprzejmość. Nie znam cię i nie wiem, o co ci, kurwa, chodzi.

Potrząsnęłam głową i uśmiechnęłam się lekko.

- Na Boga, Billy! Ty przeklinasz. Jestem wstrząśnięta. Nie wiedziałam, że potrafisz tak brzydko traktować kobiety.

- Teraz ty robisz sobie jaja, co? - Spojrzał na mnie badawczo. - Jesteś gliną?

Podrapałam kciukiem butelkę, zdzierając kawałek etykiety.

- A jakże.

Billy parsknął głośno. Nie wierzył mi ani na jotę.

- Daj spokój? Jakim cudem?
- Jestem prywatnym detektywem.
- Chrzanisz!
- Ani trochę.

Odchylił się na krześle wyraźnie zdumiony, że próbuje wciskać mu taki kit.

- Jezu, teraz to już przesadziłaś. Myślisz, że dam się nabrać? Może wyglądam młodo, ale nie urodziłem się wczoraj. Znam wszystkich szpicli w mieście, a ciebie nigdy nie widziałem. Powinnaś wymyślić coś bardziej przekonującego.

Zaśmiała się.

- No dobra. Nie jestem szpiclem. Może jestem po prostu taką wścibską panienką, co to węszy wokół faceta, którego kiedyś poznała.

- Dobra, to kupuję. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego się czepiasz mnie.

- Bo ty poznałeś go z Lovellą. Kompletnie go zatkało.

- Znasz Lovellę?

- Pewnie. Spotkałam ją w Los Angeles. Ma mieszkanie na Sawtelle.

- Kiedy?

- Przedwczoraj.

- Nie gadaj. I to ona ci powiedziała, gdzie mnie szukać?

- A jak inaczej bym cię znalazła?

Gapił się na mnie tępym wzrokiem, ale w jego głowie najwyraźniej zachodziły jakieś skomplikowane procesy myślowe. Pomyślałam, że nie zaszkodzi trochę go podpuścić.

- Pewnie wiesz, że Daggett prał ją regularnie? Wyraźnie zdenerwował się i odwrócił wzrok.

- Taa, ale Lovella jest dużą dziewczynką. Musi się nauczyć, jak dbać o siebie.

- A może byś jej pomógł? Uśmiechnął się ironicznie.

- Sporo ludzi uśmiełoby się na myśl, że mogę komuś pomagać -odparł. - Poza tym ona jest twarda. Chyba jej nie doceniasz.

- Znasz ją od dawna, prawda? Jego kolano zaczęło nerwowo drżeć.

- Siedem, może osiem lat. Poznałem ją, gdy miała siedemnaście lat. Jakiś czas mieszkaliśmy razem, ale nic z tego nie wyszło. Ciągłe

braliśmy się za łby. Lovella jest upartą dziwką, lecz mimo to bardzo ją kochałem. No a potem posadzili mnie za włamanie i coś się pochrzało. Jakiś czas jeszcze pisała do mnie, ale nie można uzdrowić czegoś, co umarło, no nie? Nieważne, nadal jesteśmy przyjaciółmi, przynajmniej tak myślę. Ciągle ją lubię. Nie wiem, czy ona myśli tak samo.

- Widziałeś się z nią ostatnio? Kolano się uspokoilo.

- Nie, ostatnio jej nie widziałem - odparł. - A ty po co tam chodziłaś?

- Szukałam Daggetta, a telefon był wyłączony.

- Co ci powiedziała Lovella? Wzruszyłam ramionami.

- Nic specjalnego. Nie zabawiłam u niej długo, a poza tym nie czuła się nadzwyczajnie. Miała podbite oko.

- Jezu! - powiedział. Odchylił się na krześle. - Powiedz mi jedno, dlaczego kobiety na to pozwalają? Dlaczego pozwalają, żeby faceci je bili?

- Nie mam pojęcia.

Wypił do końca piwo i odstawił szklankę na stolik.

- Założę się, że nikt ci nigdy nie dał wycisku, no nie?

- Każdy dostaje kiedyś w dupę - stwierdziłam. Billy podniósł się.

- Dobra, przepraszam, ale muszę iść.

Odwrócił się i wpuścił koszulę głębiej w spodnie. Wnioskując z mowy jego ciała, Billy w zasadzie opuścił już bar z nadzieją, że jego ubranie dogoni go, nim on wyjdzie na ulicę.

Ja też wstałam i zabrałam kurtkę z oparcia.

- Nie wyjeżdżasz na razie z miasta, prawda?

- A co cię to obchodzi?

- Byłoby to nierozsądne, zważywszy na zamieszanie wokół śmierci Daggetta. 'Gliny będą pewnie chciały z tobą porozmawiać.

- O czym?

- Na początek, gdzie spędziłaś ubiegłą noc. Podniósł głos.

- Gdzie byłem? O czym ty mówisz?

- Być może zechcą się dowiedzieć o twoich powiązaniach z Daggettem.

- Jakich powiązaniach?! To bzdura. Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy.

- Nie martw się o mnie. Lepiej pomyśl o glinach.

- Jakich glinach? Potrząsnęłam głową.

- Znasz tutejszych gliniarzy. Jeśli ktoś szepnie tu i tam słówko, możesz mieć poważne kłopoty.

Teraz wściekł się na dobre.

- Dlaczego chcesz mi to zrobić?

- Ponieważ, Williamie, nie jesteś ze mną uczciwy.

- Jestem z tobą uczciwy! Powiedziałem ci wszystko, co wiem.

- Nie sądzę. Myślę, że wiedziałeś o śmierci Daggetta. I sądzę, że widziałeś się z nim w tym tygodniu.

Oparł dłonie na biodrach i spojrzał przed siebie, potrząsając bezsilnie głową.

- Cholera, tego mi tylko trzeba. Nie kłamałem. Jestem czysty. Robię to, co mi kazali, nie mieszam się w nieczyste sprawy. Nie miałem pojęcia, że Daggett jest w mieście.

- Trzymaj się swojej historyjki, jeśli chcesz - oznajmiłam - ale pozwól, że ci coś poradzę. Mam numer rejestracyjny twojego samochodu. Spróbuj zwać, a zadzwonię do porucznika Dolana z wydziału zabójstw.

Był równie zdumiony, co zde gustowany.

- O co chodzi? To szantaż? Czy o to ci chodzi?

- Jaki tam szantaż. Nie masz grosza przy duszy. Potrzebuję informacji, to wszystko.

- Nie mam żadnych informacji. Ile razy mam ci powtarzać?!

- Posłuchaj - ciągnęłam cierpliwie. - Przemyśl sobie wszystko, a później jeszcze raz porozmawiamy.

- Odpieprz się, dobrze?!

Włożyłam kurtkę i przewiesiłam torebkę przez ramię.

- Dzięki za piwo. Następnym razem ja stawiam.

Machnął lekceważąco ręką, zbyt wstrząśnięty, by się odezwać. Odprowadziłam go wzrokiem do drzwi, po czym spojrzałam na zegarek. Minęła północ, a ja byłam wykończona. W skroniach czaił się ból głowy i byłam przekonana, że cała cuchnę dymem papierosowym. Niczego bardziej nie pragnęłam, jak wrócić do domu, zrzucić śmierdzące ciuchy, wziąć prysznic i zakopać się w łóżku. Jednak zamiast tego wzięłam głęboki oddech i ruszyłam za Billym.

ROZDZIAŁ 10

POZWOLIŁAM mu wysforować się do przodu i spokojnie pojechałam na kemping. Zrobiło się zimno, oceniałam, że temperatura spadła do dziesięciu stopni. Przy mocniejszych podmuchach wiatru z gałęzi drzew eukaliptusowych nadal kapłała woda, chociaż deszcz już nie padał. Na niebie nieliczne blade chmury ustępowały miejsca szerokim połaciom gwiaździstych pól. Podobnie jak kilka godzin temu, zaparkowałam w pewnym oddaleniu od kempingu i na miejsce poszłam pieszo. Samochód Billy'ego stał koło przyczepy. To wszystko zaczynało być trochę nudne, ale musiałam upewnić się, czy Billy nie pojechał czasem rozmówić się z jakimś kumplem, którego nie znałam.

W „salonie” nadal paliło się światło, ale oprócz tego przyćmiony blask sączył się też z tylnej części przyczepy, gdzie, jak przypuszczałam, znajdowała się sypialnia. Przedarłam się przez krzaki na zaplecze. Wszystkie okna były zasłonięte, ale rozmowę prowadzoną wewnątrz-słyszeć było całkiem nieźle przez zakratowany wylot przewodów klimatyzacyjnych. Przykucnęłam koło oderwanej listwy i przysunęłam głowę do metalowej ściany przyczepy. Docierał do mnie słaby zapach dymu tytoniowego, zgadywałam, że to za sprawą Coral.

- ...ciekawe, dlaczego pokazała się właśnie teraz? - mówiła dziewczyna. - Tym powinniśmy się zająć. Wygląda na to, że tkwią w tym oboje.

- Taa, ale o co im chodzi? Nie mam pojęcia.

- Powiedziała, kiedy się odezwie?

- Nie. Oświadczyła, że powinienem przemyśleć sobie tę sprawę. Jezu, jakim cudem tak szybko namierzyła chevroleta? Nie daje mi to spokoju. Kupiłam ten wóz zaledwie dwie godziny temu.

Może śledziła cię, ty głupku. Zapadła wymowna cisza.

- Kurwa mać - odezwał się Billy.

Usłyszałam głośne tupanie stóp, gdy biegł w kierunku drzwi wejściowych, Gdy dopadł ich z łomotem, ja znajdowałam się już za przyczepą. Ostrożnie wyjrzałam z ukrycia. Jakież dwa metry przed sobą widziałam maskę samochodu otoczoną przez stosy złomu.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, a światło padające z wnętrza zalało blaskiem całą przestrzeń aż do asfaltowego przejazdu. Ruszyłam ostrożnie w kierunku kupy śmieci. Z wysiłkiem doczołgałam się za samochód i tam przykucnęłam, nasłuchując w napięciu. Słyszałam, jak Billy przedziera się na tył przyczepy tą samą trasą, jaką pokonałam przed chwilą.

- Jezu! - wysyczał.

Coral wyjrzała przez boczne okienko i spytała scenicznym szeptem:

- Co się stało?

- Zamknij się! Zahaczyłem nogą o tę cholerną listwę. Powinnaś zrobić coś z tym szmelcem!

Moje słowa!

Coral roześmiała się i zasunęła zasłonkę.

Billy objawił się ponownie po drugiej stronie przyczepy, pocierając lewą łydkę. Szybkim spojrzeniem zlustrował teren, chociaż przyjął już chyba do wiadomości, że nikt nie kręci się w pobliżu przyczepy. Potrząsnął niecierpliwie głową i wbiegł po schodkach, waląc pięścią w drzwi. Gdy wszedł do środka, posesję znów spowiły ciemności. Teraz mogłam już wypuścić powietrze z płuc.

Usłyszałam odgłosy przyciszonej rozmowy, ale straciłam ochotę na podsłuchiwanie. Gdy uznałam, że *jest już* bezpiecznie, przeczołgałam się na drogę i ruszyłam biegiem do samochodu.

Niedzielny ranek wstał pochmurny. Nawet powietrze przybrało szary odcień. Wilgoć zdawała się unosić wprost z ziemi niczym mgłą. Odprawiłam codzienny rytuał joggingu i dopiero gdy po biegu wracałam do domu, niebo nieco pojaśniało. O dziewiątej zadzwoniłam pod domowy numer Barbary Daggett. Przekazałam jej aktualne wiadomości i zdałam raport z nocnych zajęć.

- I co teraz? - spytała.

- Dam Billemu Polo dzień lub dwa na dojście do siebie, a potem zamierzam znowu go docisnąć.

- A jaką masz pewność, że się nie urwie?
 - No cóż. Jest na zwolnieniu warunkowym i nie sędzę, by chciał narobić sobie kłopotów. Poza tym nie po to mi płacisz, żebym siedziała cały dzień na tyłku.
 - Mówiłaś, zdaje się, że to jedyny punkt zaczepienia, jaki mamy.
 - Być może się myliłam - oznajmiłam ostrożnie. - Myślałam o Tonym Gahanie i pozostałych, którzy zginęli w wypadku.
 - Tony Gahan? - powtórzyła zdziwiona. - Co on ma z tym wspólnego?
 - Nie wiem. Pamiętasz? Twój ojciec wynajął mnie, żebym go odnalazła. Może sam znalazł tego dzieciaka. I tu tkwiłoby rozwiązanie zagadki jego poczynań z początku tygodnia.
 - Ale, Kinsey. Po co tato miałby go szukać? Ten chłopiec z pewnością go nienawidzi. Cała jego rodzina zginęła w tym wypadku.
 - To właśnie miałam na myśli.
 - Och.
 - Nie wiesz czasem, gdzie powinnam go szukać? Twój ojciec miał jakiś adres na Stanley Place, ale na miejscu okazało się, że tam już nikt nie mieszka. Nie znalazłam nazwiska Gahan w książce telefonicznej.
 - Chłopak mieszka z ciotką. Wydaje mi się, że gdzieś w Colgate. Poczekaj, sprawdzę, czy mam jego adres.
- Colgate to wielka sypialnia na obrzeżach Santa Teresa. Obie miejscowości są podobnej wielkości, ale o ile Santa Teresa zgarnęła cały wielkomiejski zgiełk, o tyle w Colgate mieszczą się luksusowe domy oraz cała niezbędna oprawa: sklepy wielobranżowe, zakłady chemiczne, kręgielnie i kina samochodowe. Colgate aspiruje do miana podmiejskiej stolicy świata.
- W słuchawce zapadła cisza; słychać było tylko szelest przewracanych kartek. Po chwili Barbara odezwała się:
- Pomyliłam się. Mieszkają koło muzeum. Ciotka nazywa się Ramona Westfall.
 - Zastanawiam się, dlaczego twój ojciec nie wiedział o jej istnieniu.
 - Nie mam pojęcia. Uczestniczyła w procesie. Pamiętam, że ktoś mi ją pokazał. Po sprawie napisałam do niej, oferując naszą pomoc, ale się nie odezwała.
 - Może wiesz coś więcej na jej temat. Jest mężatką?
 - Chyba... tak. Tak. Jej mąż ma firmę produkującą jakieś akcesoria przemysłowe czy coś takiego. Teraz, gdy o tym myślę, przypomina-

łam sobie, że pani Westfall pracuje w sklepie z wyposażeniem kuchennym przy Capilla Street. Kilka miesięcy temu bytam tam na zakupach i natknęłam się na nią. Może pojedziesz tam po południu i sprawdzisz, czy jeszcze pracuje w tym sklepie?

- Ale dzisiaj jest niedziela.

- Nie szkodzi. Pracują od dwunastej do piątej.

- Dobrze, spotkam się z nią i zobaczę, co nam to da - odparłam. -A co słyhać u twojej matki? Trzyma się jakoś?

- Zdziwiająco dobrze. Wygląda na to, że ona traktuje śmierć, jak zresztą wszystko, o czym mowa w Biblii, z chrześcijańską cierpliwością - zachowuje się, jak przystało w takiej sytuacji, i automatycznie wykonuje konieczne działania. Myślałam, że zupełnie straci kontakt z rzeczywistością, ale o dziwo, najwyraźniej wróciła do pionu. Cały czas przesiadują u niej te dewotki, a pastor zjawia się na każde żądanie. Zastawiła stół pasztetem z tuńczyka i ciastem czekoladowym i przyjmuje hołdy. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale na razie mama jest w swoim żywiole.

- Kiedy pogrzeb?

- We wtorek po południu. Zwłoki przewieziono już do kostnicy. Trumna z ciałem zostanie wystawiona w domu pogrzebowym jeszcze dzisiaj. Przyjdiesz na pożegnanie zmarłego?

- Tak. I wtedy powiem ci, co załatwiłam w sprawie tego dzieciaka.

Jorden to spełnienie marzeń kucharza-fanatyka. Mają tam dosłownie wszystko, czego trzeba do przygotowania jedzenia. Setki półek uginają się pod wszelkiego autoramentu akcesoriami, przyrządami, książkami kucharskimi, obrusami, przyprawami, ziołami i niezliczonymi gatunkami kawy. Tasaki obok koszyków piknikowych, egzotyczne gatunki octów i olejów, noże, formy do ciast i szkło. Zatrzymałam się w wejściu, zaskoczona mnogością i różnorodnością towarów - maszynki do robienia makaronu, ekspresy do cappuccino, podgrzewacze do potraw, młynki do kawy, maszynki do robienia lodów i wymyślne roboty kuchenne. W powietrzu unosił się zapach gorącej czekolady, który przypomniał mi mamę. Zauważyłam trzy sprzedawczynie, ubrane w płócienne fartuszki przewiązywane w pasie, z nazwą sklepu wyszytą na spódnicy.

Spytałam o Ramonę Westfall i zostałam skierowana na jedno z bocznych stoisk. Kobieta robiła mały remanent. Gdy do niej podeszłam, siedziała na drewnianym stołku z notatnikiem w ręku i sprawdzała zgodność towaru na półkach z wykazem. Na stoisku znajdowa-

ly się głównie urządzenia obsługiwane ręcznie. Właśnie w tym momencie pani Westfall sortowała jakieś przedziwne przedmioty, wyglądające jak małe stalowe deski do krojenia, w poprzek których zamontowano lśniące ostrze zdolne chyba przeciąć kamień.

- Co to jest? - spytałam.

Kobieta podniosła głowę i spojrzała na mnie z uprzejmym uśmiechem. Zbliżała się do pięćdziesiątki. Miała krótkie, jasne włosy przetykane pasmami siwizny i brązowe oczy, które wpatrywały się we mnie spoza okularów balansujących na czubku nosa. Była prawie nieuma-iowana i mimo że siedziała, widać było, że jest niska i szczupła. Spod fartuszka wyglądała biała bluzka z długim rękawem i półokrągłym kołnierzykiem i szara tweedowa spódnica. Na nogach miała rajstopy i tanie wsuwane półbuty.

- To krajalnica. Wyprodukowano ją w Niemczech.

- Myślałam, że krajalnica jest używana w zakładach krawieckich.

- Tak, ale tamta wygląda zupełnie inaczej. Ta służy do siekania surowych warzyw. Można kroić na plasterki lub w kostkę.

- Naprawdę? - rzuciłam. Przed oczami stanęła mi nagle wizja domowych frytek i surówki z kapusty - nigdy nie próbowałam robić ich w domu. - Ile to kosztuje?

- Sto dziesięć dolarów. Osłona na ostrze kosztuje dodatkowe dwadzieścia osiem dolarów. Chce pani zobaczyć, jak to działa?

Potrząsnęłam przecząco głową. Nie zamierzałam płacić tyle pieniędzy za luksus wygodnego krojenia ziemniaków. Kobieta wstała, wyglądając fartuch. Była niższa ode mnie o pół głowy i roztaczała wokół siebie zapach perfum, których próbkę przysłano mi pocztą w zeszłym tygodniu. Lawenda i kwiat jaśminu. Wrażenie robił nie tyle sam zapach, ile niebywała cena perfum. Swoją próbkę włożyłam do szuflady komody i teraz zapach ten otacza mnie za każdym razem, gdy wkładam nową zmianę bielizny.

- Pani jest Ramoną West fali, prawda?

Uśmiech na jej twarzy ustąpił miejsca wyrazowi oczekiwania.

- Tak. Czy spotkałyśmy się już? Potrząsnęłam głową.

- Nazywam się Kinsey Millhone. Jestem prywatnym detektywem.

- W czym mogę pani pomóc?

- Szukam Tony'ego Gahana. Powiedziano mi, że jest pani jego ciotką.

- Tony'ego? Na Boga, dlaczego?

- Poproszono mnie, bym go odszukała. To sprawa osobista. Pomyślałam, że najlepiej będzie udać się z tym do pani.

- Sprawa osobista? Nie rozumiem.

- Mam mu coś przekazać. Czek od mężczyzny, który zmarł kilka dni temu.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie tępo, ale zaraz w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- Mówi pani o Johnie Daggetcie, prawda? Ktoś mi doniósł, że mówiono o nim we wczorajszych wiadomościach. Myślałam, że nadal jest za kratkami.

- Wszedł sześć tygodni temu.

.Na jej twarzy pojawił się głęboki rumieniec.

- No cóż, to typowe - rzuciła ostrym tonem. - Pięcioro ludzi nie żyje, a on chodzi sobie po ulicach jak gdyby nigdy nic.

- Niezupełnie - wtrąciłam. - Możemy porozmawiać w jakimś spokojnym miejscu?

- O czym? O mojej siostrze? Miała trzydzieści osiem lat i była piękną kobietą. Gdy on przejechał bez zatrzymywania znak stop i wpadł na nich, urwało jej głowę. Zginął jej mąż, siostra Tony ego została zmiażdżona. Miała zaledwie sześć lat, była jeszcze dzieckiem... - urwała w pół słowa, jakby nagle uświadomiła sobie, że mówi podniesionym głosem. Kilkoro klientów przystanęło koło stoiska i spoglądało na nas z zaniepokojeniem.

- A kim były pozostałe dwie ofiary? Znała je pani? - zapytałam.

- To pani jest detektywem. Proszę samej sprawdzić.

Ciemnowłosa kobieta z sąsiedniego stoiska, ubrana w pasiasty fartuch, spojrzała na Ramonę. Nie powiedziała ani słowa, ale jej wzrok pytał wyraźnie: „Czy wszystko w porządku?”.

- Wychodzę na chwilę - rzuciła do niej pani Westfall. - Gdyby szukała mnie Tricia, będę na zapleczu.

Brunetka obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem i odwróciła wzrok. Ramona skierowała się ku drzwiom z tyłu stoiska, a ja ruszyłam za nią. Klienci przestali na nas patrzeć, ale zdawałam sobie sprawę, że nieumyślnie stałam się obiektem wątpliwego zainteresowania.

Gdy weszłam na zaplecze, Ramona drżącymi rękoma szukała czegoś w swojej torbie. Otworzyła kieszonkę zamykaną na zamek i wyjęła z niej fiolkę z tabletkami. Wyjęła jedną pigułkę, przełamała na pół

i połknęła, popijając zimną kawą z białego kubka, opatrzonego jej imieniem. Po chwili namysłu zażyła również drugą połówkę. Odezwała się;

- Proszę posłuchać. Przepraszam, że poruszyłam ten temat...

- Proszę nie przepraszać - zbyła mnie. - To nic nie pomoże. - Ponownie zajrzała do torebki i wyjęła winstony w twardym opakowaniu. Wyjęła z paczki jednego papierosa, postukała nim o paznokiec i podpaliła zapalniczką, wyjętą z kieszeni fartucha. Skuliła się w sobie i przytrzymując prawą dłoń lewą ręką, włożyła papierosa do ust. Jej oczy wyraźnie pociemniały, gdy patrzyła na mnie wyzywająco.

- Czego pani chce?

Czułam, że się czerwienię. Nagle pieniądze stały się zupełnie nieważne, a suma zbyt błaha, by warto było o niej napomykać.

- Mam doręczyć Tony'emu czek na okaziciela. Prosił mnie o to John Daggett.

Uśmiechnęła się lekceważąco.

- Ach, czek. No tak, a na jaką sumę? Czy wyznaczył jakąś stawkę za głowę, czy może to standardowy ryczałt?

- Pani Westfall - zaprotestowałam łagodnie.

- Ta sprawa jest tak osobista, kochanie, że możesz mi mówić po imieniu. Rozmawiamy o ludziach, którzy byli mi najbliżsi na świecie. - Zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym w kierunku sufitu.

Zmusiłam się do opanowania *emocji* i powiedziałam ostrożnie:

- Rozumiem, że ten temat jest bardzo bolesny. Wiem, że nic nie jest w stanie wynagrodzić ci tego, co się stało. Proszę jednak pamiętać, że John Daggett miał dobre chęci i niezależnie od tego, co o nim myślisz, te pieniądze mogą się przydać Tony'emu.

- Dziękuję, dbamy o niego najlepiej jak umiemy. Nie chcemy niczego ani od Johna Daggetta, ani od jego córki, a tym bardziej od ciebie.

Parłam do przodu mimo jej gniewu, niczym pływak zmagający się z falą.

- W porządku, ale posłuchaj mnie przez chwilę. Daggett przyszedł do mnie w zeszłym tygodniu z czekiem gotówkowym wystawionym na nazwisko Tony'ego.

Chciała mi przerwać, ale powstrzymałam ją ruchem dłoni.

- Proszę - powiedziałam.

Zrezygnowała z protestów i pozwoliła mi mówić dalej.

- Umieściłam czek w skrytce bankowej. Miał tam czekać, aż znajdę jego odbiorcę, tak jak się zobowiązałam. Jeśli o mnie chodzi, mo-

żesz wyrzucić go na śmietnik, ale ja zamierzam wywiązać się z umowy i dostarczyć czek Tony'emu Gahanowi. To Tony, przynajmniej teoretycznie, powinien podjąć decyzję, co zrobić z tymi pieniędzmi, więc byłabym wdzięczna, gdybyś porozmawiała z nim, zanim zrobisz coś, czego możesz żałować.

Chwilę myślała nad tym, co powiedziałam, po czym patrząc mi prosto w oczy spytała:

- Ile?

- Dwadzieścia pięć tysięcy. Wystarczyłoby na kształcenie Tony'ego lub na wycieczkę zagraniczną...

- Rozumiem - przerwała. - A teraz ty mnie wysłuchaj. Ten chłopiec jest z nami od ponad trzech lat. Teraz ma lat piętnaście i od chwili wypadku ani jednej nocy nie przespał spokojnie. Cierpi na migreny, obgryza paznokcie. Ma kiepskie oceny w szkole, o ile w ogóle do niej chodzi. Mówimy o dzieciaku, którego iloraz inteligencji nie mieści się w najniższej normie. Jest wrakiem, a zawdzięcza to Johnowi Daggettowi. Nie ma żadnego... żadnego sposobu, żeby wynagrodzić Tony'emu to, co uczynił mu ten człowiek.

- Rozumiem.

- Nie, nic nie rozumiesz. - Nagle jej oczy wypełniły się łzami. Zamilkła, lecz jej dłonie trzęsły się tak mocno, że z trudem uniosła papierosa do ust. W końcu zdołała zaciągnąć się dymem. Cisza przedłużała się. Wzdrygnęła się i niemalże naocznie widać było, że środek uspokajający zaczyna działać. Obróciła się gwałtownie, rzuciła winstona na ziemię i zgasiła go obcasem. - Proszę dać mi swój numer telefonu. Porozmawiam z mężem i zobaczę, co on na to powie.

Wręczyłam jej wizytówkę, dopisując na odwrocie adres i domowy numer telefonu, na wypadek gdyby nie zastała mnie w biurze.

ROZDZIAŁU

Po WYJŚCIU ze sklepu pojechałam do swojego mieszkania i przebrałam się w rajstopy, buty na płaskim obcasie i moją uniwersalną sukienkę. Mam ją od pięciu lat i uważam, że musi być wykonana z jakiegoś magicznego materiału, albowiem nie gniecie się, nie niszczy i nie widać na niej żadnych zabrudzeń. Mogę złożyć ją jak chusteczkę do nosa i nosić na dnie torebki, a i tak po wyjęciu będzie wyglądać jak nowa. Ponadto można ją wyprać byle gdzie i byle jak rozwiesić - rano będzie sucha i w idealnym stanie. Sukienka jest czarna i powiewna, ma długie rękawy oraz zamek na plecach, i zapewne zgodnie z modą kobiecą, której nigdy nie rozumiałam, należałoby ją uzupełnić stosownymi dodatkami. Ja jednak noszę ją bez żadnych ozdóbek i to mi w zupełności odpowiada. Czasami, gdy mam ją na sobie, widzę, jak niektórzy patrzą na mnie jakby z uznaniem, ale może jest to tylko zdziwienie, że pokazałam się w czymś innym niż dzinsy i ciężkie buty.

Zakład pogrzebowy Wynington-Blake - Pochówki, Kremacje, Obsługa Pogrzebów; Wszystkie Wyznania - mieści się po wschodniej stronie miasta. Budynek stoi przy cienistej bocznej uliczce i posiada obszerny parking. Niegdyś dom ten musiał pełnić funkcję rezydencji rodzinnej, nadal zresztą przypomina swoim klimatem posiadłość majątnego rodu. Rzecz jasna, wraz ze zmianą przeznaczenia budynku, cały parter gruntownie przerobiono i teraz mieści się tam sześć obszernych sal. W każdej poustawiano szeregi metalowych krzeseł i każdą opatrzono pełną patosu nazwą.

Dżentelmen, który powitał mnie w drzwiach, pan Sharonson, był ubrany w stonowany granatowy garnitur. Jego twarz była bez wyrazu,

przemawiał głosem bibliotekarza uniwersyteckiego. Doczesne szczątki Johna Daggetta spoczywały w sali „Medytacji”, która znajdowała się po lewej stronie korytarza. Rodzina, wymamrotał, zebrała się w kaplicy Wschodzącego Słońca, więc jeśli chciałabym zaczekać... Wpisałam się do księgi pamiątkowej, a pan Sharonson usunął się dyskretnie, pozostawiając mnie samą. Krzesła w sali żałobnej ustawiono w półkolu przy ścianach, środek pomieszczenia zajmował katafalk z trumną. Dwa naręcza gladioli, najwyraźniej dostarczone przez zakład pogrzebowy w miejsce nieobecnych wieńców, przypominały dobitnie, że niewielu jest takich, którzy oplakują Daggetta. Z głośników sączyła się dyskretna muzyka organowa, mająca podświadomie skierować myśli uczestników uroczystości na temat marności doczesnego życia.

Podeszłam na palcach do trumny, by przyjrzeć się nieboszczykowi. Kolor i gładkość skóry Daggetta przywiodła mi na myśl lalkę-bo-baska, jaką miałam w dzieciństwie. Jego rysy były wyraźnie wygładzone, na co wpływ miała, jak przypuszczałam, sekcja zwłok. Trudno jest na powrót dopasować skórę twarzy, gdy przedtem zdjęło się ją za pomocą skalpela. Nos Daggetta przesunięty był trochę na bok, niczym przekreślony szew pończochy.

Usłyszałam za sobą szelest i przy moim boku pojawiła się Barbara Daggett. Przez chwilę stałyśmy w milczeniu. Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie mają zwyczaj stawania nad trumną i przyglądania się nieboszczykowi. Ma to równie mało sensu, co składanie hołdu pudełku po ulubionych butach. Wreszcie Barbara mruknęła coś pod nosem i odwróciwszy się na pięcie, podeszła do drzwi wejściowych, które przekraczali właśnie Eugene Nickerson i Essie Daggett.

Essie miała na sobie ciemnogrnatową sukienkę ze sztucznej wełny, która nie zakrywała masywnych, bladych ramion. Fryzura była świeżo zrobiona - nastroszone siwe fale zlepione lakierem na kształt kasku. Eugene, ubrany w ciemny garnitur, dyskretnie popychał ją za łokieć, jakby sterował statkiem. Rzuciła okiem na trumnę i tłuste kolana ugięły się pod nią. Barbara i Eugene zdążyli złapać ją w locie, zanim walnęła o podłogę. Podprowadzili ją do wyściełanego krzesła i delikatnie posadzili. Essie przegrzebała torebkę w poszukiwaniu chusteczki, którą następnie przycisnęła do ust, jakby ta była nasączona chloroformem.

- Święty Panie Jezu - jęknęła, przewracając żałośnie oczami. - Baranku Boży... - Eugene zaczął klepać ją po ręce, a Barbara usiadła z drugiej strony, otaczając matkę ramieniem.

- Czy mam przynieść szklanek wody? - spytałam.

Barbara skinęła głową i mszyłam do wyjścia. Pan Sharonson siódmym zmysłem wyczuł kłopoty i pojawił się z wielkim znakiem zapytania na twarzy. Wyjaśniłam, o co chodzi, skinął głową i opuścił pomieszczenie, a ja wróciłam do pani Daggett. Ta najwyraźniej nie marnowała czasu, teraz zapamiętała kiwała głową i co jakiś czas wyrzucała z siebie piskliwym głosem cytaty z Biblii. Barbara i Eugene pracowali ze wszystkich sił, żeby ją okiełznać, bo z tego, co rozumiałam, Essie miała wielką ochotę, by wskoczyć do trumny za swym nieodżałowanym małżonkiem. Jeśli chodziło o mnie, to gotowa byłam podsadzić ją na katafalk.

Pan Sharonson powrócił, trzymając w dłoni kartonowy kubek pełen wody, który Barbara wzięła od niego i przystawiła do ust Essie. Ta gwałtownie odrzuciła głowę do tyłu, zdecydowana zrezygnować nawet z takiego ukojenia. „Na moim łóżu szukałam w nocy tego, którego kocha moja dusza”, zaintonowała przenikliwym głosem. „Szukałam go, ale go nie znalazłam. Wstanę więc i obiegnę miasto, ulice i place, będę szukać tego, którego kocha moja dusza. Spotkali mnie stróże, którzy obchodzą miasto... Panie na Wysokości... O, Boże...”

Stwierdziłam ze zdumieniem, że Essie cytuje fragment Pieśni nad Pieśniami, którą poznałam przy okazji nauk w szkółce niedzielnej u metodystów. Dzieciom nie wolno było czytać tej części Pisma Świętego, jako że uznawano ją za zbyt sprośną, mnie jednak zawsze fascynował obraz mężczyzny o „goleniach jak słupy z marmuru, postawione na złotych cokołach”. Był tam też bardzo interesujący fragment na temat jakichś mieczy i ud. W szkółce wytrwałam chyba ze trzy niedziele, po czym poproszono moją ciotkę, żeby przeniosła mnie na drugą stronę ulicy do prezbiterian.

Essie tak gwałtownie zatracala się w swoim zapamiętaniu, że Eugene i pan Sharonson musieli siłą podnieść ją z krzesła i wyprowadzić z sali. Jeszcze jakiś czas dochodziły do nas jej coraz cichsze jęki. Barbara przetarła twarz ruchem pełnym bezradności.

- O Boże. Nie ma to, jak liczyć na własną matkę - odezwała się. - Jak ci minął dzień?

Usiadłam koło niej i odparłam:

- To chyba nie najlepszy moment na rozmowę.

- Ach, tym się nie martw. Uspokoi się. Po prostu zobaczyła go pierwszy raz po śmierci. Na górze jest coś w rodzaju pokoju wypo-

czynkowego. Poleży chwilę i dojdzie do siebie. A co z Ramoną West-fall? Rozmawiałaś z nią?

Szybko powtórzyłam jej, czego dowiedziałam się od pani Westfall, stopniowo zbliżając się do tematu, który interesował mnie najbardziej. W końcu zapytałam, kim były dwie pozostałe ofiary wypadku. Barbara przymknęła oczy. Wyraźnie widać było, że ten temat sprawia jej ból.

- Jedną była koleżanka Hilary Gahan. Nazywała się Megan Smith. Jej rodzice nadal mieszkają w okolicy. Po powrocie do domu poszukam ich adresu i numeru telefonu. Jej ojciec ma na imię Wayne. Nie pamiętam ulicy, ale sprawdzę w książce telefonicznej.

Wyjęłam notatnik i zapisałam nazwisko.

- A piąta osoba?

- Jakiś dzieciak, którego zabrali po drodze. Spotkali go przy zjeździe z autostrady i mieli podwieźć do centrum.

- Jak się nazywał?

- Doug Polokowski. Wytrzeszczyłam oczy ze zdumienia.

- Żartujesz?

- Nie. Dlaczego? Znasz go?

- Polokowski to prawdziwe nazwisko Billy'ego Polo. Jest w jego kartotece.

- Myślisz, że chłopak mógł być jego krewnym?

- Prawie na pewno. Zgodnie z danymi z książki telefonicznej w mieście jest tylko jedna rodzina Polokowskich. To musi być jego kuzyn albo brat.

- Ale wydawało mi się, że Billy Polo był przyjacielem taty. To nie ma sensu.

Do pomieszczenia wrócił pan Sharonson i ściągnął Barbarę spojrzeniem.

- Matka prosi panią do siebie, panno Daggett.

- Idź - powiedziałam. - Po tym co mi powiedziałaś, czeka mnie sporo pracy. Później zadzwonię do ciebie do domu.

Barbara wyszła z panem Sharonsonem, a ja ruszyłam do foyer, gdzie zabrałam się do przeglądania książki telefonicznej. Wayne i Marilyn Smith mieszkali w Colgate, przy Tupelo Drive - ulicy, która, o ile dobrze pamiętałam, znajdowała się o rzut kamieniem od Stanley Place. Zastanawiałam się, czy nie uprzedzić ich telefonicznie o swojej wizycie, ale byłam bardzo ciekawa ich reakcji na śmierć Daggetta, o ile, rzecz

jasna, nie dowiedzieli się już o niej z telewizji. Zajechałam na stację benzynową, a następnie ruszyłam w kierunku autostrady.

W promieniu dwunastu przecznic identycznych domów jedynie posesja Smithów wyglądała inaczej. Zgadywałam, że kiedyś musiała się tu znajdować farma, a na otaczającym ją terenie rozległa plantacja owoców cytrusowych. Ciągle jeszcze widziało się gdzieś pojedyncze drzewka pomarańczowe, niegdyś sadzone w regularnych rzędach, a teraz porozdzielane alejkami, płotami i terenem szkoły. Skrzynka pocztowa Smithów była małą repliką ich domu, a nad schodkami prowadzącymi na ganek powieszono pociemniałą ze starości sosnową tabliczkę z wyrytym numerem posesji. Sam dom był jednopiętrowym budynkiem pomalowanym na biało, z wysokimi wąskimi oknami i spadzistym dachem, krytym dachówką. Za domem rozpościerał się bujny warzywnik, a za nim garaż. Na trawniku z przodu posesji rósł rozłożysty jawor, z którego zwisała opona samochodowa, pełniąca funkcję huśtawki. Tu i tam ostały się drzewka pomarańczowe, ale poskręcane konary i rachityczne listki świadczyły o tym, że czasy, gdy rośliny te rodziły owoce, dawno już minęły. Pozostawienie ich tutaj było niewątpliwie tańsze niż wykarczowanie. Na ganku stał stojak na rowery, wypełniony wszelkiego rodzaju dwuśladami - albo w domu odbywało się właśnie spotkanie klubu cyklistów, albo mieszkało tu kilku młodzieńców, których rozpieierała energia.

Zamiast dzwonka na środku drzwi wejściowych umieszczono metalową korbkę. Gdy nią zakręciłam, rozległ się upiorny zgrzyt. Podobnie jak w domu Christopherów, górna część drzwi była przeszklona, więc mogłam rzucić okiem do wnętrza mieszkania - wysokie sufity, wywoskowane sosnowe podłogi pokryte kolorowymi chodnikami i meble w stylu pierwszych osadników, które nawet takiemu laikowi jak ja wydawały się autentyczne. Ściany pomalowane na blade odcienie błękitu i fioleto udekorowano patchworkowymi gobelinami. Po lewej stronie holu stał wieszak na ubrania, na którym wisiało kilka dziecięcych kurtek, a pod nim w równym rzędzie stały kalosze.

Na schodach pojawiła się kobieta ubrana w dżinsy i rozciągniętą białą koszulkę. Zbiegła po stopniach, trzymając się poręczy, obdarzyła mnie szybkim uśmiechem i otworzyła drzwi.

- Cześć. Jest pani mamą Larry'ego? - Natychmiast zorientowała się, że nie mam pojęcia, o czym mówi. Roześmiała się i wyjaśniła: - Chyba nie. Chłopcy pół godziny temu wrócili z kina i mama Larry'ego miała po niego przyjechać. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Nazywam się Kinsey Millhone - odparłam. -Jestem prywatnym detektywem - dodałam, wręczając jej wizytówkę.

- O co chodzi? - Kobieta miała trzydzieści kilka lat i jasne włosy zebrane w ciasny węzeł na karku. Ciemne oczy i złoty odcień skóry były charakterystyczne dla osób, które pracują na wolnym powietrzu. Sprawiała wrażenie jednej z tych matek, które nie pozwalają swoim dzieciom jeść cukru i kontrolują programy w telewizji, jakie oglądają ich pociechy. Nie wiem, czy taka ostrożność ma sens, czy nie. W mojej prywatnej hierarchii dzieci zajmują miejsce gdzieś na równi z psami -powinny być posłuszne, inteligentne i spokojne.

- John Daggett zginął tu w mieście w piątkową noc - powiedziałam. Na jej twarzy pojawił się nagły błysk, ale może był on związany ze wspomnieniem bolesnego wydarzenia.

- Nie wiedziałam o tym. Co się stało?

- Wypadł z łódki i utonął.

Przez moment przyswajała sobie tę wiadomość.

- Cóż, to jeszcze nie tak źle. Śmierć przez utonięcie jest stosunkowo lekka, nieprawdaż?

Mówiła beztroskim, uprzejmym tonem, tak że dopiero po chwili uświadomiłam sobie, co naprawdę czuła. Musiała życzyć mu o wiele gorszej śmierci.

- Większość z nas nie wybiera sobie rodzaju śmierci.

- Moja córka z pewnością nie miała takiego wyboru - powiedziała gorzkim tonem. - To był wypadek? A może ktoś mu pomógł?

- Właśnie to próbuję ustalić. Słyszałam, że wrócił z Los Angeles w poniedziałek, ale wygląda na to, że nikt nie wie, gdzie spędził następne dni.

- Zapewniam panią, że my też tego nie wiemy. Gdyby Wayne natknął się na niego, to... - Słowa rozplynęły się w bladym uśmiechu, a wypowiedziała je niemal żartobliwym tonem. - Chciałam powiedzieć, że by go zabił, ale oczywiście nie dosłownie. Chociaż, kto wie? Chyba nie powinnam wypowiadać się w imieniu Wayne'a.

- A pani? Kiedy widziała pani Daggetta po raz ostatni?

- Nie mam pojęcia. Na pewno co najmniej dwa lata temu.

- Na procesie? Potrząsnęła głową.

- Nie byłam tam. Wayne poszedł raz do sądu, ale też nie mógł tego znieść. Chyba rozmawiał wtedy z Barbarą Daggett, lecz potem nie

było już żadnych kontaktów. Nie wiem dlaczego, ale z góry uznałam, że ten człowiek został zamordowany. Czy to chce mi pani powiedzieć?

- Jest to możliwe. Co prawda, policja najwyraźniej nie podziela mojej opinii, ale mam nadzieję, że zmienią zdanie, gdy dostarczę im wiarygodne dowody. Odnoszę wrażenie, że sporo ludzi życzyło mu śmierci.

- Nie wiem jak inni, aleja na pewno. Strasznie się cieszę z tej wiadomości. Ktoś powinien zabić go tuż po urodzeniu. Wejdzie pani do środka? Nie wiem, co mogłabym pani powiedzieć, ale równie dobrze możemy porozmawiać wewnątrz. - Ponownie rzuciła okiem na moją wizytówkę, raz jeszcze sprawdziła nazwisko, po czym wsunęła ją do kieszeni koszuli.

Weszłam do holu i przystanąłam, czekając, aż kobieta zamknie za mną drzwi. Zaprowadziła mnie do salonu.

- Byliście państwo w domu w piątkowy wieczór?

- Dlaczego pani pyta? Jesteśmy podejrzani?

- Przecież nie rozpoczęto jeszcze formalnego śledztwa - zauważyłam.

- Ja byłam w domu, a Wayne był w pracy. Jest dyplomowanym księgowym.

Wskazała mi krzesło. Sama usiadła na sofie, sprawiając wrażenie rozluźnionej. Zaczęła bawić się złotym łańcuszkiem, który nosiła na prawym nadgarstku.

- A pani poznała osobiście Johna Daggetta? - zagadnęła.

- Tak, spotkałam go raz. Przyszedł do mojego biura w zeszłą sobotę.

- Ach. Niewątpliwie został zwolniony warunkowo po odsiedzeniu minimum.

Nie skomentowałam tej uwagi, więc ciągnęła dalej:

- Co robił w Santa Teresa? Czyżby wracał na miejsce zbrodni?

- Próbował odszukać Tony'ego Gahana. Była wyraźnie zaskoczona.

- Po co? To pewnie nie moja sprawa, ale jestem ciekawa.

Jej zachowanie mocno wytrącało mnie z równowagi - dziwaczna mieszanka wściekłości i wesołości.

- Nie mam pewności co do jego intencji - zaczęłam ostrożnie. - Okłamał mnie, więc nie ma sensu przytaczać tu jego opowieści. Zrozumiałam, że chciałby zadośćuczynić za swoje przewinienia.

Uśmiech znikł z jej twarzy, a ciemne oczy przewiercały mnie na wylot lodowatym spojrzeniem.

- Nie ma zadośćuczynienia za to, co zrobił ten człowiek. Megan zginęła w okropny sposób. Miała pięć i pół roku. Czy ktoś opowiedział pani szczegóły tego wypadku?

- Mam wycinki z gazet. A poza tym rozmawiałam z Ramoną Westfall i ona udzieliła mi sporo informacji - skłamałam bezwstydnie. Nie chciałam poznać szczegółów. Wiedziałam, że byłoby to zbyt trudne do zniesienia. - Czy utrzymują państwo kontakt z pozostałymi rodzinami?

Byłam przekonana, że nie zdołam jej odwieść od opowiedzenia mi o wszystkim. Siedziała z pozoru spokojna i była gotowa wyrzucić z siebie wszystkie okrutne szczegóły i wbić mi je do głowy, tak abym nigdy o nich nie zapomniała. Na jej twarzy malowało się okrucieństwo i determinacja. Nagle jakby straciła odwagę i widać było, że za chwilę się rozpłaczę. Skrzywiła żałośnie usta, jej nos gwałtownie poczerwieniał. Po chwili jednak zdołała się opanować i spojrzała na mnie załzawionymi oczami.

- Przepraszam, o co pani pytała?

- Chciałam wiedzieć, czy rozmawiała pani ostatnio z krewnymi pozostałych ofiar - z panią Westfall lub z Polokowskimi.

- Nie rozmawiałam o tym nawet z Wayne'em. Śmierć Megan nieomal nas zabiła.

- A dzieci państwa? Jak one to znoszą?

- Z pewnością lepiej niż my. Ludzie próbują mnie pocieszać, mówiąc: „No, ale masz jeszcze chłopców”. Tyle że to nie tak. Nie można zastąpić innymi dziećmi dziecka, które się straciło. - Dopiero teraz uświadomiła sobie, że płaczę, więc wyjęła chusteczkę i wytarła nos.

- Przepraszam, że poruszyłam ten temat - rzekłam. - Nie mam dzieci, ale wiem, że nie ma gorszej męki niż ich utrata.

Na jej twarzy ponownie pojawił się szydrczy uśmiech.

- Powiem pani, co jest jeszcze gorsze. Świadomość, że gdzieś tam żyje człowiek, który odsiedział kilka miesięcy za „spowodowanie wypadku samochodowego ze skutkiem śmiertelnym”, podczas gdy w rzeczywistości zamordował pięcioro ludzi. Wie pani, ile razy aresztowano go za jazdę po pijanemu, jeszcze przed tym wypadkiem? Piętnaście. Kilka razy płacił grzywny. Raz nawet odsiedział miesiąc w areszcie, ale zwykle... - Urwała, a po chwili dokończyła innym tonem: - Och, do diabła. Co to ma za znaczenie? Nic się nie zmieniło i już nigdy nie będzie tak samo. Powiem Wayne'owi, że pani była. Może on będzie wiedział, gdzie podziewał się Daggett.

ROZDZIAŁ 12

USIADŁAM do samochodu, trzęsąc się ze zdenerwowania. Od dawna żadna rozmowa ze świadkiem nie wzbudziła we mnie tylu emocji. Dag-gett na pewno został zamordowany. Nie przychodziło mi do głowy inne rozwiązanie. Niestety, musiałam sobie to wszystko jakoś poukładać w głowie. Zazwyczaj moralna ocena zabójstwa nie sprawia mi żadnych kłopotów. Bez względu na wady i charakter ofiary, morderstwo jest czymś złym, a kara wymierzona sprawcy powinna być na tyle surowa, by zrównoważyła podłość, jakiej się dopuścił. Jednak w tym przypadku takie myślenie było upraszczaniem zagadnienia. Chodziło przecież o Daggetta, który przewrócił świat do góry nogami. Z jego powodu pięć osób straciło życie, więc jego śmierć, niezależnie od prawdziwej przyczyny, przywracała moralny porządek rzeczy i kierowała kulę ziemską z powrotem na właściwe tory. Poza tym nadal nie wiedziałam, czyjego chęć zadośćuczynienia była szczerą, czy też stanowiła część jakiejś wyrafinowanej intrygi. Na razie wiedziałam jedynie, że porwał mnie prąd wydarzeń i muszę odegrać w nich swoją rolę, choć nie miałam pojęcia, do czego miałyby się ona sprowadzać.

Uruchomiłam samochód i ruszyłam w drogę powrotną do domu. Znów zaczęło się chmurzyć. Ledwo minęła piąta po południu, lecz od strony gór nadciągał już przedwczesny zmierzch. Podjechałam pod dom i wyłączyłam silnik, nie wysiadając z auta. Rzuciłam okiem na okna swojego mieszkania. Wszędzie panowały ciemności. Nie chciałam jeszcze wracać do domu, byłam za bardzo roztrzęsiona. Pod wpływem impulsu pojechałam na plażę, wiedziona słonym zapachem morza. Miałam nadzieję, że krótki spacer ukoi moje rozdygotane nerwy.

Podjechałam na parking miejski i zaparkowałam. Ściągnęłam buty i rajstopy i wrzuciłam je wraz z torebką na tylne siedzenie. Włożyłam wiatrówkę, zamknęłam samochód, schowałam kluczyki do kieszeni i ruszyłam ścieżką rowerową na plażę. Powierzchnia oceanu lśniła srebrną poświatą, natomiast załamujące się fale miały szarobrazowy odcień błota, a piasek na linii przyływu był usiany drobnymi kamieniami. Plaża przybrała zimową szatę - ciemne otoczaki, wyrzeźbione ruchami fal i piaskiem. Nad wodą kołowały stada mew, które uważnie obserwowały powierzchnię oceanu, szukając pożywienia.

Szłam po mokrym piasku, popychana podmuchami wiatru. W kierunku plaży zmierzał samotny surfer na desce. Trzymając się kurczowo poprzeczki przy jaskrawozielonym żaglu, walczył z wiatrem. Dwa wielkie kutry z posapywaniem podpływały do nabrzeża. Wszędzie czuło się niepokojący pośpiech - spienione fale, ciemniejące niebo. Ocean atakował wytrwale brzeg, bijąc monotonnie o falochron. Rozpryskiwane krople wody uderzały z powrotem o ścianę fal. Niemalże słyszałam trzask biczy wodnych chłostających betonowe molo.

Minęłam bramę prowadzącą do portu. Przedemną plażę poszerzała się, skręcając lekko w lewo ku dokom, w których kołysały się, niczym wskazówki metronomu, gołe maszty jachtów. Tu piasek był bardziej miękki i głębszy, więc brnęłam dalej z trudem. Przystanąłam i cofnęłam się parę kroków, próbując zorientować się w terenie. Ciało Daggetta znaleziono gdzieś na tym odcinku plaży. W wiadomościach pokazano krótką migawkę i teraz miałam nadzieję zlokalizować to miejsce. Zakładałam, że Daggett wypłynął po tej stronie portu. Na wprost i po prawej stronie rozciągał się plac zabaw i ogrodzony brodzik.

Na zdjęciu w telewizji widać było fragment pogłębiarki w tle, a przed nią falochron i linię skał. Kręciłam się po plaży, dopóki nie znalazłam miejsca, z którego widać było te elementy pod tym samym kątem. Sucha część plaży była mocno zryta i pokryta śladami opon, ale tam gdzie fale obmywały piasek, wszystkie ślady zostały dokładnie zatarte. Ekipa przybyła na miejsce przestępstwa z pewnością zbadała je choćby pobieżnie. Lustrowałam teren, nie mając wielkich nadziei na znalezienie jakiegoś „dowodu”. Jeśli ktoś zabija faceta pijanego w trupa, wypychając go za burtę łodzi, trudno szukać jakichś wiarygodnych śladów. Łódź pozostawiono samej sobie na pełnym morzu, a według informacji od Jonaha, została wyrzucona na brzeg bliżej falochronu. Jeszcze raz wciągnęłam w nozdrza przenikliwy zapach morza i spoglą-

dając na fale wytrwale atakujące brzeg, wolno obróciłam się w kierunku bulwaru, przy którym stał szereg moteli. Daggett zginął gdzieś między północą a piątą rano. Zastanawiałam się, czy warto przejść się po okolicy w poszukiwaniu ewentualnych świadków. Z drugiej strony, istniała możliwość, że Daggett własnoręcznie odciął cumę łódki i wypłynął z doku, choć przy zawartości alkoholu we krwi rzędu trzy i pół promila, miałby z tym duże trudności. Gdy stężenie alkoholu osiąga cztery promile, człowiek zapada w stan głębokiego zamroczenia i na pewno nie jest zdolny do tak wielkiego wysiłku, jak wiosłowanie. Być może wypłynął z portu jeszcze na trzeźwo, a dopiero potem, siedząc w dryfującej łodzi, zaczął wlewać w siebie alkohol, ale trudno było mi w to uwierzyć. Oczyma wyobraźni widziałam przy nim drugą osobę, kogoś, kto siedział cierpliwie i czekał na odpowiedni moment, aby chwycić Daggetta za nogi i wyrzucić do wody. „Mała lekcja pływania, Daggett. O cholera, nie umiesz pływać. Szkoda, frajerze. W takim razie zginiesz”.

Zaciągnięcie go do łodzi w takim stanie mogło sprawić pewne kłopoty, ale reszta z pewnością była dziecinną igraszką.

Spojrzałam na prawo. Do wielkiego pojemnika na śmieci zbliżył się stary kłozard z wózkiem sklepowym i zaczął grzebać w odpadkach. Ruszyłam ku niemu. Gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że jego skóra jest niemal szara z brudu. Spod tej warstwy wyglądała opalenizna w lekko czerwonym odcieniu - wpływ słońca, a może wina marki Mögen David, między nurkami śmieciowymi znanego bardziej jako Wściekły Pies 20-20. Facet wyglądał na jakieś siedemdziesiąt lat i był ubrany w kilka warstw szmat. Na głowie miał czapkę z nausznikami, spod której wystawały strąki siwych włosów. Cuchnął piżmem jak stary wół. Smród był tak intensywny, że oczekiwałam, iż ujrzę go w postaci fał, jak wokół skunksa w kreskówce.

- Cześć - zagadnęłam.

Nie przerwał grzebania, zupełnie mnie ignorując. W pewnym momencie wyciągnął z pojemnika parę pantofli na wysokim obcasie, obejrzał je uważnie, po czym ulokował w jednym z plastikowych worków, które trzymał w wózku. Gazeta sprzed dwóch dni nie wzbudziła jego zainteresowania. Puszki po piwie? Tak, te najwyraźniej przypadły mu do gustu. Kubełek po jedzeniu z Kentucky Fried Chicken nie zyskał aprobaty. Spódnica? Podniósł ją wysoko, zmierzył krytycznym spojrzeniem i dorzucił do butów. W pojemniku znalazła się również plastikowa dziurawa piłka plażowa. Staruszek odłożył ją na bok.

- Słyszał pan o facecie, którego wczoraj wyrzuciło na brzeg? - spytałam. Brak odpowiedzi. Poczułam się jak duch przemawiający do niego z zaświatów. Podniosłam głos: - Słyszałam, że ktoś go zauważył i zawiadomił gliny. Nie wie pan, kto to był?

Chyba nie miał ochoty na rozmowę. Z uporem unikał kontaktu wzrokowego. Torebkę zostawiłam w samochodzie, więc nie miałam przy sobie ani wizytówki, ani pieniędzy, by wykorzystać je w charakterze referencji. Nie miałam wyboru, musiałam dać sobie spokój. Powoli zaczęłam się oddalać. A tymczasem kłoszard dotarł już do połowy pojemnika i jego głowa zniknęła mi z pola widzenia. Oto na ile zdały się moje umiejętności przepytывania świadków.

Zanim wróciłam na parking, zrobiło się zupełnie ciemno, a mimo to zdołałam zorientować się, że coś jest nie tak, chociaż dopiero potem zobaczyłam, co się stało. Od strony pasażera drzwi volkswagena były otwarte na oścież. Przystanęłam w pół kroku.

- O, nie - powiedziałam do siebie.

Ostrożnie podeszłam do wozu, oczekując wszystkiego najgorszego. Wyglądało na to, że ktoś próbował otworzyć blokadę drzwi metalowym zakończeniem wieszaka na ubrania, wsuwając go pod owiewkę nad oknem. Ponieważ mu się nie udało, skurwiel po prostu wybił szybę po stronie pasażera i otworzył drzwi. Kłapa schowka na dokumenty była otwarta, a jego zawartość rozrzucona po przednich siedzeniach. Torebka zniknęła. Teraz na serio się zdenerwowałam, ale zaraz dopadł mnie nagły strach. Odchyliłam przednie siedzenie i sięgnęłam ręką po teczkę. Rzemyk, którym zabezpieczyłam zamknięcie, przecięto, a broń zniknęła.

- O, nie - jęknęłam. Wyrzuciłam z siebie strumień przekleństw. W liceum prowadziłam się z kilkoma „złymi facetami”, którzy nauczyli mnie kłąć jak szewc. Nie żałowałam sobie - puściłam więzankę jak za starych dobrych czasów. Byłam równie wściekła na samą siebie za to, że zostawiłam rzeczy na widoku, jak na tego idiotę, który mnie obrobił. Parking był prawie pusty i mój samochód kłuł w oczy niczym latarnia morska. Trzasnęłam z rozmachem drzwiami i nadal bosa, przeszłam na drugą stronę ulicy, gestykulując i mamrocząc pod nosem jak niespełna rozumu. Nie miałam nawet drobnych, żeby zadzwonić po policję.

W pobliżu stała budka z hamburgerami i przekonałam sprzedawcę, by zadzwonił ze swojego telefonu. Następnie wróciłam do samochodu

i zaczęłam na przyjazd radiowozu. Wsiadło z niego dwoje funkcjonariuszy - Gerald Pettigrew i Maria Gutierrez, których poznałam kilka miesięcy temu, gdy aresztowali kogoś w sąsiedztwie mojego mieszkania.

Policjantka spisywała moje zeznania, podczas gdy jej towarzysz poprzestał na wydawaniu współczujących ochów i achów. W jakiś sposób udało im się nieco mnie uspokoić, być może przyczyniło się do tego wezwanie technika policyjnego, który zebrał odciski palców z samochodu. Wszyscy wiedzieliśmy doskonale, że nie ma to większego sensu, jednak mimo to poczułam się lepiej. Pettigrew dodał, że sprawdzi w komputerze numer seryjny mojego pistoletu, który, dzięki Bogu, był zarejestrowany. Może pewnego dnia ktoś zechce go sprzedać w lombardzie i wtedy go odzyskam.

Byłam bardzo przywiązana do tej broni - wiele lat temu podarowała mi ją ciotka, która wychowywała mnie po śmierci rodziców. Pistolet był moim spadkiem, swoistą nicią wiążącą nas na zawsze. Ciotka nauczyła mnie strzelać, gdy miałam osiem lat. Była starą panną, nigdy nie miała własnych dzieci. Byłam więc dla niej swego rodzaju królikiem doświadczalnym, na którym eksperymentowała z dziwnymi nierzadko metodami kształtowania kobiecego charakteru. Strzelanie z pistoletu miało w jej mniemaniu spowodować, że nauczę się cenić bezpieczeństwo i precyzję. Ponadto świetnie wyrabiało refleks. Nauczyła mnie także robić na drutach i szydełkiem, co z kolei miało nauczyć mnie cierpliwości i dokładności. Z drugiej strony uparcie odmawiała mi lekcji gotowania, twierdząc, że to wyjątkowo nudne zajęcie, a na dodatek sprzyja przybieraniu na wadze. Przeklinanie w domu było na porządku dziennym, chociaż w obecności osób, którym mogłoby to przeszkadzać, starałyśmy się trzymać język na wodzy. Ćwiczenia fizyczne były potrzebne, nadążanie za modą - niekoniecznie. Czytanie książek było niezbędne. Ciotka wyznawała zasadę, że większość chorób przechodzi sama, tak więc lekarze są praktycznie niepotrzebni, no może z wyjątkiem nagłych wypadków. Co dziwne, to mniemanie nie obejmowało stomatologów. Chore zęby należało bezwzględnie leczyć, choć ciotka uznawała dentystów za osoby o przesadnych fanaberiach. Za jedną z nich, na przykład, uważała zastępowanie starych wypełnień złotymi plombami. Miała na podorędziu mnóstwo tego typu zasad i nakazów, i większość z nich nadal doskonale pamiętam.

Pierwszym i najważniejszym przykazaniem jej kodeksu była niezależność finansowa. Kobieta nigdy przenigdy nie może uzależnić się

finansowo od kogokolwiek, a szczególnie od mężczyzny, bo z chwilą, gdy staje się zależna, naraża się na przemoc. Osoby, które nie potrafią same się utrzymać (dzieci, emeryci czy nędzarze), są okropnie traktowane i na dodatek nie mają żadnego wyboru. A kobieta zawsze musi mieć jakiś wybór. Ciotka wyznawała zasadę, że każda osoba pici żeńskiej winna mieć praktyczne umiejętności, które pozwolą jej zarobić na siebie - im więcej, tym lepiej. Wszystkie dążenia kobiet powinny mieć na celu zwiększenie samowystarczalności, w przeciwnym razie są nic niewarte. Naturalnie, nie było tu miejsca na punkt „Jak zdobyć mężczyznę swojego życia”.

Gdy chodziłam do szkoły średniej, ciotka zwykła nazywać lekcje zarządzania gospodarstwem domowym „Zapieprzaniem w gospodarstwie domowym” i nie kryła zadowolenia, gdy na moim świadectwie przy tym przedmiocie widniała ocena „mierny”. Twierdziła, że więcej sensu miałyby, gdyby nauki te pobierali chłopcy, a dziewczęta uczyły się w zamian naprawy samochodu i obróbki drewna. Żeby nie było nieporozumień - ciotka bardzo lubiła mężczyzn (przynajmniej niektórych), natomiast nie miała zamiaru ich obsługiwać niczym pielęgniarka czy służąca. Powtarzała zawsze, że nie jest niczyją, nawet moją, matką, i nie zamierza zachowywać się jak one. Zrozumiałe więc, dlaczego tak bardzo chciałam odzyskać moją broń. Oczywiście, nie musiałam tłumaczyć niczego Pettigrewowi i Gutierrez. Wiedzieli, że jestem policjantką, i rozumieli znaczenie, jakie przykładałam do broni.

Zanim w końcu opuściliśmy parking, zrobiło się zupełnie ciemno, a deszcz ponownie zaczął padać. Cudownie!

Pojechałam do domu i zabrałam się do sporządzania listy skradzionych rzeczy: prawo jazdy, karta płatnicza stacji benzynowych, książeczka czekowa i Bóg wie co jeszcze. Skoro już się tym zajęłam, postanowiłam zadzwonić pod całodobowy numer, pod którym przyjmowano zgłoszenia zagubionych i skradzionych kart kredytowych. Na całe szczęście w domowej kartotece miałam zapisane ich numery. Choć w torebce było ledwie dwadzieścia dolarów, i tak czułam się dotknięta tą stratą. Wszystko to było tak irytujące, że koniec końców postanowiłam przestać o tym myśleć. Wzięłam prysznic, przebrałam się w dzinsy, sweter i półbuty i wyszłam do Rosie, żeby coś przegryźć.

Bar „U Rosie”, położony kilka kroków od mojego mieszkania, prowadzi jego właścicielka, sześćdziesięcioletnia Węgierka, kobieta niska i przysadzista, o włosach ufarbowanych na rudo. Ostatnio ich odcień

przypominał skrzyżowanie terakotowych płytek podłogowych z nadzieniem placka z dyni. Rosie jest niezłą despotką - wygadana, wyniosła i nieufna wobec obcych. Jeśli ma dobry humor, gotuje jak anioł, lecz zwykle chce dyktować każdemu, co powinien zjeść. Jest opiekuńcza, czasami szczodra, ale o wiele częściej irytująca. Niczym stetryczała babcia twojej najlepszej przyjaciółki - tolerujesz ją dla świętego spokoju. Mimo to często zachodzę do jej baru, bo jest bezpretensjonalny i znajduje się zaledwie pół przecznicy ode mnie. Rosie najwyraźniej uważa, że jej pozycja uprawnia ją do kierowania moim życiem... i trudno się z nią nie zgodzić.

Kiedy weszłam do baru tamtego wieczoru, wystarczył jej tylko jeden rzut oka na moją twarz, po czym nalała mi kieliszek białego wina ze swoich prywatnych zapasów. Podziękowałam i przeszłam do swojego ulubionego stolika w głębi pomieszczenia. Każdy stolik jest odgradzony od pozostałych ścianką z grubej, ciemnej dykty, zaokrąglonej po bokach. W chwilę później przy stoliku pojawiła się sama Rosie.

- Właśnie ktoś wybił okno w moim samochodzie i ukradł wiele drogich memu sercu przedmiotów, łącznie z pistoletem - oznajmiłam.

- Przyniosę ci *sóska leves* - powiedziała. - A potem zjesz sałatkę z selera, paprykarz z kurczaka, bułeczki od Henry'ego, strudel z kapustą i wiśnie w cukrze - bądź grzeczną dziewczynką i zjedz wszystko. Na mój koszt, potraktuj to jako rekompensatę za zmartwienia. A gdy będziesz jadła, zastanów się nad jedną rzeczą. Jeśliby w twoim życiu był porządny mężczyzna, nigdy nie przytrafiłoby ci się coś takiego - tyle ci powiem.

Po raz pierwszy od wielu dni szczerze się roześmiałam.

ROZDZIAŁ 13

NAZAJUTRZ, w poniedziałek rano, przystąpiłam do mozolnego odtwarzania zawartości skradzionej torebki. Najpierw udałam się do wydziału komunikacji, który pracował od ósmej rano. Wypełniłam niezbędne papiery i wpłaciłam trzydolarową opłatę za duplikat prawa jazdy. Potem ruszyłam do banku, gdzie zlikwidowałam dotychczasowe konto i założyłam nowe. Przedtem jednak wstąpiłam do domu, skąd zadzwoniłam do Sacramento, do Wydziału Usług Detektywistycznych i Ochroniarskich Departamentu Inicjatyw Gospodarczych, gdzie zgłosiłam kradzież licencji prywatnego detektywa i poprosiłam o wystawienie nowej. Przy okazji zabrałam z mieszkania stosik wizytówek i starą torebkę, która miała mi zastąpić skradzioną, dopóki nie kupię sobie nowej. Następnie pojechałam do sklepu i kupiłam parę drobiazgów, które zniknęły wraz ze złodziejem, a bez których czułam się nieswojo, chociażby tabletki antykoncepcyjne. Niedługo czekała mnie również wymiana okna w samochodzie. Wszystko razem było mało przyjemne.

Do biura dotarłam dopiero koło południa i od razu zauważyłam, że świeci się lampka automatycznej sekretarki. Rzuciłam poranną pocztę na biurko, wcisnęłam guzik odtwarzacza i otworzyłam drzwi na taras, wpuszczając do środka świeże powietrze.

„Panno MULhone, mówi Ferrin Westfall. Mój numer to 555-6790. Rozmawialiśmy z żoną na temat pani ewentualnej rozmowy z To-nym i chcielibyśmy jeszcze raz spotkać się z panią. Proszę zrozumieć, nie chcemy zasmucać i denerwować chłopaka. Wierzymy, że bez względu na rodzaj sprawy, jaką ma pani do niego, załatwi ją pani taktownie". Odłożył słuchawkę z cichym kliknięciem. Mężczyzna wyrażał się

chłodnym rzeczowym tonem. Żadnych stękań, wahań czy plątania się w słowach. Podniosłam brwi w geście uznania. Tony Gahan znajdował się w kompetentnych rękach. Biedny dzieciak.

Przygotowałam dzbanek kawy, wypilałam filiżankę i dopiero wtedy oddzwoniłam pod podany numer. Po dwóch dzwonekach ktoś podniósł słuchawkę.

- PFC, dzień dobry - odezwał się kobiecy głos.

PFC okazał się być skrótem od Perforated Formanek Corporation, firmy dostarczającej zakładom przemysłowym szlifierki, tokarki, imadła, żywice epoksydowe, frezarki, walcarki i narzędzia precyzyjne. Tak dokładne informacje uzyskałam od recepcjonistki, która wyrecytowała je monotonnym tonem, sądząc zapewne, że jestem jedną z klientek firmy. Poprosiłam Ferrina Westfalia i zostałam przełączona z uprzejmym „dziękujemy za telefon”.

Nastąpiło ciche kliknięcie, po czym odezwał się męski głos:

- Westfall.

Przedstawiłam się. W słuchawce zaległa głucha cisza, która miała zapewne mnie onieśmielić. Powstrzymałam się od zarzucenia Westfalia zwykłą w takich sytuacjach paplaniną, i dzielnie wytrzymałam przedłużające się milczenie.

- Tony będzie dziś w domu między siódmą a ósmą, jeśli pasuje pani ten termin - w końcu się odezwał i podał swój adres.

- Świetnie - odparłam. - Dziękuję. - „Dupku”, dodałam w myślach i rozłączyłam się.

Odchyliłam się do tyłu na krześle i wyciągnęłam przed siebie nogi. Jak do tej pory dzień był bogaty w wydarzenia. Chciałam odzyskać torebkę. Chciałam mieć znowu swój pistolet. Chciałam w końcu wrócić do zwykłego życia zamiast tracić czas na te biurokratyczne bzdury. Wyjrzałam przez drzwi balkonowe. Nie padało, przynajmniej na razie. Zabrałam się do przeglądania poczty - większość jak zwykle stanowiły reklamowe śmieci.

Myśl o Johnie Daggetcie i jego wyprawie łódką nie dawała mi spokoju. Wczoraj pomysł szukania w okolicy świadków wydał mi się bezsensowny. Dziś zaczynałam widzieć w tym sens. Ktoś mógł go widzieć. Pijak na ulicy zwykle rzuca się w oczy, zwłaszcza o tak późnej porze. Weekendowi goście okolicznych moteli pewnie rozjechali się już do domów, ale można by spróbować. Zgarnęłam kurtkę i kluczyki do samochodu, zamknęłam biuro i zbiegłam na dół tylnymi schodami.

Mój volkswagen z dnia na dzień tracił na wyglądzie. Ma czternaście lat, jest beżowy z metalicznym połyskiem, i mocno poobijany. No a teraz jeszcze wytłuczona szyba w oknie od strony pasażera. Nawet przy najbujniejszej wyobraźni, trudno uznać go za pojazd z klasą, ale jest bardzo ekonomiczny. Wszystko się we mnie burzy, gdy myślę o kupnie nowego wozu. Nie mam zamiaru pakować się w kosztowne opłaty, ubezpieczenie, nie mówiąc już o opłacie rejestracyjnej. Teraz płacę dwadzieścia pięć dolarów rocznie i to mnie w pełni satysfakcjonuje. Przekręciłam kluczyk w stacyjce i silnik od razu zaskoczył. Klepnęłam ręką tablicę rozdzielczą i wycofałam auto, biorąc kurs na State Street, na południe.

Zaparkowałam przy ulicy Cabana, prawie naprzeciwko wejścia na molo. Przy bulwarze jest osiem moteli, ale w żadnym z nich nie znajdzie się pokoju za mniej niż sześćdziesiąt dolarów za noc. Choć sezon już się skończył, wszystkie hotele były pełne. Zaczęłam od pierwszego, Sea Voyager. Przedstawiłam się kierownikowi, spytałam, kto pełnił nocny dyżur w recepcji w ubiegły piątek, zapisałam podane nazwisko i zostawiłam swoją wizytówkę, dopisując na niej kilka słów. Podobnie jak wiele innych aspektów mojej pracy, również chodzenie od drzwi do drzwi w poszukiwaniu świadków wymaga anielskiej cierpliwości i skłonności do powtarzania się, która wcale nie przychodzi mi łatwo. Jednakże trzeba to robić, bo zawsze istnieje możliwość, że ktoś gdzieś poda informację, która może okazać się bardzo pomocna. W ten sposób załatwiłam pozostałe motele, po czym wróciłam do samochodu i podjechałam pół mili dalej do portu.

Tym razem zostawiłam samochód na parkingu tuż koło nabrzeża, w pobliżu budynku marynarki wojennej. W okolicy kręciło się niewielu spacerowiczów. Niebo jak zwykle było zaciągnięte chmurami, a w powietrzu unosił się wątpliwy aromat świeżych ryb i oleju napędowego. Ruszyłam wolno deptakiem ciągnącym się wzdłuż nabrzeża, przy którym znajdują się osiemdziesiąt cztery akry stanowisk dla jedenastu tysięcy jednostek pływających. Od nabrzeża odchodzi drewniane szerokie molo, na którym stoi żuraw i wyciągarki do łodzi. Przed sobą miałam dok paliwowy i dok miejski, w którym dwóch mężczyzn cumowało właśnie dużą łódź silnikową.

Po prawej stronie deptaka umiejscowiły się wszelkiego rodzaju sklepy i bary: targ rybny, a nad nim restauracja serwująca owoce morza, sklep z akcesoriami wędkarskimi, profesjonalne centrum dla nurków,

dwie agencje sprzedaży jachtów. Fasady wszystkich budynków wykonane były z szarego drewna, a nad drzwiami umieszczono jaskrawo-niebieskie markizy, w odcieniu identycznym jak brezentowe płachty, którymi przykrywano żagle na łodziach po drugiej stronie ulicy. Przystanąłam na moment przed szklaną witryną, kontemplując zdjęcia oferowanych na sprzedaż łodzi - katamaranów, luksusowych jachtów dalekomorskich i małych sześciuosobowych łódek z żaglem. Port ma niewielu stałych rezydentów, to znaczy ludzi, którzy mieszkają na swoich łodziach przez cały rok. Taki sposób na życie wydawał mi się całkiem pociągający, zastanawiałam się tylko, czy równie atrakcyjne wydawałoby mi się korzystanie z przenośnych toalet w środku nocy, nie mówiąc już o prysznicu w portowej łazience. Przecięłam deptak i podeszłam do metalowej bariery. Wsparta o nią, zapatrzyłam się przez wilgotną mgłę na gołe maszty łodzi.

Woda miała teraz barwę zgniłej zieleni. Z mętnych fal niczym zatopione ruiny wystawały czubki skał. Tuż na linii wody zauważyłam dwa małe kraby pokonujące z wysiłkiem przeszkodę w postaci otoczaka, ale poza tym wydawało się, że w zimnych i odstręczających głębinach nie ma miejsca dla żadnych żywych stworzeń. Na małej przymie piasku i błota leżała pusta butelka po piwie. W pobliżu portu kręciły się dwie jednostki patrolowe.

Moją uwagę przyciągnęło kilka lekkich łódek zacumowanych na jednym ze stanowisk. Cztery główne doki były odgradzone i zamykane na zamek magnetyczny; kartę otwierającą bramę wydawała komendantura nabrzeża. Natomiast ten był ogólnie dostępny. Zeszłam z rampy i zbliżyłam się do stanowiska. Na stanowisku znajdowało się około dwudziestu pięciu łódek wykonanych z drewna i włókna szklanego, wszystkie miały około trzech metrów długości. Nie miałam pojęcia, czy Daggett wziął właśnie taką łódź, lecz jedno było pewne: jeśli ktoś zdecydowałby się już na przecięcie cumy, to musiałby się sporo napracować, żeby wymanewrować taką łódkę z doku i wypłynąć nią poza teren portu. Woda przy nabrzeżu stała bez ruchu, więc łódka puszczona luzem sama nie wypłynęłaby stąd, a jedynie obijała się o wystające z wody pale.

Ponownie weszłam na rampę i ruszyłam przejściem po lewej stronie do Portu nr 1. U podnóża rampy znajdował się parkan i brama z zamkiem magnetycznym. Pokręciłam się chwilę w pobliżu, uważnie obserwując przechodzących. W końcu do bramy podszedł mężczyzna w średnim wieku - w jednej ręce trzymał kartę magnetyczną, w drugiej

torbę z zakupami. Był muskularny, wysportowany i opalony na ciemny brąz. Miał na sobie szorty, luźny bawełniany pulower z dekoltem w szpic, przez który widać było trójkąt siwiejących włosów na klatce piersiowej.

- Przepraszam - zagadnęłam. - Mieszka pan tutaj? Przystanął i spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Tak - powiedział. Jego twarz pokryta była siatką zmarszczek, niczym papierowa torba wyciągnięta ze śmietnika.

- Mogę wejść z panem na teren portu? Próbuję dowiedzieć się czegoś o mężczyźnie, którego znaleziono na plaży w sobotę.

- Pewnie, proszę wchodzić. Słyszałem o tym. Ten człowiek ukradł łódkę mojemu znajomemu. A przy okazji, jestem Aaron. A pani?

- Kinsey Millhone - odpowiedziałam, schodząc za nim po rampie. - Jak długo pan tu mieszka?

- Sześć miesięcy. Rozstaliśmy się z żoną i ona zatrzymała dom. Życie na wodzie to miła odmiana. Mieszka tu sporo sympatycznych ludzi. Jest pani policjantką?

- Prywatnym detektywem - odparłam. - A czym się pan zajmuje?

- Jestem agentem nieruchomości. Dlaczego pani się tym zajmuje? - Włożył kartę magnetyczną w szczelinę bramy i otworzył ją. Weszłam na teren portu i zatrzymałam się, czekając na niego.

- Wynajęła mnie córka nieboszczyka - odrzekłam.

- Nie, chodzi mi o to, w jaki sposób została pani prywatnym detektywem.

- NO CÓŻ, byłam policjantką, ale niezbyt lubiłam tę pracę. Stanie na straży prawa było okay, ale nie mogłam znieść całej tej biurokracji. Teraz pracuję na własną rękę i to odpowiada mi o wiele bardziej.

Minęliśmy stado mew kotłujących się nad jakimś przedmiotem unoszącym się na wodzie. Ich krzyki przyciągały ptaki z całej okolicy, które niczym pociski mknęły po niebie.

- Awokado - oświadczył mężczyzna. - Mewy je uwielbiają. To moja łódź - rzucił, przystając koło dwusilnikowego trawlera długości około dwunastu metrów z małym mostkiem pontonowym.

- Boże, jaka piękna łódź!

- Podoba się pani? Może tu nocować nawet osiem osób - oznajmił, wyraźnie zadowolony. Zeskoczył z nabrzeża do kokpitu, odwrócił się i wyciągnął do mnie rękę. - Jeśli pani chce, może pani wejść i obejrzyć ją od środka, proszę tylko zdjąć buty. Napije się pani czegoś?

- Chyba nie, dziękuję. Mam jeszcze sporo pracy. Mógłby pan poznać ranie z właścicielem skradzionej łodzi?

Aaron wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że nie. Wypłynął na połów z rybakami i nie wróci aż do wieczora. Ale mogę dać pani jego numer telefonu. Policja chyba zarekwirowała łódź, więc jeśli chce pani ją zobaczyć, proszę zwrócić się do nich.

Nie oczekiwałam wiele po tej rozmowie, ale na wszelki wypadek postanowiłam zostawić sobie uchyloną furtkę. Wyjęłam wizytówkę, dopisałam z drugiej strony domowy numer telefonu i wręczyłam ją Aaronowi.

- Proszę powiedzieć swojemu znajomemu, żeby zadzwonił do mnie, gdyby miał jakieś informacje na temat tego wypadku - poprosiłam.

- Wiem, z kim powinna pani porozmawiać. Sześć stanowisk dalej cumuje łódź Seascape. Jej właścicielem jest Phillip Rosen. Zna wszystkie plotki, więc jeśli ktoś może pani pomóc, to tylko on.

- Dzięki.

Seascape była siedmiometrowym, jednożaglowym jachtem typu Flicka. Łódź miała gafłowy takielunek, dwumetrowy maszt, pokład z drzewa tekowego i kadłub z włókna szklanego, które miało imitować drewno.

Zastukałam w dach kabiny, a jednocześnie nachyliłam się i zawołałam: „Halo!”. Z otwartych drzwi wynurzył się mocno pochylony Phillip Rosen. Jego postać wprawiła mnie w zdumienie: był jednym z najwyższych ludzi, jakich kiedykolwiek widziałam, no może z wyjątkiem koszykarzy. Musiał mieć co najmniej metr dziewięćdziesiąt i wszystko w nim było duże - wielkie dłonie i stopy, potężna głowa z masą rudych włosów, szeroka twarz okolona brodą w tym samym kolorze. Był ubrany jedynie w obcięte do kolan, wyblakłe džinsy i gdyby nie one, wyglądałby niczym wiking przeniesiony za pomocą wehikułu czasu na łódź, która z pewnością nie była warta jego umiejętności. Przedstawiłam się, dodając, że Aaron poradził mi, bym z nim porozmawiała. Krótko wyjaśniłam, czego szukam.

- Cóż, ja go nie widziałem, ale moja znajoma - tak. Szła właśnie do mnie i zobaczyła ich na parkingu. Mężczyzna i kobieta. Twierdziła, że facet był pijany i zataczał się. A dziewczuszka, z którą był, mocno się napracowała, żeby utrzymać go w pionie.

- Potrafiłby pan ją opisać?

- Nie. Dinah nic na ten temat nie mówiła. Ale może pani porozmawiać z nią osobiście, dam pani numer.

- Świetnie - powiedziałam. - O której godzinie to było?

- Jakiś kwadrans po drugiej w nocy. Dinah jest kelnerką w barze na nabrzeżu i kończy pracę o drugiej. Tamtej nocy skończyła o czasie, a dojdzie tutaj zajmuje pięć minut. A przynajmniej powinno. Gdyby poszła brzegiem morza, droga zajęłaby jej tyle samo czasu, co dojdzie na parking.

- A czy teraz zastanę ją w pracy?

- W poniedziałek rano? Być może. Nie wiem, jak pracuje w tym tygodniu, ale może pani spróbować. Znajdzie ją pani w barze koktajlowym. Ma rude włosy i jeśli tam jest, na pewno ją pani zauważy.

Tak też było. Wróciłam samochodem na nabrzeże i zostawiłam auto w rękach parkingowego, który obsługuje parking przy restauracji. Następnie weszłam zewnętrznymi schodami na drewniany taras. Dinah zmierzała właśnie w kierunku stolika w rogu pomieszczenia z tacą pełną szklaneczek z margaritą. Odcień jej włosów bardziej przypominał pomarańczowy niż rudy i był zbyt jaskrawy, by można było podejrzewać, że jest naturalny. W butach na wysokich obcasach miała jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu. Ubrana była w ciemne siatkowe rajstopy i granatowy komplet marynarski z plisowaną spódniczką. Na głowie nosiła czapkę marynarską i sprawiała wrażenie dziewczyny, która zna na wylot każdy zaułek portu.

Poczekalam, aż poda drinki, i podeszłam do niej, gdy wracała do baru.

- Dinah?

Spojrzała na mnie od niechcenia. Z bliska widać było, że jej twarz pokrywają drobne brązowe piegi, a nos jest długi i wąski. Sztuczne rzęsy niczym nóżki owada otaczały jej jasnobrązowe oczy, nadając im wyraz wiecznego zdumienia. Cierpliwie powtórzyłam wyjaśnienia i dodałam:

- Wiem, kim jest starszy facet, ale próbuję ustalić tożsamość jego towarzyszkii.

Dinah wzruszyła ramionami.

- Ode mnie nie dowie się pani wiele. Widziałam ich tylko przelotnie. Port jest oświetlony, ale nie aż tak dobrze. A poza tym cholernie padało.

- Jak pani sądzi, ile lat mogła mieć ta kobieta?

- Była młoda. Może dwadzieścia kilka lat. Blondynka. Niska, przynajmniej w porównaniu z tym facetem.

- A włosy? Krótkie, długie? Przy kości czy chuda?

- Tego nie wiem. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy czy coś takiego. Włosy gdzieś do ramion. Nie kręcone, raczej gęste.

- Ładna?

Zastanawiała się, po czym odparła:

- Boże, nie wiem. Pamiętam tylko, że pomyślałam sobie, iż coś tu nie gra. Przede wszystkim facet był dętka. Cuchnęło od niego na odległość burbonem. Fuuj! Prawdę mówiąc, myślałam, że ta kobieta jest dziwką, która próbuje go naciągnąć. Już chciałam jej coś powiedzieć, ale pomyślałam, że to nie moja sprawa. Wyglądał fatalnie, ale wie pani, jak to jest. Był tak pijany, że mogła zrobić z nim, co chciała.

~ Dokładnie tak było, jeśli można tak określić morderstwo.

ROZDZIAŁ 14

KIEDY o drugiej po południu odjeżdżałam sprzed restauracji, w powietrzu czuć było przenikliwą wilgoć. A może tylko tak mi się wydawało, a prawdziwą przyczyną chłodu, który mną wstrząsnął, był niejasny obraz towarzyszki Daggetta. Od początku podejrzewałam, że tamtej nocy ktoś z nim był. Teraz zyskałam pewność, choć nie był to, rzecz jasna, niezaprzeczalny dowód popełnienia morderstwa, jedynie mętna wskazówka na temat wydarzeń, które doprowadziły do jego śmierci; dręczący cień osoby, której śladami podążałam.

Pierwszą osobą, która pasowała do opisu Dinah, była Lovella Daggett. Już w trakcie wizyty w jej mieszkaniu zastanawiałam się, czy nie jest prostytutką - wskazywałby na to jej mocno zaniedbany wygląd i charakterystyczne zachowanie. Ale z drugiej strony, większość kobiet, które spotkałam w związku z tą sprawą, odpowiadała opisowi podanemu przez kelnerkę. Barbara Daggett, siostra Billy'ego Polo -Coral, Ramona Westfall, a nawet Marilyn Smith, matka jednej z ofiar wypadku - wszystkie one były młodymi blondynkami. Chcąc nie chcąc, musiałam teraz się dowiedzieć, gdzie każda z nich spędziła noc z piątku na sobotę. Trudna sprawa, zważywszy, że nie wiedziałam, jak zmusić ich do zeznań. Policja dysponuje odpowiednimi środkami perswazji, prywatny detektyw nie ma nic.

Po drodze wstąpiłam do banku, zabrałam ze skrytki czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, oraz do kawiarni, gdzie wzięłam lunch na wynos. Potem pojechałam do biura i wzięłam się za porządkowanie papierów. O piątej wróciłam do domu, pokręciłam się trochę po mieszkaniu, a o pół do siódmej pojechałam do Westfallów na spotkanie z Tonym Gahanem.

Westfallowie mieszkali w miejscu zwanym Close, przy ślepej uliczce obsadzonej dębami, w pobliżu Muzeum Historii Naturalnej. Przez bramę osadzoną w kamiennym murze wjechałam w zaciszny zaułek. Stało tam zaledwie osiem domów - wszystkie wybudowane w stylu wiktoriańskim, pieczołowicie odrestaurowane i doskonale utrzymane. Okolica ta nadal sprawia wrażenie, jakby została przeniesiona wprost z dziewiętnastego wieku. Poszczególne posesje są ogrodzone niskimi kamiennymi parkanami, a w ogródkach dominują bujne krzewy paproci, kępy wysokiej trawy i bambusa. Zanim dojechałam na miejsce, zrobiło się ciemno, a Close spowijała lekka mgła. Roślinność zroszona deszczem rozlączała niezwyklej aromat. Jedyna latarnia przeświecała bladym światłem przez gałęzie drzew.

Znalazłam właściwy numer domu, zaparkowałam na ulicy i ruszyłam ścieżką do wejścia. Otynkowany na szaro parterowy dom miał szeroki ganek, białe okiennice i schludny wygląd. Na ganku stały białe meble z wikliny wyłożone poduszkami w biało-szary rzucik i dwa wiktoriańskie stojaki na kwiaty, które uginały się pod potężnymi donicami z paprocią. Jak na mój gust, wszystko to wyglądało zbyt idealnie.

Zadzwoiłam do drzwi, powstrzymując chęć zajrzenia do środka przez małe okrągłe okienko. Podejrzywałam, że wnętrza domu są urządzone zgodnie z najnowszym trendem lansowanym przez magazyn „Dom i Ogród” - wyważona mieszanka tradycji i nowoczesności z kroplą ekscentryzmu. Z drugiej strony, trudno mi było powstrzymać się od złośliwości, biorąc pod uwagę lekceważącą wyższość, z jaką potraktował mnie Ferrin Westfall, i wątpliwą uprzejmość Ramony. W końcu jestem tylko człowiekiem.

Drzwi otworzyła Ramona Westfall i wpuściła mnie do środka. Zachowywałam się uprzejmie, aczkolwiek nie zdobyłam się na pochwalenie wystroju wnętrza, który rzeczywiście był zaplanowany do ostatniego szczegółu. Ramona zaprowadziła mnie do salonu z przodu domu, po czym wyszła, zamykając za sobą dębowe przesuwane drzwi. Czekałam cierpliwie, kontemplując podłogę. Z holu dochodziły przytłumione szepty, a po chwili drzwi ponownie się rozsunęły i do pomieszczenia wszedł mężczyzna. Podał mi rękę i przedstawił się - Ferrin Westfall. - Jakbym nie wiedziała!

Był wysoki i szczupły; miał przystojną twarz i siwe włosy. Ciemnozielone oczy były równie wyprane z uczuć jak wody oceanu w porcie i zapewne jak one, kryły coś w głębinach, ale na powierzchni nie by-

ło żadnych oznak życia, Ubrany był w grafitowe spodnie i jasnoszary sweter z kaszmiru, tak miękkiego, że z trudem powstrzymałam się, by go nie dotknąć. Mężczyzna poprosił, żebym usiadła, co też zrobiłam.

Przez chwilę badał mnie wzrokiem, obrzucając krytycznym spojrzeniem moje ciężkie buty, sprane dżinsy i sweter z wełny, który zaczynał przecierać się na łokciach. Byłam zdecydowana nie dać się sprowokować, choć kosztowało mnie to sporo wysiłku. Spoglądałam na niego niewzruszenie, a w myślach wyobrażałam sobie, jak wygląda, gdy siedzi na sedesie z gaciami opuszczonymi do kostek. To znacznie pomogło.

W końcu się odezwał:

- Tony za chwilę przyjdzie. Ramona powiedziała mi o czeku. Chętnie bym go zobaczył.

Wyjęłam czek z kieszeni dżinsów, rozprostowałam wymięte nieco rogi i wręczyłam Westfallowi. Pewnie pomyślał, że jest sfalszowany, skradziony lub nieważny. Obejrzał czek uważnie ze wszystkich stron, i wyraźnie usatysfakcjonowany, oddał mi go.

- Dlaczego pan Daggett zwrócił się z tym do pani? - zapytał.

- Właściwie nie wiem - odparłam. - Twierdził, że szukał Tony'ego pod starym adresem, a ponieważ nie znalazł, poprosił mnie, żebym odszukała chłopca i przekazała mu czek.

- Nie wie pani, skąd miał tyle pieniędzy?

Znowu poczułam się niepewnie. To nie jego sprawa, pomyślałam. Pewnie chciał wiedzieć, czy Daggett nie zarobił tych pieniędzy na jakimś śmierdzącym przedsięwzięciu, na narkotykach, prostytutce czy sprzedawaniu zwierząt do laboratoriów medycznych.

- Wygrał je na wyścigach - odrzekłam. Osobiście wcale w to nie wierzyłam, ale nie miałam nic przeciwko wpuszczeniu Westfalia w maliny. Odniósł się do tego wyjaśnienia równie sceptycznie jak ja, niemniej porzucił śliski temat i spytał:

- Chce pani porozmawiać z Tonym sam na sam? Zdumiała mnie ta propozycja.

- Tak. Najchętniej zabrałabym go na colę i omówiła ten temat poza domem.

- W porządku, ale proszę odwieźć go w miarę wcześnie. Jutro idzie do szkoły.

- Oczywiście. Bardzo panu dziękuję.

Rozległo się stukanie do drzwi. Pan Westfall wstał i oznajmił:

- To pewnie Tony.

Drzwi rozsunęły się i do salonu wszedł Tony Gahan. Wygląda! jak typowy piętnastolatek. Miał około metra siedemdziesięciu i jakieś pięćdziesiąt kilo wagi. Jego wuj przedstawił mnie. Wyciągnęłam rękę i wymieniliśmy niezdarny uścisk dłoni. Chłopiec miał ciemne oczy i brązowe włosy, które ku mojemu zdziwieniu tworzyły całkiem elegancką fryzurę. Większość nastolatków, z jakimi miałam do czynienia, wyglądała tak, jakby wszyscy korzystali z usług jednego, niezbyt utalentowanego fryzjera. Uznałam, że fryzura Tony'ego była ukłonem w kierunku pojęcia dobrego smaku wyznawanego przez Ferrina Westfalia, i zastanawiałam się, czy chłopakowi to odpowiada.

Tony zachowywał się bardzo nerwowo i niepewnie, niczym dzieciak, który chce się wszystkim przypodobać. Obrzucił przestraszonym spojrzeniem wuja, jakby oczekiwał, że z jego twarzy wyczyta, jak powinien się zachować i co powiedzieć. Żal było na to patrzeć.

- Panna Millhone chciałaby zabrać cię na colę i przy okazji porozmawiać - oznajmił pan Westfall.

- Po co? - spytał z niepokojem Tony. Wyglądał, jakby zaraz miał paść trupem, a ja przypomniałam sobie, że będąc w jego wieku, nie znosiłam jadania na mieście w obecności obcych. Gdy się jest nastolatkiem i nie zna jeszcze wszystkich niuansów zachowania przy stole, wspólne posiłki są przerażającym torem przeszkód. Nie chciałam wzmagać jego zdenerwowania, lecz wiedziałam, że w domu nie ma żadnych szans na przyzwoitą rozmowę.

- Pani wszystko ci wyjaśni - powiedział Westfall. - Naturalnie, nie musisz nigdzie iść. Jeśli wolisz zostać w domu, po prostu powiedz to.

Tony najwyraźniej nie zdołał odczytać przesłania ukrytego w tych słowach. Twarz jego wuja zachowała neutralny wyraz, ale byłam pewna, że słowo „po prostu” musiało zbić chłopaka z tropu, a „naturalnie” też pewnie nie pomogło.

Tony nieznacznie wzruszył ramionami i spojrzawszy na mnie, odparł:

- Niech będzie. Kiedy? Teraz? Pan Westfall skinął głową.

- To nie zajmie wiele czasu. Tylko musisz wziąć kurtkę.

Tony ruszył do holu, a ja poszłam za nim, czekając, aż zdejmie kurtkę z wieszaka.

Osobiście uważałam, że piętnastolatek sam może decydować, czy włożyć kurtkę, ale nikt nie pytał mnie o zdanie. Otworzyłam drzwi wej-

ściowe i wyszłam, puszczając chłopca przodem. Pan Westfall patrzył chwilę za nami, po czym zamknął drzwi. Na Boga, prawie jakbym zabierała go na randkę. Niemalże zobowiązałam się, że odwożę go przed dziesiątą. Absurd.

W gęstniejących ciemnościach ruszyliśmy do samochodu.

- Chodzisz do Santa Teresa High School? -Tak.

- W której jesteś klasie?

- W drugiej.

Wsiedliśmy do samochodu. Tony chciał opuścić okno po stronie pasażera, ale okruchy szkła zablokowały mechanizm i jego wysiłki spełzły na niczym.

- Co się stało z tym oknem?

- Nie uważałam - odparłam krótko.

Zawróciłam na podjeździe i pojechałam na State Street. Wybierałam się do baru Clockworks, jednego z ulubionych miejsc spotkań nastolatków. Bar miał opinię, zresztą w pełni zasłużoną, siedliska brudu, smrodu i degeneracji - jednym słowem, sala treningowa dla nastoletnich bandytów. Dzieciaki (rzecz jasna, te „niegrzeczne”) chodzą tam, żeby napić się coli, zapalić skręta i porozrabiać. Ja poznałam to miej' sce dzięki siedemnastoletniemu handlarzowi narkotyków o imieniu Mike. Chłopak miał wściekle różowe włosy i zarabiał więcej niż ja kiedykolwiek. Nie widziałam go od czerwca, ale gdy kręcę się po mieście, zawsze patrzę, czy gdzieś go nie spotkam.

Zaparkowaliśmy za budynkiem i weszliśmy do środka tylnymi drzwiami. Sam bar jest długi i wąski. Ma ciemnografitowe ściany i sufit ozdobiony różowo-fioletowymi zawijaszami. Zwisają z niego czarne ruchome dekoracje, niezwykle podobne do trybów zegara. Hałas panujący tu w weekendy mógłby obudzić umarłego, a podłoga drży od ogłuszających dźwięków muzyki. Natomiast w pozostałe dni tygodnia w barze jest całkiem spokojnie i nadzwyczaj cicho. Znaleźliśmy wolny stolik - Tony usiadł, a ja podeszłam do baru po dwie cole. Nagle ktoś klepnął mnie w ramię, a gdy się odwróciłam, ujrzałam Mike'a. Zrobiło mi się ciepło na duszy.

- Właśnie o tobie myślałam - oznajmiłam. - Co słysząc? Chłopak zarumienił się i obdarzył mnie leniwym uwodzicielskim uśmiechem.

- W porządku. A ty co porabiasz?

- Nic wielkiego - odparłam. - Świetna fryzura. - Kiedyś głowę Mike'a zdobił okazały różowy pióropusz włosów, głowa z obu stron była podgolona do gołej skóry. Teraz wokół jego twarzy zwisały fioletowe strąki powiązane gumkami w pasma, a ich końcówki zabarwiono na białą. Gdyby nie te włosy, byłby z niego całkiem przystojny chłopak - miał gładką cerę, zielone oczy i równe zęby.

- Prawdę mówiąc, to właśnie zamierzam uciąć sobie pogawędkę z takim dzieciakiem - dodałam. - Chodzi do twojej szkoły.

- Taa? - Mike odwrócił się i rzucił okiem na Tony^ego.

- Znasz go?

- Widziałem go, ale nie mamy wspólnych znajomych. - Ponownie spojrzał na Tony'ego i chyba chciał coś dodać, ale się powstrzymał,

- A ty czym się zajmujesz? - spytałam. - Nadal narkotyki?

- Kto? Ja? Coś ty! Powiedziałem ci, że skończyłem z tym - odparł tonem urażonej godności. Jednak sądząc po wyrazie oczu, kłamał jak z nut. Tak czy inaczej, jeśli robił coś niezgodnego z prawem, i tak nie chciałam o tym wiedzieć, więc porzuciłam śliski temat,

- A jak ze szkołą? Kończysz w tym roku?

- Tak, w czerwcu. Wysłałem zgłoszenia do college'u i tak dalej.

- Czyżby? - Nie miałam pojęcia, czy mnie nie nabiera. Zauważył moje podejrzliwe spojrzenie, bo zaczął się tłumaczyć.

- Mam dobre stopnie. Nie jestem tumanem. Z takimi ocenami przyjmą mnie wszędzie. Grunt to się dobrze sprzedać.

Roześmiałam się.

- Na pewno - powiedziałam. Barmanka przyniosła dwie szklanki z colą. Zapłaciłam i zwróciłam się do Mike'a: - Muszę wracać do mojego znajomego.

- Fajnie, że się spotkaliście - powiedział. - Powinnaś wpadać tu częściej. Moglibyśmy pogadać.

- Kiedyś przyjdę - odparłam i uśmiechnęłam się do niego. W myślach potrząsnęłam zdegustowana głową. Mały podrywacz! Podeszłam do stolika, wręczyłam Tony'emu napój i usiadłam.

- Zna pani tego faceta? - spytał Tony z ukrywaną obawą.

- Kogo? Mike'a? Tak, znam go.

Tony spojrzał szybko na Mike'a, następnie popatrzył na mnie, a w jego oczach pojawił się jakby błysk szacunku. Może jednak nie byłam taka paskudna.

- Czy wuj powiedział ci, o co chodzi? - spytałam.

- Trochę. Mówił, że chodzi o wypadek i tego pijaka.
- Możemy o tym porozmawiać? Wzruszył ramionami, nie patrząc mi w oczy.
- Rozumiem, że nie było cię w tym samochodzie - zaczęłam. Nerwowym ruchem przygładził włosy.
- Aha. Pokłóciłem się z mamą. Wybierali się do babci na wielkanocnego zajęczka, a ja nie chciałem jechać.
- Twoja babcia nadal mieszka w Santa Teresa? Niespokojnie poruszył się na krześle.
- Jest w domu opieki. Miała wylew.
- To matka twojej mamy? - Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie interesowało. Miałam jednak nadzieję, że dzieciak odpręży się trochę i będzie bardziej komunikatywny.
- Tak.
- Jak ci się mieszka z wujostwem?
- W porządku. Nie jest źle. Wujek ciągle się czepia, ale ciotka jest całkiem miła.
- Mówiła, że masz jakieś kłopoty w szkole.
- I co z tego?
- Nic. Po prostu jestem ciekawa. Ciotka twierdzi, że jesteś bardzo inteligentny, a tymczasem oceny masz fatalne. Zastanawiałam się, o co tu chodzi.
- O tych cholernych nauczycieli - odparł. - I o to, że nie lubię, jak ktoś się wpięprza w moje sprawy.
- Naprawdę? - powiedziałam. Pociągnęłam łyk ze szklanki. Nagła wrogość chłopaka załapała mnie niczym zawartość przepelnionego szamba, ale pomyślałam, że pozwolę mu dać upust uczuciom i poczekam, aż jego wzburzenie opadnie. Mógł sobie kłąć, ile dusza zapragnie. W pojedynku na przekleństwa mogłam pokonać go bez trudu.
- Gdy nie zareagowałam, odezwał się:
 - Chcę poprawić stopnie - powiedział lekko urażonym tonem. - Muszę powtórzyć całą pieprzoną matmę i chemię. To dlatego nie idzie mi dobrze.
 - A jaki przedmiot lubisz najbardziej? Angielski? Plastykę? Zawahał się.
 - Jest pani psychiatrą?
 - Nie, prywatnym detektywem. Myślałam, że wiesz. Popatrzył na mnie zdziwiony.

- Nie rozumiem. Co ma do tego wypadek? Wyjęłam czek i położyłam go na stoliku.

- Człowiek, który go spowodował, prosił, bym cię odnalazła i dała ci to.

Tony wziął czek do ręki i przeczytał jego treść.

- To czek gotówkowy, na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów - wyjaśniłam.

- Za co?

- Nie jestem pewna. Myślę, że John Daggett chciał w ten sposób zrekompensować ci to, co się stało.

Tony był szczerze zdumiony, ale zauważyłam też wzbierający w nim gniew.

- Nie chcę tych pieniędzy - oświadczył. - Dlaczego akurat ja? Były też inne ofiary: Megan Smith i ten chłopak, Doug. Oni też dostaną pieniądze czy tylko ja?

- Z tego, co wiem, tylko ty.

- W takim razie niech pani je zabierze. Nie chcę ich. Nienawidzę tego sukinsyna.

- Upuścił czek na stół i przesunął w moim kierunku.

- Poczekaj. Nie, nic nie mów. Posłuchaj najpierw, co mam ci do powiedzenia. To twój wybór. Naprawdę, możesz zrobić, co zechcesz. Twoja ciotka poczuła się urażona tą propozycją i rozumiem to. Nikt nie zmusi cię do przyjęcia tej forsy, jeśli nie będziesz chciał. Aie najpierw wysłuchaj moich argumentów.

Tony wpatrywał się tępo przed siebie. Zniżyłam głos.

- Tony, to prawda, że John Daggett był pijany i pewnie był nic niewartym draniem, ale miał świadomość, że uczynił coś złego, i chyba w ten sposób chciał odkupić swoje winy. Uszanuj to i nie odmawiaj bez zastanowienia. Pomyśl o tym.

- Nie chcę pieniędzy za to, co mi zrobił.

- Jeszcze nie skończyłam.

Jego usta zaczęły drżeć, otarł oczy rękawem kurtki, ale nie wstał i nie wyszedł.

- Ludzie popełniają błędy - ciągnęłam. - Ludzie robią wiele rzeczy, których wcale nie chcieli robić. Ten człowiek nigdy nie zabił nikogo z premedytacją...

- Jest pieprzonym pijakiem! 1 był na tej pieprzonej ulicy tego cholernego poranka. Tata, mama i Hilary... - Głos załamał mu się, ale

zdołał się opanować. - Niczego od niego nie chcę. Nienawidzę go i nie chcę jego zasmarkanego czeku.

- Możesz go spieniężyć i wydać wszystko co do grosza.

- Nie! Niech pani go zabierze i odda temu facetowi. I niech pani mu powtórzy, że powiedziałem, żeby się odpieprzył.

- Nie mogę. On nie żyje. Zamordowano go w piątek w nocy.

- I bardzo dobrze. Mam nadzieję, że ktoś wyrwał mu serce. Zasługiwał na to.

- Być może. Ale istnieje możliwość, że ten człowiek nie zapomniał o tobie i chciał ci zwrócić choć część tego, co utraciłeś.

- Czego? Przecież oni nie żyją.

- Ale ty żyjesz, Tony. Musisz wziąć się za swoje życie...

- Hej! Przecież to robię, no nie? Ale nie muszę wysłuchiwać tych bzdur. Powiedziałaś to, co musiałaś, a teraz chcę wracać do domu.

Wstał, trzęsąc się z wściekłości. Sztywnym krokiem ruszył do wyjścia, roztrącając po drodze krzesła. Chwyciłam czek ze stolika i podążyłam za nim.

Gdy dotarłam na parking, Tony wytłukiwał właśnie resztę szkła z rozbitego okna mojego auta. Już otworzyłam usta, by zaprotestować, ale powstrzymałam się w ostatniej chwili.

A czemuż by nie?, pomyślałam. I tak muszę wymienić całe okno. Przystanąłam i obserwowałam go w milczeniu. Gdy wytłukł ostatni okrucuch, pochylił się nad maską i zaczął płakać.

ROZDZIAŁ 15

W POWROTNEJ drodze Tony wyciszył się i uspokoił, jakby nigdy nic. Zaparkowałam przed samym domem. Chtopak wysiadł z auta, trzasnął drzwiami i bez słowa ruszył ścieżką w kierunku drzwi wejściowych. Byłam przekonana, że nie wspomni wujostwu ani słowem o tym, co wydarzyło się w barze i dzięki Bogu, bo przecież zobowiązałam się, że nie będę go denerwować. Niestety, nadal miałam przy sobie czek Daggetta i coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że już się od niego nie odcepnię, a resztę życia spędzę na bezskutecznych próbach wciśnięcia go komukolwiek.

Gdy wróciłam do domu, zabrałam się do sprzątanía wnętrza auta. W domu staram się zachować jaki taki porządek, niestety, moje zdolności organizacyjne zupełnie nie sprawdzają się w samochodzie. Tylne siedzenie wozu jest zwykle zasłane aktówkami, książkami prawniczymi i wszelkiego rodzaju częściami garderoby - butami, rajstopami, zakietami czy kapeluszami - które wykorzystuję jako „przebrania” podczas pracy.

Spakowałam cały ten bałagan do kartonu i ruszyłam przez trawnik na tyły posesji, gdzie mieści się moje mieszkanie. Otworzyłam kłódkę zabezpieczającą skrzynię na narzędzia stojącą na ganku, wrzuciłam tam pudło i z powrotem założyłam kłódkę.

Gdy znalazłam się przy drzwiach, z cienia wynurzyła się jakaś postać.

- Kinsey?

Podskoczyłam ze strachu, z opóźnieniem uświadamiając sobie, że mam przed sobą Billy'ego Polo. Z powodu ciemności nie widziałam go zbyt dobrze, ale ten głos z pewnością należał do niego.

- O Jezu! Co ty tutaj robisz? - spytałam.
- Hej, przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć. Muszę z tobą porozmawiać. Wciąż jeszcze byłem rozdygotana, ale poczułam wzbierającą irytację.
- Jak mnie znalazłeś?
- Sprawdziłem w książce telefonicznej.
- Nie ma tam mojego domowego adresu.
- Tak, wiem. Najpierw pojechałem do twojego biura. Nie zastałem cię, więc spróbowałem u sąsiadów, w tej firmie ubezpieczeniowej.
- Dostałeś mój adres w California Fidelity? - zapytałam. - Kto ci go podał? - Ani przez chwilę nie wierzyłam, że CF mogło udzielić mu takich informacji.
- Nie wiem, jak nazywała się ta kobieta. Powiedziałem jej, że jestem twoim klientem i mam do ciebie pilną sprawę.
- Akurat!
- Naprawdę tak było. Bardzo się upierałem i w końcu dała mi twój adres.
- Wyglądało *na* to, że będzie uparcie trzymać się tej wersji, więc dałam sobie spokój z wypytywaniem.
- W porządku, o co chodzi? - powiedziałam. Z pewnością zabrzmiało to opryskliwie, ale wcale nie podobało mi się, że tu przyszedł, i byłam pewna, że jego historyjka o zdobyciu mojego adresu jest kłamstwem.
- Będziemy tak stać tutaj?
- Owszem, Billy. No dalej - po co przyszedłeś?
- Nie musisz być taka obrażona.
- Obrażona?! O czym ty, do cholery, mówisz? Wyłazisz z ciemności niczym jakiś Kuba Rozpruwacz. Mało nie padłam trupem z przerażenia, a ty oczekujesz, że zaproszę cię do mieszkania?
- Dobra, dobra.
- Powiedz, co masz do powiedzenia, i znikaj. Jestem wykończona. Rozejrzał się nerwowo dookoła... chyba bardziej po to, by podkreślić swoją ważność niż dlatego, że czegoś się bał. W końcu się odezwał:
- Rozmawiałem z moją siostrą, Coral, i ona uważa, że powinienem powiedzieć ci całą prawdę.
- Och, jak to uprzejmie z twojej strony! Jaką prawdę?
- O Daggetcie - wymamrotał. - Rozmawiałem z nim.
- Kiedy?
- Wzeszły piątek, zaraz po jego przyjeździe.

- Zadzwoił do ciebie? -Tak.
- Skąd wiedział, gdzie mieszkasz?
- Zadzwoił do mojej matki. Nie było mnie wtedy w domu, więc zostawił swój numer i oddzwoniłem do niego.
- Skąd dzwoił?
- Nie wiem. Chyba z jakiejś knajpy - w tle było słycać różne odgłosy. Był pijany i domyśliłem się, że zadekował się w pierwszym napotkanym barze.
- O której dzwoił?
- Około ósmej wieczorem.
- No i...?
- Twierdził, że się boi i potrzebuje pomocy. Jeszcze w Los Angeles ktoś zadzwonił do niego i oznajmił, że może się szykować na tamten świat. Chodziło o jakiś przekręt, który Daggett zrr&ił w więzieniu na krótko przed wyjściem.
- Jaki przekręt?
- Nie znam szczegółów. Z tego co słycałem, jego kumpel odwalił kite, a Daggett „pożyczył” sobie kupę forsy, którą ten facet trzymał pod materacem.
- Ile?
- Prawie trzydzieści kawałków. Pochodziły chyba z jakiegoś biznesu narkotykowego i właśnie dlatego zabili tamtego gościa. Daggett zniknął z całą gotówką, a ktoś chciał ją odzyskać.
- Kto?
- Nie chcę wymieniać nazwisk. Mam pewne podejrzenia i gdybym chciał, mógłbym się dowiedzieć, ale dopóki się da, nie zamierzam nadstawiać tyłka. Chodzi o to, że go spławiłem. Nie chciałem pomagać staremu durniowi. Nie ma mowy. Sam się w to wpakował, więc i sam powinien się wygrzebać. Nie chciałem, żeby mnie w to mieszał. Dobrze znam facetów, którzy chcieli go dopaść, i za bardzo zależy mi na własnym zdrowiu.
- Więc co się stało? Rozmawiałeś z nim telefonicznie i to wszystko?
- No, niezupełnie. Poszliśmy razem na drinka. Coral twierdzi, że powinnaś o tym wiedzieć.
- Czyżby? - powiedziałam. - A po co?
- Na wypadek gdyby coś się stało. Ona nie chce, żeby wyglądało na to, że coś ukrywałem.

- Więc sądzisz, że go dopadli?
- Przecież nie żyje, prawda?
- I o z tego?
- Mnie pytasz? Znaczy się, wiem tylko tyle, ile powiedział mi Dag-gett. Uciekał przed kimś i myślał, że mu pomogę,
- W jaki sposób?
- Myślał, że znajdę mu jakąś melinę, gdzie będzie mógł wszystko przeczekać.
- Kiedy się z nim spotkałeś?
- Dopiero w czwartek. Wcześniej byłem zajęty.
- Ach, te rozliczne obowiązki!
- Hej, szukałem pracy. Jestem na warunkowym i muszę stosować się do reguł.
- Nie spotkałeś się z nim w piątek?
- Nie. Widziałem go tylko raz, w czwartek wieczorem.
- A co Dagge tt robił do tego czasu?
- Nie wiem. Nie mówił.
- Gdzie się umówiliście?
- W barze, w którym pracuje Coral.
- A, to już rozumiem. Bała się, że zacznę węszyć i ktoś powie, że widział cię z Daggettem.
- No... tak. Coral nie chce, żebym znowu podpadł władzom, zwłaszcza że jestem na warunkowym.
- Dlaczego tym zbirom złapanie go zajęło tyle czasu? Przecież wypuścili go z więzienia sześć tygodni temu.
- Może na początku nie zorientowali się, że chodzi o niego. Dag-gett nie był zbyt bystry. Potrafił spieprzyć wszystko, czego się tknął. Pewnie uznali, że jest za głupi, by znaleźć tę forszę pod materacem i zabrać ją.
- A gdy rozmawiałeś z Daggettem, miał przy sobie te pieniądze?
- Żartujesz? Chciał pożyczyć ode mnie dziesięć dolców - odparł Billy obrażonym tonem.
- O co tu chodziło? - spytałam. - Przecież wystarczyłoby, żeby oddał pieniądze i po sprawie.
- Raczej wątpię.
- Ja też - zgodziłam się. - A co z tym wszystkim ma wspólnego Lovella?
- Nic. To nie jej sprawa.

- Nie byłabym taka pewna. Ktoś widział Daggetta w porcie tamtej nocy w towarzystwie mocno sponiewieranej blondynki.

Chociaż było zbyt ciemno, bym mogła zobaczyć wyraz twarzy Billy'ego, byłam przekonana, że gapi się na mnie ze zdumieniem.

- Blondynki?

- Właśnie. Mówiono mi, że była dość młoda. Daggett zataczał się, a ona próbowała go podtrzymać.

- Nic o tym nie wiedziałem.

- Ja też, ale sądząc z opisu, tą kobietą była Lovella.

- W takim razie spytaj ją o to.

- Tak zamierzam - odparłam. - A co stało się potem?

- Z czym?

- Chociażby z trzydziestoma tysiącami. Czy kiedy Daggett zginął, pieniądze wróciły do facetów, którzy go ścigali?

- Jeśli je znaleźli, to chyba tak - odparł niepewnie.

- A jeśli nie? Billy zawahał się.

- To chyba teraz należą się wdowie po nim, no nie? W ramach spadku.

W tym momencie przyszło mi coś do głowy i byłam ciekawa, czy Billy Polo wyciągnie podobne wnioski.

- Masz na myśli Essie?

- Kogo?

- Wdowę po Daggetcie - Essie.

- Przecież się z nią rozwiódł.

- Raczej nie. W świetle prawa nadal są małżeństwem.

- On jest mężem Lovelli.

- To małżeństwo nie jest ważne.

- Chrzanisz.

- Przyjdź jutro na pogrzeb, to sam się przekonasz.

- To Essie ma te pieniądze?

Nie, ale wiem, gdzie są. A przynajmniej dwadzieścia pięć tysięcy.

- Gdzie? - spytał z niedowierzaniem.

- W mojej kieszeni, słodziutki, w postaci czeku wystawionego na nazwisko Tony'ego Gahana. Pamiętasz Tony'ego, nieprawdaż?

Zaległa głucha cisza. Zniżyłam głos i dodałam:

- Powiesz mi, kim był Doug Polokowski?

Billy obrócił się na pięcie i odszedł.

Przez chwilę stałam niezdecydowana, wreszcie ruszyłam za nim. Nadal niepokoił mnie fakt, że Billy znał mój adres. Kiedy ostatnio z nim rozmawiałam, nie chciał nawet uwierzyć, że jestem prywatnym detektywem. A teraz nagle staje na głowie, żeby się ze mną spotkać, po czym gawędzi ze mną o Daggetcie. To nie miało sensu.

Gdy dotarłam do ulicy, usłyszałam cichy trzask zamykanych drzwiczek. Zatrzymałam się w cieniu i obserwowałam, jak Polo odjeżdża chevroletem zaparkowanym cztery domy dalej. Dodał gazu i pognął w kierunku plaży. Zastanawiałam się, czy nie pojechać za nim, ale nie miałam najmniejszej ochoty na kolejne czatowanie w krzakach koło przyczepy Coral. Już mi się odechciało. Wróciłam do domu. Pomyślałam o włamaniu do samochodu, o kradzieży torebki i wszystkich dokumentów. Czyżby zrobił to Billy Polo? Czy w ten sposób zdobył mój adres? Tylko jakim cudem zdołałby się dowiedzieć, że jadę na plażę i zatrzymam się właśnie w tym miejscu? Ale z drugiej strony, byłoby to jakieś wytłumaczenie faktu, że znalazł mnie bez trudu przed moim własnym mieszkaniem.

Wiedziałam, że coś knuje, ale nie miałam pojęcia, w jakim celu. Po co uraczył mnie historyjką o Daggetcie i złych facetach? Racja, pasowała do większości faktów, ale brakowało w niej jednoznacznego dowodu, że to, co mówi, jest prawdą.

Wyjęłam stertę kartek i zapisałam wszystko, czego się od niego dowiedziałam. Może jego opowieść nabierze większego sensu, gdy poznam dalsze fakty? Zanim skończyłam, minęła dziesiąta. Wyjęłam z lodówki butelkę białego wina, odkorkowałam ją i napełniłam kieliszek. Rozebrałam się, pogasiłam światła i zabrałam wino do łazienki, gdzie postawiłam je na parapecie nad wanną. Sama stanęłam obok i pogrzyżyłam się w kontemplacji widoku za oknem. Naprzeciw okna stoi latarnia uliczna, na wpół przesłonięta gałęziami drzewa jakarandy, teraz mocno ogołoczonego przez wiatr i strugi deszczu. Przez uchyloną szybę wpadał do środka wilgotny nocny zefirek, chłodny i delikatny. W ciszy słychać było pierwsze krople deszczu, uderzające o dach. Ogarnął mnie niewytłumaczalny niepokój. Gdy miałam jakieś dwanaście lat, lubiłam chodzić po ulicach w taką noc, jak dzisiejsza. Wędrowałam boso, ubrana w płaszcz przeciwdeszczowy, a po plecach przechodził mi miły dreszczyk strachu. Ciotka nie wiedziała chyba o tych nocnych wyprawach, a zresztą... kto wie? W jej duszy też tkwiła ta nuta niepo-

koju i pewnie doskonale mnie rozumiała. Ostatnio, być może z powodu Tony'ego, sporo o niej myślałam. Jego rodzina, tak samo jak moja, zginęła w wypadku samochodowym i jego też wychowywała ciotka. Czasami... zwłaszcza w noce takie jak ta... dochodzę do wniosku, że śmierć rodziców nie była aż tak tragiczna, jak mogłoby się wydawać. Ciotka, mimo wszystkich swoich wad, była dla mnie idealną opiekunką- bezpośrednia, twarda, ekscentryczna i niezależna. Gdyby rodzice nadal żyli, moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej, co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. Polubiłam swoje życie takim, jakie było.

Wracając myślą do wydarzeń sprzed paru godzin, uświadomiłam sobie, że widząc Tony'ego, wybijającego resztki szyby w moim aucie, całkowicie się z nim identyfikowałam. Jego gniew i bunt obudziły bolesne uczucia, które kryłam głęboko w sobie. A jutrzejszy pogrzeb Daggetta poruszał jeszcze inną strunę... zadawnione żale i smutki, wspomnienie przyjaciół odchodzących na zawsze. Czasami wyobrażam sobie śmierć jako szerokie kamienne schody, po których posuwa się w milczeniu korowód tych, którzy już nie wrócą. Na co dzień zbyt często mam do czynienia z nagłymi zgonami, by podchodzić do nich emocjonalnie, ale zawsze tęsknię za tymi, którzy odeszli, i zastanawiam się, czy gdy przyjdzie mój czas, pokornie ruszę naprzeciw przeznaczeniu.

Dopiłam wino i poszłam spać, wsuwając się bez ubrania pod ciepłą kołdrę.

ROZDZIAŁ 16

PORANEK wstał dżdżysty i ponury; ciemnoszare niebo zasnutę chmurami stopniowo rozjaśniało się, przybierając kolor brudnej bieli. Zwykle nie biegam, gdy pada deszcz, ale ostatniej nocy nie spałam zbyt dobrze i uznałam, że jogging pozwoli mi pozbyć się uporczywego niepokoju, który zawładnął moim umysłem. Najgorsze było to, że nie wiedziałam, co tak naprawdę mnie martwi. Po prostu czasami budzę się z tym nieokreślonym uczuciem lęku, umiejscowionym gdzieś w okolicach żołądka. A ponieważ o szóstej rano trudno kurować się alkoholem czy prochami, zostaje mi jedynie bieganie.

Włożyłam strój do joggingu i ruszyłam na ścieżkę rowerową, którą przebiegłam półtorej mili do centrum rekreacyjnego. Wiatr porzucił z rosnących przy bulwarze palm zeschnięte liście, które zasłaly trawę jak mokre pióra ptaków. Dziś ocean miał srebrny kolor; fale szumiały łagodnie niczym sukienka z tafty, przyozdobiona białą falbanką morskiej piany. Szarobrązowy piasek cierpliwie przeczesywały stada mew, szukające drobnych żyjątek. Wysoko w chmurach kołowały gołębie. Muszę przyznać, że nie jestem wielką miłośniczką natury. Nigdy nie zapominam, że wśród pozornie radosnego świergotu ptaków, jedne stworzenia bezlitośnie łamią kości swoim ofiarom i beznamiętnie rozdierają je na strzępy. Dlatego w kontakcie z naturą nie szukam ukojenia czy spokoju.

Ulice były niemal puste, nie spotkałam ani jednego biegacza. Minęłam pomalowany na kremowo budynek z betonu, w którym mieściły się toalety publiczne. Przed szaletem przycupnęło dwóch kloszardów ze starym wózkiem sklepowym. Jednego z nich rozpoznałam; to był ten sam, na którego natknęłam się w porcie, lecz teraz patrzył na mnie zupełnie

obojętnie. Jego kumpel leża! zwinięty w kłębek w dużym kartonowym pudle - wyglądał jak sterta starych szmat. Dobiegłam do miejsca oddalonego równo półtorej mili od mojego mieszkania i zawróciłam, nim dotarłam do domu, adidas przemokły mi do cna, kołarki pociemniały od deszczu, a mgła osiadła na włosach niczym perłowa kolia. Wzięłam gorący prysznic i dopiero wtedy poczułam nowy przypływ optymizmu.

Po śniadaniu ogarnęłam nieco mieszkanie, a następnie sprawdziłam, czy polisa ubezpieczeniowa mojego auta obejmuje wymianę szyby w oknie. Obejmowała, do wysokości pięćdziesięciu dolarów. Pół do dziewiątej zabrałam się do żmudnego obdzwaniania kolejnych warsztatów, szukając takiego, w którym wstawią mi szybę na poczekaniu. Następnie włożyłam uniwersalną czarną sukienkę, wzięłam też czarną torebkę ze skóry, którą noszę, gdy chcę wyglądać bardziej oficjalnie. Przepakowałam do niej wszystkie niezbędne drobiazgi i nieszczęsny czek Daggetta.

Zostawiłam samochód w warsztacie nieopodal biura i dalszą część drogi przeszłam pieszo. Mimo butów na płaskim obcasie bolały mnie stopy, a rajstopy też nie ułatwiały zadania - miałam wrażenie, że mam między nogami gorącą, moką rękę.

Po przyjeździe do biura zabrałam się do odprawiania codziennego rytuału. W chwili, gdy włączałam ekspres do kawy, zadzwonił telefon.

- Panno Millhone, mówi Ramona Westfall.

- O, witam - powiedziałam. - Co u pani słychać? - Mój żołądek zareagował gwałtownym skurczem, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy Tony Gahan powiedział jej o wczorajszej scysji w Clockworks.

- Wszystko w porządku - odparła. - Dzwonię, bo chciałabym z panią o czymś porozmawiać. Znajdzie pani chwilę czasu przed południem?

- Jestem wolna, ale chwilowo nie mam samochodu. Czy może pani przyjechać do mojego biura?

- Tak, naturalnie. To nawet lepiej. Będę o dziesiątej, dobrze? Przepraszam, że tak bez uprzedzenia...

Rzuciłam okiem na zegarek. Zostało dwadzieścia minut.

- Dobrze - powiedziałam.

Ramona wymamrotała kilka zwyczajowych frazesów i zakończyła rozmowę. Wcisnęłam widełki telefonu i wybrałam numer Essie Daggett. Miałam nadzieję zastać tam Barbarę i upewnić się co do godziny pogrzebu. Nie mogła podejść do telefonu, ale Eugene Nickerson poinformował mnie, że uroczystość zaczyna się o drugiej po południu. Powiedziałam, że przyjdę, i rozłączyłam się.

Następne kilka minut poświęciłam na przeglądanie wczorajszej poczty, odłożyłam na bok kilka czeków, wreszcie zatelefonowałam do swojej agentki ubezpieczeniowej, by ustalić z nią szczegóły zwrotu kosztów wymiany okna. Ledwie odłożyłam słuchawkę, rozległ się dzwonek telefonu.

- Kinsey, mówi Barbara Daggett. Zdarzyło się coś nowego. Kiedy przyjechałam dziś rano do mamy, na schodach przed jej domem natknęłam się na kobietę, która twierdzi, że jest żoną taty.

- O, Boże. Lovella!

- Znasz ją?

- Poznałam ją w zeszłym tygodniu, gdy wybrałam się do Los Angeles na poszukiwanie twojego ojca.

- I wiedziałaś o wszystkim?

- Nie znam bliższych szczegółów, ale z tego, co mówiła, zrozumiałam, że żyje z twoim ojcem w swego rodzaju związku małżeńskim.

- Kinsey, ona ma świadectwo ślubu! Widziałam je na własne oczy. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Zatkalo mnie, gdy ją zobaczyłam. Stała na ganku i wrzeszczała wniebogłosy, w końcu musiałam wezwać policję. Nie rozumiem, jak mogłaś to zataić przede mną.

- A kiedy miałam ci powiedzieć? W kostnicy? A może w domu pogrzebowym, gdy twoja matka dostawała ataku hysterii?

- Mogłaś do mnie zadzwonić, Kinsey. Kiedykolwiek. Mogłaś przyjść do mnie, do biura.

- Barbaro, mogłam zrobić mnóstwo rzeczy, ale ich nie zrobiłam. Szczerze mówiąc, czułam się w obowiązku zachować lojalność w stosunku do twego ojca, a poza tym myślałam, że nie dowiesz się nigdy o tym rzekomym „małżeństwie”. To świadectwo może być fałszywe. Niewykluczone, że cała ta sprawa jest jednym wielkim przekreśleniem, a nawet jeśli nie, to masz teraz wystarczająco wiele problemów i nie uważam za słusne dokładanie do listy twoich klęsk bigamii ojca.

- Nie ty o tym decydujesz. A teraz mama dopytuje się o tę awanturę na ganku i nie mam pojęcia, co jej powiedzieć.

- Tak, rozumiem, dlaczego się złościś, ale gdyby można było cofnąć czas, prawdopodobnie postąpiłabym tak samo.

- Dlaczego to robisz?! Nie znoszę być oszukiwana. Zatrudniłam cię do zbadania tej sprawy i oczekuję, że będziesz informować mnie o wszystkim, czego się dowiesz.

- Twój ojciec wynajął mnie dużo wcześniej - przypomniałam.

To stwierdzenie na chwilę zbiło ją z tropu, ale po chwili zacaęta na nowo:

- A właśnie, nigdy mi nie powiedziałaś, po co cię wynajął?

- Oczywiście, że nie powiedziałam. Rozmawiał ze mną poufnie i chociaż potem okazało się, że kłamał jak najęty, to i tak nie zamierzam chlapać językiem na prawo i lewo. Nie utrzymałabym się w tym interesie, gdybym zdradzała tajemnice swoich klientów.

- Ale ja jestem jego córką. Mam prawo wiedzieć. Zwłaszcza że, jak się okazuje, mój ojciec był bigamistą. W końcu, za co ci płacę?

- Chociażby za to, żebym robiła właściwy użytek ze swojej głowy -rzekłam. - Barbaro, daj spokój. Bądź rozsądna. Przypuśćmy, że bym ci powiedziała. I co by to dało? Jeśli twoi rodzice są nadal, w świetle prawa, małżeństwem, Lovella nie ma tu nic do gadania, a z tego, co wiem, ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Nie widziałam powodu, żeby cię dobijać, zwłaszcza że ona mogła wynieść się z miasta bez słowa.

- A skąd ta kobieta wiedziała, że tato nie żyje?

- Na pewno nie ode mnie. Nie jestem idiotką. Nie sądzisz chyba, że chciałam, by Lovella dotarła do was i odstawiła szopkę na waszym ganku. Może przeczytała o tym w gazecie albo usłyszała w telewizji?

Barbara wymamrotała coś niewyraźnie, chwilowo ułagodzona.

- I co się stało po przyjeździe policji? - spytałam.

Zapadła kolejna chwila milczenia, w trakcie której zastanawiała się zapewne, czy odpowiedzieć na to pytanie, czy też dalej mnie besztać. Wyczułam, że lubi mieszać ludzi z błotem i szkoda jej tracić wymarzonej okazji. Ja natomiast uważałam, że nie płaci mi aż tak dużo, żebym musiała spowiadać się ze wszystkiego. No, może trochę powinnam była jej powiedzieć...

- Dwaj funkcjonariusze wzięli ją na bok i chyba przemówili do rozsądku. Poszła sobie kilka minut temu.

- Jeśli znowu się pokaże, ja się nią zajmę - oświadczyłam.

- Znowu? Po co miałyby to robić?

Wtedy przypomniałam sobie, że oczywista bigamia jej ojca nie była jedyną rzeczą, o której jej nie powiedziałam. Barbara nie miała również pojęcia o dwudziestu pięciu tysiącach dolarów, które Billy Polo określił mianem „spadku” po Daggetcie. Może właśnie dla nich Lovella przywlokła się pod dom Nickersona?

- Chyba powinniśmy porozmawiać osobiście - zagałam ostrożnie.

- Dlaczego? Czy jest coś jeszcze?

Podniosłam głowę i ujrzałam stojącą w drzwiach biura Ramonę Westfall.

- Zawsze jest coś jeszcze - rzekłam sentencjonalnie. - Właśnie dlatego życie jest takie zabawne. Mam klientkę, zadzwonię po południu.

Odłożyłam słuchawkę i podniosłam się z miejsca, ściskając nad biurkiem wyciągniętą dłoń pani Westfall. Poprosiłam, żeby usiadła, i nalałam nam obu kawy. Miałam nadzieję, że wykonując pozornie błahe czynności, spowoduję, iż się rozluźni.

Wyglądała na przemęczoną - gładką skórę pod łagodnymi oczami szpeciły cienie. Ubrana była w brązową popelną szmizjerkę z epoletami, przez ramię przewiesiła siatkową torbę z płóciennymi wstawkami, która aż prosiła się o zabranie na krótkie safari. Jasne włosy błyszczały olśniewająco niczym na reklamie szamponu. Próbowałam wyobrazić sobie, jak odziana w płaszcz przeciwdeszczowy wlecze przez port Daggetta uwieszonego jej boku. Czy byłaby zdolna do wypchnięcia go za burtę łódki? No pewnie - dlaczego nie?

Patrzyła na mnie niespokojnym wzrokiem, machinalnie poprawiając drobiazgi rozrzucone niedbale po biurku. Ułożyła ołówki w równiutkim rzędzie, tak że ich zaostrome końce celowały wprost we mnie, a następnie odchrząknęła i powiedziała:

- Cóż, zastanawialiśmy się... Tony nic nam nie powiedział, więc pomyśleliśmy, że może pani... Czy rozmawiając z Tonym wczoraj wieczorem, wspomniała pani o pieniądzach?

- Naturalnie - odparłam. - Tyle że to nic nie pomogło. Niczego nie osiągnęłam. Chłopak jest bardzo uparty, w ogóle nie chciał o tym rozmawiać.

Zarumieniła się lekko.

- Bylibyśmy skłonni przyjąć te pieniądze - powiedziała. - Wczoraj, gdy zabrała pani Tony'ego, rozmawialiśmy na ten temat z Ferrinem i doszliśmy do wniosku, że można by złożyć te pieniądze na rachunku oszczędnościowym... dopóki Tony nie osiągnie pełnoletności i nie będzie na tyle dojrzały, by samemu podjąć decyzję, co z nimi zrobić.

- Co sprawiło, że zmieniliście zdanie?

- Wszystko po trochu, jak sądzę. Byliśmy w poradni rodzinnej i terapeuta powiedział nam, że mamy szansę złagodzić trochę jego gniew i smutek. Psychiatra uważa, że migreny Tony'ego mogą być spowodowane stresem i są niejako ucieleśnieniem jego niechęci... lub niemożności, to chyba lepsze określenie, pogodzenia się z tą stratą. Wiele razy zasta-

nawiałam się, w jakim stopniu sama przyczyniłam się do takiego stanu. Do tej pory nie uporałam się ze śmiercią Abby, a to na pewno nie pomogło chłopcu. - Urwała i potrząsnęła głową, jakby czuła się lekko zażenowana. - Wiem, że to niedobrze. Poza tym niepotrzebnie potraktowaliśmy panią tak obcesowo, chciałabym za to przeprosić.

- Nie musi pani za nic przeproszać - powiedziałam. - Szczerze mówiąc, będę zachwycona, jeśli przyjmiecie państwo ten czek. W ten sposób wywiążę się w końcu ze swoich zobowiązań. A jeśli potem zmienilibyście państwo zdanie, zawsze możecie przekazać te pieniądze na jakiś zbożny cel. Jest mnóstwo organizacji charytatywnych.

- A co z rodziną Daggetta? Nie sądzi pani, że mogą rościć pretensje do tych pieniędzy? Nie chciałabym, byśmy weszli w ich posiadanie bezprawnie.

- O tym powinna pani porozmawiać z prawnikiem - odparłam. - Czek jest wystawiony na Tony'ego, a Daggett zatrudnił mnie, bym go dostarczyła chłopcu. Nie sądzę, żeby jego intencje budziły wątpliwości. Być może istnieją jakieś inne aspekty prawne, których nie znam, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by pani, zanim przyjmie czek, porozmawiała na ten temat z osobą kompetentną. - W skrytości ducha marzyłam tylko, żeby zabrała ten cholerny papier i poszła sobie w diabły.

Pani Westfall utkwiała wzrok w podłodze.

- Tony powiedział... wczoraj napomknął coś o tym, że chciałby pójść na pogrzeb. Jak pani sądzi, powinien? Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Ja też nie wiem, pani Westfall. Trudno mi się wypowiadać na ten temat. Może powinna pani porozmawiać z jego terapeutą?

- Chciałam, ale wyjechał i wraca dopiero jutro. Nie chcę jeszcze bardziej denerwować Tony'ego.

- Nie może pani sterować jego uczuciami - czuje to, co czuć musi. A może ten pogrzeb będzie kolejnym etapem, przez który powinien przejść?

- Ferrin też tak uważa, aleja nie jestem pewna.

- A co to za historia z tymi migrenami? Od jak dawna mu dokuczają?

- Od dnia wypadku. Zeszłej nocy też miał migrenę. To naturalnie nie pani wina - dodała pospiesznie. - Głowa zaczęła mu dokuczać w jakąś godzinę po powrocie do domu. Od północy do czwartej rano wymiotował średnio co dwadzieścia minut. W końcu zawieźliśmy go na

ostry dyżur do St. Terry, gdzie dali mu zastrzyk na uspokojenie. A teraz obudził się i mówi, że pójdzie na pogrzeb. Czy wspomniał coś o tym w rozmowie z panią?

- Nie. Powiedziała mu, że Daggett nie żyje, ale właściwie nie zwrócił na to uwagi. Powiedział jedynie, że go to cieszy. Czy czuje się na tyle dobrze, by pójść na pogrzeb?

- Sądzę, że tak. Te migreny są bardzo dziwne. Czasami wydaje się, że już z tego nie wyjdzie, a w chwilę później nic mu nie jest i rzuca się na jedzenie, jakby tydzień nie jadł. Tak samo było w zeszły piątek.

- W piątek? - powtórzyłam. W noc śmierci Daggetta.

- Tamten epizod nie był aż tak paskudny. Po powrocie ze szkoły Tony powiedział, że zaczyna boleć go gowa. Daliśmy mu lekarstwo, żeby zapobiec atakowi migreny, ale na nic się to nie zdało. Tak czy inaczej, atak trwał bardzo krótko i już o drugiej po południu Tony czuł się świetnie. Pamiętam, bo przygotowałam mu dwie ogromne kanapki z kotлетem. Oczywiście, migrena wróciła - najpierw we wtorek, no

i wczoraj. Tydzień temu też miał dwa ataki. Ferrin uważa, że udział w pogrzebie może mieć dla chłopca symboliczne znaczenie. Wie pani, zakończenie pewnego etapu i wyzwolenie.

- To niewykluczone.

- Czy Barbara Daggett może mieć coś przeciwko temu?

- Nie widzę powodu, by miała protestować - oznajmiłam. - Przypuszczam, że czuje się odpowiedzialna za to, co zrobił jej ojciec. Między innymi dlatego zaoferowała się z pomocą dla rodzin ofiar

- W takim razie pójdę do domu i sprawdzę, jak on się czuje - oświadczyła Ramona, zerkając na zegarek.

- Proszę wziąć ten czek - powiedziałam. Wyjęłam torebkę z dolnej szuflady biurka, a z niej czek, który położyłam na biurku. Podobnie jak jej mąż wczoraj, pani Westfall wygładziła zagięte rogi i obejrzała czek z uwagą, jakby nadal podejrzewała, że nie jest prawdziwy. Potem złożyła go na pół, schowała do torby i wstała. Przez całą rozmowę nie tknęła kawy, podobnie jak ja.

Odprowadzając ją do drzwi, przypomniałam godzinę i miejsce pogrzebu. Po jej wyjściu ponownie zasiadłam za biurkiem, aby przemyśleć dopiero co zakończoną rozmowę. Kusiło mnie, by dorwać Tony'ego Gahana i spytać, czyjego ciotka była w domu wtedy, gdy zginął Daggett. Trudno było wyobrazić ją sobie w roli mordercy, ale z drugiej strony, już nieraz dałam się zwieść pozorom.

ROZDZIAŁ 17

NABOŻENSTWO żałobne za duszę Johna Daggetta odbywało się w zapomnianym przez Boga i ludzi kościółku, stojącym o rzut kamieniem od autostrady. Niski, betonowy budynek, otynkowany na żółto, nie różnił się niczym od wielu podobnych mu kapliczek, które zwykle mają gdzieś za krzakami, gdy pędzi się autostradą. Przyjechałam w ostatniej chwili. Dopiero za kwadrans druga udało mi się wydrzeć volkswagena z warsztatu, ale, co muszę wyznać ze skruchą, nie od razu pojechałam na pogrzeb. Kilka następných minut z wyrazem niebiańskiej szczęśliwości na twarzy odkręcałam i zakręcałam nową szybę. Porywy wiatru stawały się coraz silniejsze, a ja miałam dziką satysfakcję, że nowe okno uchroni mnie przed nimi.

Gdy wjechałam na żwirowy parking za kościołem, moim oczom ukazało się jakieś pięćdziesiąt samochodów ściśniętych na powierzchni zdolnej pomieścić góra trzydzieści pięć. Część z nich jedynie tylnymi kołami stała na parkingu, reszta samochodu tkwiła na sąsiedniej parceli. Inne stłoczyły się przy parkanie stojącym wzdłuż ulicy. Widząc to, nawet nie próbowałam parkować w tym ścisku, tylko zostawiłam samochód na końcu ogonka aut przy krawężniku i wróciłam do kościoła pieszo. Ze środka dobiegała głośna muzyka organowa, która znacznie lepiej pasowała do publicznego lodowiska niż do przybytku Bożego. Z tablicy informacyjnej ustawionej przed wejściem dowiedziałam się, że kapłan tego kościoła zwie się księdzem, a nie pastorem. Zastanawiałam się, czy ma to jakieś znaczenie - ksiądz Howard Bowen. Nazwa kościoła składała się z kilkunastu słów i kojarzyła mi się nieprzyjemnie z grupkami domokrażców, którzy próbują wciskać religij-

ne broszurki. Miałam tylko nadzieję, że ci tutaj nie próbują nawracać wszystkich na swoją wiarę.

Na szerokich stopniach prowadzących do wejścia czatował na wchodzących pan Sharonson, z Wynington-Blake. Obdarzył mnie spojrzeniem zranionej sarny i wręczył kserokopię programu uroczystości, ozdobioną na okładce wyrysowaną ręcznie lilią. Jego zachowanie sugerowało, że nabożeństwo w tak nędznym kościółku jak ten nie zasługuje na jego łaskawą obecność.

Weszłam do środka. Kościelny zauważył mnie i podsunął metalowe składane krzeselko, które wziął ze stosu innych stojących pod ścianą. Ponieważ właśnie w tej chwili wierni podnieśli się z miejsc i zaczęli śpiewać, zatrzymałam się z tyłu w grupce spóźnialskich. Stojąca koło mnie kobieta podała mi trzymany w rękach śpiewnik, więc posłusznie ujęłam okładkę i spojrzałam na otwarte stronicę, szukając w panice właściwej pieśni. Zanim ją znalazłam, reszta zebranych była już przy czwartym wersie psalmu, którego motywem przewodnim były najwyraźniej krew i grzech. Poruszałam bezgłośnie ustami, wydając z siebie ciche pomruki, które, miałam nadzieję, ginęły wśród innych głosów. Pomijając już fakt, że nie uznaję tego rodzaju wyznań wiary, to na dodatek nie miałam najlepszego głosu, a nie chciałam zwracać na siebie uwagi.

Wydawało mi się, że rozpoznaję daleko w przodzie jasną głowę Barbary Daggett, ale poza tym nie zauważyłam żadnych znajomych twarzy. Po odśpiewaniu hymnu wszyscy usiedli z szelestem ubrań, szurając krzesłami. Ksiądz Bowen, ubrany w jednolity czarny strój, grzmiał o marności rodzaju ludzkiego, a ja utkwiałam spojrzenie w brązowej winylowej podłodze, by po chwili zwrócić uwagę na okna zdobione witrażami, przedstawiającymi wszelkie możliwe wyobrażenia męczarni duchowych, które przyprawiały mnie o dreszcze. Choć msza ledwie się rozpoczęła, czułam już kielkującą we mnie silną potrzebę wyznania wszystkich grzechów.

Trumna Daggetta ustawiona przed ołtarzem nieodparcie kojarzyła mi się ze skrzynią magika, w której zwykle umieszcza on swą asystentkę, zanim przetnie ją na pół. Dyskretnie spojrzałam do programu. Pierwszą modlitwę i inwokację mieliśmy już za sobą, podobnie jak hymn na otwarcie, a teraz najwyraźniej czekała nas pełna pasji rozprawa na temat pokus, na jakie wystawiane są nasze dusze. Przed oczami stanęły mi natychmiast wszystkie grzeszne pokusy, jakim się nie oparłam. Pamiętam, że były bardzo przyjemne.

Ksiądz Bowen był łysiejącym, niskim mężczyzną koło sześćdziesiątki o miłej, okrągłej twarzy i wyglądało na to, że ma spore problemy ze sztuczną szczęką. Na temat dzisiejszego kazania wybrał ustęp z Piątej Księgi Mojżeszowej: „Pan dotknie cię złośliwymi wrzodami na twoich kolanach i na twoich udach, z których nie będziesz mógł się wyleczyć, od stopy twojej nogi aż do wierzchu twojej głowy”. Do tej pory nie wiedziałam, że można wysłuchać tak dogłębnej analizy tego tematu i nie zasnąć. Trzymała mnie ciekawość, co też ksiądz Bowen powie na temat Daggetta, którego występki były liczne, a żal znikomy, ale skwitował śmierć Daggetta jedynie krótkim: „On będzie tobie pożyczką, a nie ty jemu, on będzie głową, a ty będziesz ogonem”, po czym przeszedł płynnie do uniwersalnej modlitwy.

Gdy zebrani wstawali do ostatniego hymnu, poczułam na sobie czyjeś spojrzenie. Podniosłam głowę i dwa rzędy przed sobą ujrzałam Marylin Smith w towarzystwie mężczyzny, który był zapewne jej mężem, Wayne'em. Była ubrana w jaskrawą czerwień i przez głowę przemknęło mi straszliwe podejrzenie, że zaraz poderwie się z miejsca i zacznie stepować na wieku trumny. Tymczasem wierni coraz bardziej się rozkręcali. Wśród okrzyków „Hosanna!”, „Amen” i „Alleluja” rozpoczęło się prawdziwe darcie szat. Chciałam dyskretnie wyjść, ale nie miałam odwagi. Cała impreza coraz wyraźniej przypominała duchowy aerobik.

Moja sąsiadka wpadła chyba w jakiś trans: stała z zamkniętymi oczami, kołysząc się w zapamiętaniu. Co jakiś czas z jej ust wyrывało się nabożne „Tak, Panie”. Nie przepadam za tego rodzaju przedstawieniami, więc ostrożnie zaczęłam przesuwać się w kierunku wyjścia. Dopiero teraz ujrzałam głównych aktorów spektaklu w pełnej okazałości: ksiądz, pozbywszy się najwyraźniej wszelkich zahamowań, wiódł środkiem kościoła swą wesołą, mocno wiekową trzódkę z Essie Daggett w roli tylnej straży. Wszystko razem przypominało dyskotekę chorych na epilepsję.

W drzwiach natknęłam się na Billy'ego Polo i jego siostrę, Coral. Billy pociągnął mnie za ramię i odsunął z przejścia, jako że nabożeństwo dobiegło właśnie końca, a jego uczestnicy zaczęli tłoczyć się do wyjścia. Essie Daggett wynurzyła się z kościoła i głośno szlochała niesiona dopingiem współbraci, niczym trener piłkarski po zdobyciu mistrzostwa świata. Barbara Daggett i Eugene Nickerson zdołali jakoś wywalczyć miejsce u jej boku. Chyba starali się ją chronić, co wydawa-

ło się całkiem słuszne, zważywszy, że pozostali uczestnicy balu ze wszystkich stron łapali Essie za ręce, poklepywali i ściskali, jakby spodziewali się, że wraz z wdowieństwem zyskała uzdrawiające moce.

Na końcu do wyjścia ruszyło sześciu mężczyzn wytypowanych do odtransportowania Daggetta na miejsce wiecznego spoczynku; tyle że zamiast nieść trumnę na ramionach ciągnęli ją za sobą na małym wózku. Na oko wszyscy musieli być dobrze po sześćdziesiątce i wyglądali tak, jakby za chwilę sami mieli paść trupem lub wywalić szacowny ładunek na środku kościoła. Wózek stanowił wprawdzie niezłe rozwiązanie, ale jedno kółko było wyraźnie koślawe i w trakcie jazdy wyginało się na wszystkie strony, przeraźliwie skrzypiąc. Natomiast trumna zdawała się żyć własnym życiem - przechylała się niepokojąco to w jedną, to w drugą stronę, i istniała obawa, że lada chwila zahaczy o któreś krzesło. Widziałam, że na twarzy sześciu starszuchów rozgrywa się heroiczna walka - za wszelką cenę starali się utrzymać stosowną powagę, co wymagało wysiłku, zważywszy, że zmagali się z opornym wózkiem, ciągnąc go środkiem nawy niczym upartego psa.

Przelotnie ujrzałam Tony'ego Gahana, ale zanim zdołałam do niego dotrzeć, gdzieś zniknął. Trumnę ściągnięto w końcu po schodach i załadowano na tył karawanu, który podjechał pod kościół. Za nim pojawiła się limuzyna, do której wsadzono Essie. Kobieta ubrana była w czarny kostium i czarny słomkowy kapelusz z szerokim rondem, z którego spływała gęsta woalka. W tym stroju przypominała mi nieodparcie pszczelarza... zatrutego żądłem Ducha Świętego, dodałam w myślach. Barbara Daggett miała na sobie ciemnoszary żakiet i czarne, szerokie spodnie. Jej dwubarwne tęczówki jeszcze bardziej wyróżniały się na tle bladej twarzy. Deszcz nieprzerwanie siąpił, wobec czego pan Sharonson usłużnie podawał wychodzącym z kościoła czarne parasole, które pospiesznie otwierali, zmierzając w kierunku parkingu.

Jednocześnie zabrzmiał warkot kilkudziesięciu silników i w oparach spalin, w fontannach żwiru wytryskujących spod kół pojechaliśmy w kierunku cmentarza, położonego jakieś trzy kilometry od kościoła. Tu ponownie zaparkowaliśmy auta jedno za drugim w długim ogonku i ruszyliśmy przez rozmiękły trawnik. Cmentarz był najwyraźniej nowy - na ogromnym płaskim terenie rosło zaledwie kilka drzew. Pole podzielono na kwatery oznaczone prostymi, niskimi kamieniami nagrobnymi - żadnych ozdób w rodzaju kamiennych amorków czy granitowych baranków. Cmentarz był dobrze utrzymany, jego znaczną

część zajmowały asfaltowe jezdnie, okalające działki z kwaterami, które, jak zauważyłam, w większości zostały już wykupione. Zastanawiałam się, czy cmentarze, podobnie jak pola golfowe, są projektowane przez specjalnych architektów, którzy dbają o jak najlepszą estetykę miejsca. Ten można by określić jak średnio zamożny wiejski klub, z niskimi składkami członkowskimi dla nieboszczyków na dorobku. Bogaci i poważani byli grzebani gdzie indziej, ale John Daggett najwyraźniej nie zasłużył sobie, by leżeć pomiędzy nimi.

Zakład pogrzebowy ustawił mały baldachim koło grobu i drugi, większy, nad rzędami składanych krzesełek. Widać było, że żałobnicy nie bardzo wiedzą, gdzie kto powinien usiąść, w związku z czym powstało lekkie zamieszanie. Essie i Barbara Daggett zostały zaprowadzone pod większą markizę i posadzone w pierwszym rzędzie. Krzeselka po obu stronach, związane za nogi z dwoma sąsiadującymi, zajęli Eugene Nickerson i jakaś gruba kobieta. Tylne nóżki już zaczęły się zapadać w rozmięklej ziemi, przez co cały rząd odchylił się nieznacznie do tyłu. Zastanawiałam się, co by było, gdyby krzesła przechyliły się jeszcze bardziej - przed oczami stanął mi widok tej czwórki z nogami dyndającymi w powietrzu, z wzrokiem utkwionym w baldachimie, unieruchomionych w tej dziwacznej pozycji. Dlaczego zawsze jest tak, że smutek balansuje niebezpiecznie na granicy absurdu?

Przesunęłam się nieco, by znaleźć się pod zadaszeniem, ale nie usiadłam. Większość uczestników pogrzebu była w starszym wieku i z pewnością to im bardziej przydadzą się krzeselka. Wyglądało na to, że cała kongregacja zebrała się tu dziś, by towarzyszyć Essie.

Ksiądz Bowen odmówił przyjęcia płaszcza przeciwdeszczowego i czekał, moknąc, aż wszyscy usadowią się na miejscach. Dopiero teraz zauważyłam aparat słuchowy tkwiący w jego prawym uchu, bo poprawiał go dyskretnie, z kamienną twarzą, zdecydowany nie zwracać na siebie uwagi otoczenia. Doszłam do wniosku, że wilgoć mogła uszkodzić baterie. Widziałam, że puka w aparacik palcem wskazującym, a potem gwałtownie odsuwa rękę, jakby odporne urządzenie w końcu zaczęło działać.

Po drugiej stronie rzędów krzeseł zauważyłam Marylin i Way-ne'a Smithów, a za nimi Tony'ego Gahana z ciotką. Chłopak wyglądał jak grzeczny uczeń - ubrany w szare wełniane spodnie, białą koszulę, granatowy rozpinany sweter i krawat z grubego, tłoczonego materiału. Spojrzał na mnie, jakby wyczuł, że jest obserwowany, lecz jego wzrok

był równie pusty, jak wzrok robota. Nawet jeśli przepelniała go dzika nienawiść lub dogłębny smutek, nie okazywał tego. Billy Polo i jego siostra stali pod parasolem na otwartej przestrzeni. Coral wyglądała fatalnie. Widocznie dopadł ją kolejny atak przeziębienia, ponieważ ścisnęła w dłoni pęk chusteczek higienicznych. Powinna siedzieć teraz w łóżku z okładem z maści rozgrzewającej na piersiach. Billy niespokojnie lustrował otoczenie rozbieganymi oczyma. Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem, ciekawa, czy szuka jakiejś konkretnej osoby.

- Drodzy przyjaciele - zaczął kapłan cukierkowatym tonem. - Zebraliśmy się tutaj, by uczestniczyć w smutnym pożegnaniu Johna Daggetta. Mamy oddać jego ciało ziemi, pożegnać go i radować się wraz z nim ze spotkania z Jezusem Chrystusem, przed którym wkrótce stanie. John Daggett odszedł od nas. Zostawił za sobą troski i zmartwienia doczesnego życia. Teraz jest już wolny od grzechu, cierpienia i winy...

Gdzieś z tyłu odezwał się piskliwy głos kobiecy „Tak, Panie!”, i zaraz dołączył do niego drugi, który tym samym tonem oznajmił: „Gówno prawda!”. Aparat słuchowy księdza nie spisywał się chyba najlepiej, bo jego właściciel uznał oba okrzyki za religijny aplauz i słowa zachęty, skierowane ku niemu. Przymknął zatem powieki i podniesionym głosem zaczął cytować stosowne ustępy Pisma, grmiąc o grzechu, nieprawości, splugawionej duszy, lubieżności i zepsuciu.

John Daggett był największym skurwysynem, jaki kiedykolwiek żył, więc czemu tego nie powiesz?! - rozległ się ponownie przenikliwy wrzask. Wszystkie głowy odwróciły się jak na komendę. W jednym z ostatnich rzędów stała Lovella. Ludzie gapili się na nią ze zdumieniem.

Była pijana. Małe zaróżowione oczka wskazywały na to, że ich właścicielka oprócz alkoholu uraczyła się także sporą porcją marihuany. Lewe oko nadal było lekko podpuchnięte, ale siniak zmienił kolor na jasnożółty i Lovella wyglądała bardziej na cierpiącą z powodu jakiejś alergii niż na potraktowaną pięścią nieboszczyka. Na głowie miała szopę blond włosów, którą dobrze pamiętałam, a usta umalowała ciemnoczerwoną szminką. Musiała mocno płakać, ponieważ pod oczami miała rozmazane smugi tuszu do rzęs. Twarz pokrytą różowymi plamami wieńczył krwiście czerwony nos. Na dzisiejszą okazję wystroiła się w koktajlową suknię zdobioną cekinami, z głębokim dekoltem, z którego niczym kondomy napełnione dla żartu wodą, wyłaniały się wydatne piersi. Trudno było stwierdzić, czy płakała ze złości, czy

z żalu. Nie miało to zresztą znaczenia, albowiem zebrani nad grobem nie byli przygotowani na żadną z tych ewentualności.

Przez ten czas zdołałam przesunąć się do tyłu. Zauważyłam, że Billy Polo przedziera się ku Lovelli spod przeciwległego końca zadaszzenia. Ksiądz zorientował się w końcu, że dziewczyna nie gra w jego drużynie, i obrzuci! spłoszonym spojrzeniem pana Sharonsona, który tymczasem wysłał na odsiecz grupkę swoich pracowników. Wszyscy jednocześnie dotarliśmy do Lovelli. Billy chwycił ją od tyłu, unieruchamiając ręce, ale dziewczyna wyrwała mu się, wierzgając jak muł i krzyząc: „Pieprzone głupki! Banda zafajdanych hipokrytów!”. Jeden z podwładnych Sharonsona chwycił ją za głowę, drugi podniósł stopy i wspólnie wynieśli wrzeszczącą i wrywającą się dziewczynę. Ruszyłam za nimi, dyskretnie oglądając się za siebie. Grupka żałobników wstała z miejsc, by mieć lepszy widok, lecz tym samym zasłonili sobą Barbarę Daggett. Natomiast doskonale widziałam Marilyn Smith, która otwarcie delectowała się każdą minutą szalonego występu Lovelli.

Gdy dotarłam do Lovelli, leżała na przednim siedzeniu chevroleta Billy'ego Polo i łkała z twarzą ukrytą w dłoniach. Drzwi po obu stronach wozu były otwarte, a Billy klęczał przy głowie dziewczyny i próbował ją uspokoić, głaszcząc mokre od deszczu włosy. Dwaj pracownicy zakładu pogrzebowego spojrzeli po sobie, najwyraźniej usatysfakcjonowani, że pozbyli się kłopotu. Billy warknął:

- Zajmę się nią. Odchrząćcie się, nic jej nie będzie.

Coral obeszła samochód i stanęła za plecami brata z otwartym parasolem. Czuła się mocno zakłopotana zachowaniem Billy'ego i występem Lovelli. Cała trójka tworzyła dziwaczną grupę, ale miałam niejasne uczucie, że więź między nimi jest znacznie ściślejsza, niż mogłoby to wynikać z tego, co powiedział mi Billy.

Jak zdołałam się zorientować, ceremonia pogrzebowa dobiegała końca. Spod baldachimu słychać było nieco piskliwy i zawodzący śpiew zebranych. Lovella szlochała niczym małe skrzywdzone dziecko - chlipała otwarcie i wydawało się, że robi to szczerze. Czyżby naprawdę opłakiwała śmierć Daggetta? A może chodziło o coś innego?

- Co się dzieje, Billy? - spytałam.

- Nic - odparł opryskliwie.

- Jak to nic? Kto jej powiedział o jego śmierci? Ty?

Billy, ignorując mnie zupełnie, ukrył twarz we włosach dziewczyny. Coral spojrzała na mnie.

- On nic nie wie - powiedziała.

- A ty? Masz coś do powiedzenia na ten temat?

Billy popatrzył na nią ostrzegawczo i potrząsnęła przecząco głową. Od strony grobu słychać było głosy. Żałobnicy powoli rozchodzili się, zmierzając w naszym kierunku.

- Uważaj na głowę, zamykam drzwi - powiedział Billy do Lovelli. Zamknął drzwi od strony kierowcy i okrążył samochód, by zrobić to samo z drugimi drzwiczkami. Zawiesił dłoń w pół drogi do klamki, czekając, aż dziewczyna schowa nogi do środka. Cały czas spoglądał w kierunku zebranych pod baldachimem. Gdy tłum zaczął się powoli przeredzać, coś przyciągnęło jego uwagę, ponieważ spytał: - A któż to jest?

Patrzył na małą grupkę, którą tworzyli Ramona Westfall, Tony i Smithowie. Dorośli rozmawiali, a Tony z rękoma w kieszeniach oskrobywał podeszwę buta z błota, trąc nią o poziomą poprzeczkę krzeselka. Tuż za nimi przystanąła Barbara Daggett, ona także rozmawiała z jednym z gości. Poinformowałam Billy'ego, kim są ci ludzie. Początkowo myślałam, że osobą, która go interesowała był Wayne, ale wyglądało na to, że chodzi mu raczej o Marylin.

- Dlaczego Westfallowie przyszli na pogrzeb?

- Być może z tego samego powodu, co ty.

- Nie wiesz, dlaczego przyszedłem - zauważył. Był wyraźnie zaniepokojony. Niecierpliwie potrząsał kluczykami od samochodu i unikał mojego wzroku.

- Może pewnego dnia mi powiesz.

Uśmiech, jakim to skwitował, wyraźnie mówił: „Nie licz na to”. Dał znak Coral, która szybko wskoczyła na tylne siedzenie. Billy usiadł za kierownicą i przekręciwszy kluczyk w stacyjce, odjechał, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ 18

BARBARA DAGGETT zapraszała mnie do domu swojej matki na stypę, ale odmówiłam. Nie zniósłabym kolejnego aktu tego przedstawienia. A poza tym, spędziwszy sporo czasu w licznym towarzystwie, czułam potrzebę pobycia przez chwilę w samotności. Wróciłam do biura i usiadłam za biurkiem, nie zapalając świeca. Była dopiero czwarta po południu, ale na niebie znowu zaczęły gromadzić się czarne chmury, jakby przygotowując się do kolejnego ataku. Zsunęłam buty i położyłam nogi na biurku, otulając się żakietem. John Daggett leżał trzy metry pod ziemią, a życie toczyło się dalej. Ciekawe, co by się stało, gdybyśmy zostawili wszystko tak jak jest? Nie sądziłam, żeby Barbarze Daggett rzeczywiście zależało na odkryciu prawdy i zadośćuczynieniu krzywdom. Sama też nie odkryłam zbyt wiele. Wydawało mi się, że jestem na właściwej drodze, by znaleźć odpowiedzi na pytania, jakie postawiła przed nami śmierć Daggetta, tyle tylko, że nie byłam przekonana, czy chcę znać odpowiedź. Może lepiej zapomnieć o tej sprawie i o człowieku, od którego się zaczęła, pogrzebać pamięć o nim, tak jak pogrzebano jego ciało. W końcu policja nie chciała uznać tego wypadku za morderstwo, a ja mogłabym przekonać Barbarę Daggett, żeby dała sobie spokój. Bo co się zyska, poznając odpowiedź? Nie zamierzałam mścić się na zabójcy Daggetta. Ale dlaczego, w takim razie, czułam się tak podle? Po raz pierwszy w całej swojej karierze myślałam o zerwaniu umowy. Zwykle prę z uporem do końca, ale tym razem chciałam się wycofać. I byłam już prawie zdecydowana to zrobić, jednak dziesięć minut później zadzwonił telefon, który zmobilizował mnie do dalszego działania. Zdjęłam nogi z blatu i podniosłam słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

- Millhone.

Z drugiej strony odezwał się młody męski głos. Zapytał z wyraźnym wahaniem:

- Rozmawiam z biurem czy telefonistką?

- Z biurem?

- Czy *pani jest Kinsey* Millhone?

- Tak. O co chodzi?

- Eee... Mam pani numer od swojego szefa, pana Donaghe'a z motelu Spindrift. Mówił, że pytała pani o piątkową noc. Wydaje mi się, że widziałem faceta, o którym pani mówiła.

Nie odrywając słuchawki od ucha, sięgnęłam wolną ręką po notatnik i długopis.

- Świetnie. Dziękuję, że pan do mnie zadzwonił. Mógłby pan podać mi swoje nazwisko?

- Paul Fink - odparł. - Czytałem w gazecie o tym topielcu i wydawało mi się, że chodzi o tego samego faceta, ale nie wiedziałem, czy powinienem komuś o tym powiedzieć.

- Widział go pan w piątek w nocy?

- Tak, jeśli to był on. Gdzieś za dziesięć drugą. Pracuję na nocnej zmianie w recepcji i czasami, żeby się obudzić, wychodzę przed hotel zaczerpnąć świeżego powietrza. - Urwał i niemalże słychać było, jak gorączkowe myśli tłuką mu się po głowie. - To poufna rozmowa, prawda?

- Oczywiście. Wszystko zostanie między nami. A dlaczego pan pyta? Jakaś randka podczas pracy czy co?

Roześmiał się nerwowo.

- Nie, nie. Czasami tylko popalam trawkę, ale nic więcej. Około drugiej w motelu robi się spokojnie i właśnie dlatego byłem na zewnątrz. Chciałem podładować akumulatory, a potem oglądać stare czarno-białe filmy; mam w pracy mały telewizor. To chyba żadne przestępstwo?

- To pańska prywatna sprawa. Jak długo pracuje pan w Spindrift?

- Od marca. Praca może nie jest fantastyczna, ale nie chcę, żeby mnie wylali. Mam długi do spłacenia i potrzebuję pieniędzy.

- Rozumiem - odparłam. - Proszę mi opowiedzieć o piątkowej nocy.

- No, cóż... Stałem przed wejściem, a ten pijak przechodził koło motelu. Mocno padało, więc nie widziałem go wtedy zbyt dobrze, ale potem, gdy pokazali go w wiadomościach, uznałem, że to może być ten sam człowiek - wiek i wygląd się zgadzały.

- A może widział pan jego zdjęcie?

- Nie, tylko krótką migawkę w telewizji. Nie przyglądałem się zbyt dobrze, więc nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że to był on. Pewnie powinienem powiadomić policję, ale nie miałem wiele do powiedzenia, poza tym bałem się, że dowiedzą się o... no wie pani.

- Co robił ten facet, którego widział pan koło motelu?

- Nic szczególnego. Był z jakąś dziewczyną. Trzymała go pod ramię, jakby go podtrzymywała. Facet był niezłe nagrany, więc wałęsali się po okolicy i głośno śmiali. No wie pani, jak to zwykle po alkoholu. To paskudny nałóg, nie to co trawka - dodał.

Pomięłam milczeniem tę szczególną kryptoreklamę i spytałam:

- A kobieta? Przyjrzał jej się pan?

- Niezbyt dobrze. Nie na tyle, by móc ją opisać.

- Nie pamięta pan nic? Może kolor włosów, ciuchy...?

- Coś tam widziałem. Miała buty na strasznie wysokich obcasach, płaszcz przeciwdeszczowy, spódnicę i... zaraz, zaraz. Aha, sweter, a pod nim koszulę. Jak, niech no pomyślę, wiem, jak uczennica prywatnej szkoły.

- Sweter z płytkim dekoltem?

- Tak. Zielony, tak samo jak spódnica.

- I wszystko to zdołał pan zauważyć mimo ciemności?

- Tu nie jest tak ciemno. Tuż przed wejściem stoi latarnia. A oni aż się pokładali ze śmiechu i w końcu się przewrócili. Dziewczyna podniosła się pierwsza i sprawdziła, czy nie podarła pończoch. Facet leżał w samym środku kałuży, dopóki nie pomogła mu wstać.

- Czy widzieli pana?

- Chyba nie. Stałem w cieniu, pod markizą przy wejściu. W ogóle nie patrzyli w moją stronę.

- I co dalej?

- Poszli w kierunku portu.

- Nie słyszał pan, o czym rozmawiali?

- Tylko urywki zdań. Dziewczyna chyba żartowała na temat upadku, ale nic więcej nie słyszałem.

- Czy możliwe jest, żeby przyjechali na plażę samochodem?

- Nie sądzę. Ja w każdym razie nie widziałem żadnego auta.

- A może zaparkowali dalej, przy ulicy?

- Racja, mogli. Ale po co w takim razie szli pieszo do portu przy takiej pogodzie? Gdyby mieli wóz, byłoby przecież łatwiej pojechać nim aż do przystani.

- Chyba że facet był zbyt pijany, żeby prowadzić. Poza tym nie miał prawa jazdy.

- Ale kierowcą mogła być dziewczyna. Była prawie trzeźwa.

- Rzeczywiście - przytaknęłam. - A może przyjechali autobusem albo taksówką?

- Niewykluczone, ale o tej porze autobusy już nie kursują. Taksówka - zgoda, to całkiem rozsądne wytłumaczenie.

Cały czas zapisywałam informacje, które podawał mi recepcjonista.

- Dobrze. Proszę podać mi swój domowy numer telefonu. Być może będę jeszcze musiała skontaktować się z panem.

Mężczyzna podał mi numer i dodał:

- Pracuję od jedenastej do siódmej rano w dni robocze. Zapisałam to przy jego numerze.

- Czy rozpoznałby pan tę dziewczynę?

- Nie wiem. Pewnie tak. Zna pani jej dane?

- Jeszcze nie, ale cały czas nad tym pracuję.

- Cóż, w takim razie życzę szczęścia. Myśli pani, że moje zeznania przydadzą się do czegoś?

- Mam nadzieję. Dziękuję za telefon. Naprawdę, bardzo to doceniam.

- Nie ma sprawy, a jeśli znajdzie pani tę dziewczynę, proszę dać mi znać. Może uda się przeprowadzić coś w rodzaju konfrontacji... wie pani, tak jak robią na policji.

- Dobrze. Jeszcze raz dziękuję.

Mężczyzna rozłączył się, a ja uzupełniłam notatki, dodając świeżo odkryte fakty do już znanych. Dinah widziała Daggetta z dziewczyną kwadrans po drugiej, a zeznania Paula Finka świadczyły o tym, że para ta była przy Cabana pół godziny wcześniej. Ciekawe, gdzie byli przedtem? Jeśli przyjechali taksówką, to czy po wszystkim dziewczyna wróciła do domu w ten sam sposób? Trudno mi było w to uwierzyć. Mordercy nie jeżdżą raczej taksówkami na miejsce zbrodni. Zakazuje tego niepisana etykieta przestępców.

Sięgnęłam po książkę telefoniczną i w spisie branżowym odszukałam firmy transportowe. Na szczęście Santa Teresa jest małym miastem i nie ma tu wielu tego typu usługodawców. Eliminując na wstępie firmy obsługujące lotnisko i nastawione na wożenie turystów, zostało mi sześć firm. Po kolei zadzwoniłam do każdej z nich i cierpliwie tłumacząc, kim jestem, pytałam, czy o drugiej w nocy w sobotę któraś

z taksówek firmy nie odbywała kursu na bulwar Cabana. Chciałam też uzyskać informację na temat ewentualnego kursu powrotnego z portu, gdzieś między trzecią a szóstą rano. Z tego, co mówił pracownik kostnicy, wynikało, że zegarek Daggetta zatrzymał się na drugiej trzydziści siedem, ale ktoś mógł celowo ustawić wskazówki i rozbić zegarek, a dopiero potem założyć go Daggettowi. Jeśli dziewczyna wróciła do portu wpław lub podpłynęła łódką i porzuciła ją przy falochronie, musiała trochę się ogarnąć, zanim zadzwoniła po taksówkę.

We wszystkich firmach prowadzono rejestr kursów, ale na moją prośbę sprawdzenia go, wszędzie reagowano ciężkim wzdychaniem i niechęcią. Wydawało się, że jedyną życzliwą osobą w tej branży jest Ron Coachella, dyspozytor Tip Top, zapewne dlatego, że kiedyś już pomagał mi przy innej sprawie. Żadnego z rozmówców nie przekonałam do sprawdzenia rejestrów na poczekaniu, więc wszędzie zostawiłam swój numer telefonu, obiecując, że odezwę się wkrótce, na co jeden z dyspozytorów zareagował, nie wiedząc czemu, z dzikim entuzjazmem.

W trakcie rozmów bazgrałam ołówkiem machinalnie po notatniku, więc gdy skończyłam, kartkę pokrywał istny labirynt kresek. Obwiodłam kółkiem informację o zielonej spódnicy. Przecież ten stary kloszard, którego spotkałam na nabrzeżu, wyciągał ze śmietnika właśnie zieloną spódnicę i parę szpilek. Pamiętam, że wrzucił je do jednej z toreb, przytroczonych do wózka sklepowego. Czyżby te rzeczy należały do tajemniczej nieznajomej? No, ale przecież nie wróciła do domu goła. Wprawdzie miała jeszcze płaszcz, lecz możliwe było także to, że gdzieś w okolicy ukryła ubranie na zmianę. Pewnie nieźle się umordowała z Daggettem. Nie wyglądało mi to na zbrodnię w afekcie, popełnioną pod wpływem nagłych emocji. Czy miała pomocnika? Kogoś, kto po wszystkim pomógłby jej dostać się do domu? Jeśli nic nie wyniknie z rejestrów firm taksówkowych, będę musiała wziąć pod uwagę i tę możliwość.

A na razie, mogę równie dobrze pojechać na plażę i poszukać znajomego śmieciarza. Podczas joggingu natknęłam się na niego pod szaletem publicznym. Wydarłam kartkę z notatnika i złożywszy na pół, schowałam do kieszeni, drugą ręką sięgając po torebkę. Następnie zamknęłam biuro i zbiegłam po schodach do samochodu.

Zbliżała się piąta po południu i z każdą minutą robiło się chłodniej, ale przynajmniej chwilowo nie padało. Wolno przejechałam wzdłuż

bulwaru Cabana, uważnie lustrując otoczenie z okna samochodu. Na plaży było niewielu ludzi: kilku fanatyków chodu sportowego i facet z psem. Bulwar był opustoszały. Zawróciłam i ruszyłam z powrotem, mijając molo i motele po drugiej stronie ulicy. Zaraz za przystanią dla łodzi i brodzikiem zatrzymałam się, żeby przyjrzeć się pobliskiemu parkowi. Z miejsca, w którym stałam, widać było muszlę koncertową, będącą częstym schronieniem włóczędzów, ale dziś nie było tam nikogo. Gdzież się podziali wszyscy kloszardzi?

Zatoczyłam koło i gdzieś koło stacji kolejowej olśniło mnie - zapewne właśnie teraz bezdomni mieli porę obiadową. Przejechałam jeszcze półtorej przecznicy i przekonałam się, że moje przypuszczenia są słuszne - przed budynkiem Armii Zbawienia ustawiała się spora kolejka, na oko co najmniej pięćdziesiąt osób. Facet, którego szukałam, stał przy końcu ogonka ze swoim kumplem. Nigdzie nie widziałam ich wózków, które w moim wyobrażeniu stanowiły nieodłączny atrybut szanującego się kloszarda; coś w rodzaju walizek od Louisa Vuittona dla wykolejeńców. Zwolniłam, szukając miejsca do parkowania.

W okolicy przeważały drobne zakłady wytwórcze, które sąsiadowały z fabrykami, warsztatami blacharskimi i samochodowymi. Znalazłam wolne miejsce przy krawężniku przed zakładem trudniącym się wyrobem desek surfingowych. Jednak wysiadłam dopiero wtedy, gdy zobaczyłam w lusterku wstecznym, że kolejka czekających na darmowy obiad weszła do środka budynku. Wówczas zamknęłam samochód i przeszłam na drugą stronę ulicy.

Siedziba Armii Zbawienia wygląda, jakby zrobiona była z papier-mache: piętrowy prostokątny budynek z kamienia, obrośnięty z jednej strony bluszczem, dach zwieńczony blankami niczym w średniowiecznym zamku i „fosa” w postaci szerokiego asfaltowego podjazdu. Zapewne obowiązujące przepisy zmusiły właścicieli do wybudowania licznych schodów przeciwpożarowych, które podoczepiano do budynku ze wszystkich stron, a ich wygląd był znacznie bardziej ponury niż perspektywa pożaru. Dom musiał stanowić niezłą gratkę dla ewentualnego nabywcy, ale gdzie schowałiby się biedacy, gdyby pozbawiono ich tego miejsca? Przez większą część roku klimat w tym regionie Kalifornii jest na tyle łagodny, że włóczędzy mogą spać pod gołym niebem, co zresztą najbardziej im odpowiada. Jednak zdarza się i tak, że przez parę tygodni leje albo też w okolicy pojawia się jakiś świr z nożem rzeźnickim w rękę. A Armia Zbawienia oferuje spanie, trzy posiłki dzien-

nie i zaciszne miejsce, gdzie można w spokoju robić skręty, bez obawy, że mocniejszy podmuch wiatru zniweczy całą pracę.

W miarę jak zbliżałam się do wejścia, osaczały mnie coraz intensywniejsze zapachy z kuchni - sos chiński z mięsem. Jak zwykle lunch przeleciał mi koło nosa, a i obiad nie zapowiadał się imponująco. Na wywieszce umieszczonej koło drzwi informowano, że codziennie o siódmej wieczorem odbywają się nabożeństwa, a w poniedziałki, środy i soboty można wziąć gorący prysznic i ogolić się. Weszłam do środka. Ściany wewnątrz budynku pomalowano na dwa kolory: od dołu brązowa lamperia, reszta w odcieniu bladego beżu. Od ręcznie wypisane kartki informowały, jak dojść do jadalni i kaplicy położonej po lewej stronie korytarza. Podążyłam w kierunku, z którego dobiegało szczękanie sztućców i cichy szmer rozmów.

Jadalnia znajdowała się po prawej stronie - długie metalowe stoły, przykryte obrusami z papieru, i także krzesła, na których siedzieli głównie mężczyźni. Nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Zauważyłam tace pełne białego chleba pokrojonego w kromki, dzbanki z kompotem jabłkowym posypanym cynamonem i salaterki z sałatą obficie skropioną sosem. Przy każdym stole siedziało dwudziestu stołowników, teraz pochylonych nad talerzami z makaronem i sosem. Kolejnych kilkunastu czekało cierpliwie na swoją kolej w kaplicy po drugiej stronie holu, w małym pomieszczeniu z mównicą, starym fortepianem, plastikowymi, pomarańczowymi krzeselkami i ogromnym krzyżem na ścianie.

„Mój” kloszard siedział wraz z kolegą w tylnym rzędzie. Zewsząd biły w oczy slogany, informujące, że Jezus nas kocha, co akurat w tym miejscu sprawdzało się naocznie. Najbardziej zaimponowało mi to, że Armia Zbawienia (jak głosiły tabliczki na ścianach) była utrzymywana niemal wyłącznie przez prywatnych ofiarodawców, przy znikomej lub żadnej pomocy ze strony rządu.

- W czym mogę pani pomóc?

Mężczyzna, który podszedł do mnie, miał jakieś sześćdziesiąt lat. Mocno zbudowany, z gładko ogoloną twarzą, ubrany w czerwoną koszulkę z krótkim rękawem i workowate spodnie. Jedną rękę miał w porządku, natomiast druga kończyła się nad łokciem skrzyconą kulą skóry i ścięgien. Chciałam się przedstawić i podać mu dłoń, ale stchórzyłam, ponieważ kikut to była właśnie prawa ręka. Wyjęłam wizytówkę

i wręczyłam ją mężczyźnie.

- Chciałabym porozmawiać z jednym z waszych klientów.

Ściągnął krzaczaste brwi i spytał:

- O co chodzi?

- Myślę, że zabrał z pojemnika na plaży pewne rzeczy, których szukam. Chciałabym sprawdzić, czy nadal ma je w swoim wózku. To zajmie tylko chwilę.

- Widzi go pani gdzieś tutaj? Wskazałam palcem znajomego z portu.

- Będzie pani musiała porozmawiać z oboma. Człowiek, którego pani szuka, to Delphi, ale on nie mówi. W jego imieniu robi to Clare, jego kumpel. Proszę poczekać w korytarzu, wyprowadzę ich. Wózki trzymają na zapleczu i istnieje duża szansa, że znajdzie pani to, czego pani szuka. Oni bardzo przywiązują się do swoich skarbów.

Podziękowałam mu i wyszłam do holu, zerkając co jakiś czas, czy nie nadchodzi Delphi i Clare. Delphi najwyraźniej pozbył się części ubrań, ale ciągle miał na głowie czapkę-uszanke, a jego skóra nadal miała szaroczerwony odcień. Jego przyjaciel, Clare, był wysoki i chudy. Przez dużą szczerbę po przednich zębach co rusz wysuwał się z ust niezwykle różowy język. Miał śnieżnobiałe, rzadkie włosy, długie żylaste ręce i ogromne dłonie. Delphi w ogóle na mnie nie patrzył, ale Clare, jak się okazało, zachował odrobinę uroku osobistego, zapewne pozostałość po dawno minionych czasach, kiedy jeszcze nie pił.

Wyjaśniłam, kim jestem i czego szukam. Zauważyłam, że Delphi spojrzał na Clare'a spłoszonym wzrokiem psa przyzwyczajonego do kopniaków. Przyjaciel był prawdopodobnie jedyną osobą, która odnosiła się do niego po ludzku i której się nie bał, i najwyraźniej właśnie jemu powierzał załatwianie wszelkich tego typu spraw.

- No, wiem, o co chodzi. Czarne zamszowe buty na szpilkach. Zielona wełniana spódnica. Delphiemu bardzo się spodobały. Zwykle w tym kubie nie ma wiele do zabrania. Najlepsze, na co można liczyć, to aluminiowe puszki, no ale Delphiemu trafił się fuks.

- Czy nadal ma te rzeczy?

Język wysunął się bezwiednie, niczym ciekawskie zwierzątko, a był tak intensywnie różowy, jakby Clare objadał się czerwonymi landrynkami.

- Mogę spytać - odparł. Odwrócił się do Delphiego.

- Jak myślisz, Delph? Damy tej małej panience to, po co przyszła? Jak chcesz?

Delphi żadnym gestem nie zdradził, czy usłyszał pytanie, czyje zrozumiał i czy zamierza wyrazić zgodę. Clare spokojnie odczekał chwilę, po czym zwrócił się do mnie:

- Ciężka sprawa - oświadczył. - Miał wtedy świetny dzień, a spódnica bardzo mi się podoba.

- Mogę za nią zapłacić - zaproponowałem niepewnie. Nie chciałam ich, broń Boże, urazić.

Czubek języka przypominał tym razem nieśmiałe stworzonko wyglądające z norki. Słuch Delphiego wyraźnie się poprawił. Przystąpił z nogi na nogę, ale pozostawiłam Clare'owi przeliczenie tego gestu na dolary i centy.

- Dwadzieścia może być - stwierdził po dłuższej chwili.

Dwadzieścia dolarów to wszystko, co miałam przy sobie, ale potulnie wyjęłam banknot z kieszonki torebki. Chciałam wręczyć go Delphiemu, ale Clare wtrącił:

- Zapłaci pani, jak ubijemy interes. Chodźmy na zaplecze. Ruszyłam za nimi wąskim korytarzem, który prowadził do tylnego

wyjścia. Za drzwiami znajdował się mały betonowy plac, otoczony z trzech stron ażurowym parkanem z desek. Ktoś postanowił upiększyć to miejsce zielenią, rozstawiając wszędzie doniczki, którymi były puszkowe pojemniki, w jakich sprzedaje się hurtowo fasolę i kompot jabłkowy. Delphi przystanął, badając otoczenie przerażonym wzrokiem, a Clare podszedł do jednego z wózków sklepowych. Wyglądało na to, że dokładnie wie, gdzie leżą buty i spódnica, bo wyciągnął je bez chwili wahania. Wręczył mi ubrania, biorąc w zamian dwudziestkę. Miałam wrażenie, jakbym uczestniczyła w jakimś pokątnym handlu narkotykami, i oczyma wyobraźni widziałam już tych dwóch, jak natychmiast po moim odejściu idą do sklepu po flaszkę Mad Dog 20-20. Clare pokazał banknot Delphiemu, po czym spojrzał na mnie.

- Proszę się nie martwić. Damy go na tacę - oznajmił. - Delphi i ja rzuciliśmy picie.

Wydawało się, że jest z tego zadowolony, natomiast trudno było powiedzieć to samo o Delphim.

ROZDZIAŁ 19

TEGO WIECZORU zamiast obiadu musiał mi wystarczyć skrawek sera i krakersy z kawałkiem papryczki chili, która miała obudzić moje zmysły. Zdjęłam sukienkę i przebrałam się w podkoszulkę, dżinsy i miękkie kapcie. Jadłam siedząc za biurkiem i popijając dietetyczną pepsi z lodem. Uważnie obejrzałam spódnicę i pantofle. Przymierzyłam jeden but, ale okazał się za szeroki na moją stopę. Fleki obcasów były mocno starte, a noski tak wąskie, że musiały powodować straszne odciski na palcach stóp. Nazwa producenta umieszczona po wewnętrznej stronie zatarła się pod wpływem długotrwałego działania potu. Właścicielka butów z pewnością nie szafowała środkiem przeciw poceniu się stóp. Spódnica dawała większe nadzieje na uzyskanie jakichś informacji: rozmiar 8, fason podobny do sprzedawanych w sklepie Village Store i w katalogach wysyłkowych. Nawet podszewka była w dobrym gatunku, choć teraz miała liczne zagniecenia, jakby dłuższy czas przebywała w wodzie. Ostrożnie dotknęłam materiału językiem. Sól. Przeszukałam wszywane kieszenie, lecz nic w nich nie znalazłam. Żadnych oznaczeń z pralni. Pomyślałam o kobietach związanych, choćby bardzo luźno, ze śmiercią Daggetta. Spódnica mogła należeć do każdej z nich, może z wyjątkiem Barbary Daggett, która miała nieco masywniejszą figurę, poza tym nie była raczej typem grzecznej uczennicy, i nie sądziłam, by ubierała się w zielenie. Niezłą kandydatką była Ramona Westfall. Marylin Smith -czemu nie? Lovella Daggett i Coral, siostra Billy'ego, miały podobne rozmiary, ale preferowały zdecydowanie inny styl... chyba że ta spódnica pochodziła z darów Armii Zbawienia. Może warto rano oblecieć kilka sklepów odzieżowych i sprawdzić, czy któryś ze sprzedawców nie roz-

pozna spódnicy. Mato prawdopodobne, pomyślałam. Znacznie lepszym rozwiązaniem byłoby pokazanie spódnicy i butów każdej z pięciu kobiet, może któraś z nich przyznałaby się do tych rzeczy. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, trudno liczyć na taką szczerotę. Szkoda, że nie mogłam przeszukać ich mieszkań, włamując się niepostrzeżenie. Kto wie, czy w którejś szafie nie natknęłabym się na zielony sweter od kompletu.

Poszłam do kuchni opłukać talerz. Jadanie w samotności jest jednym z nielicznych minusów życia w pojedynkę. Naturalnie czytałam te artykuły w kobiecych pismach, w których piszą, że przygotowując posiłek dla siebie, należy robić to równie starannie i elegancko, jak dla gości czy rodziny. Właśnie dlatego odżywiam się głównie serem i krakersami. Nie znoszę gotować. Osobiście uważam, że stół jest elegancko zastawiony, jeśli ze słoika z majonezem nie wystaje zabrudzony nóż. A jako że zwykle posiłam się w trakcie pracy, kolacja przy świecach nie wchodzi w rachubę. Jeśli akurat nie pracuję, czytam „Time'a”- rozkładam go na stosie teczek i pożywiając się, wertuję od deski do deski. Zwykle zaczynam od recenzji książek i repertuaru kin, a zanim dojdę do stron z informacjami ekonomicznymi i giełdowymi, mam już dość.

Dwie po dziewiątej zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się głos dyspozytora z firmy taksówkowej Tip Top, który przedstawił się imieniem Chuck. W tle słychać było trzaski i rozmowy prowadzone przez radiotelefon.

- Znalazłem notatkę od Rona, żeby do pani zadzwonić - oznajmił. - Wyciągnął rejestry kursów z piątku i powiedział, że mam udzielić pani wszystkich informacji, ale nie bardzo wiem, o co chodzi.

Wyjaśniłam mu, czego szukam, i poczekałam, aż przejrzy rejestry.

- A, tak. To chyba to. Zakreślił to kółkiem - to był mój kurs. Pewnie dlatego prosił, żeby do pani zadzwonił. Piątek w nocy, pierwsza dwadzieścia trzy... no, to już raczej sobota. Zawiozłem parę - kobieta i mężczyzna - na róg State i Cabana. Uznałem, że jadą do motelu.

- Podobno mężczyzna był pijany.

- No pewnie, i to jak! Dziewczyna chyba też sobie wypila, ale nie tyle co on. Wyglądał jak ścierka - jechało od niego na kilometr. Facet zasmrodził mi całe siedzenie, a ja tego bardzo nie lubię.

- A dziewczyna? Co może pan o niej powiedzieć?

- Właściwie nic. Był środek nocy, ciemno i lało jak cholera. Zawiozłem ich, gdzie chcieli, i tyle.

- Rozmawiał pan z nimi?

- Nie. Nie jestem z tych, co to lubią sobie pogawędzić z pasażerem. Większość z nich i tak nie siucha, a ja nie lubię się powtarzać. Polityka, pogoda, wyniki meczów - same pierdoły. Oni nie chcą rozmawiać ze mną, a ja z nimi. To znaczy, żeby nie było nieporozumień - jak mnie o co pytają, to jestem uprzejmy, ale żebym mówił sam z siebie, to nie.

- A tamta para? Rozmawiali ze sobą?

- Diabli wiedzą? Zamknąłem szybę od kabiny, więc nic nie słyszałem.

Boże, ten facet nie na wiele się zda!

- Pamięta pan coś jeszcze?

- Tak na poczekaniu, nie. Spróbuję sobie coś przypomnieć, ale nie sądzę, aby mi się udało. Przepraszam, ale niewiele mogę pani pomóc.

- No cóż, przynajmniej potwierdził pan moje przypuszczenia, a to już coś. Dziękuję za telefon.

- Nie ma za co.

- A, jeszcze jedno? Skąd zabrał pan tych ludzi?

- No, to akurat wiem. Zna pani taki podły bar bilardowy w Milagro? To stamtąd ich wzięłem, spod Huba.

Po zakończeniu rozmowy jeszcze dłuższą chwilę siedziałam bez ruchu, wpatrując się w telefon. Miałam wrażenie, jakby ktoś wyświetlał przed moimi oczami film, przesuwając do tyłu klatka po klatce. Daggett wyszedł z Huba w piątek w nocy w towarzystwie blondynki. Najwyraźniej sporo wypili, chodzili po plaży, zaśmiewając się i zataczając. A jednocześnie, krok po kroku, zbliżali się do portu - dziewczyna zapewne celowo prowadziła go w tym kierunku, potem załadowała do łodzi i wyprawiła na pełne morze, w ostatni rejs. Musiała mieć serce z kamienia i nerwy ze stali.

Zapisałam kilka uwag w aktach i wepchnęłam je do górnej szuflady biurka. Zmieniłam kapcie na tenisówki, włożyłam sweter, zabrałam spódnicę i buty oraz torebkę i kluczyki i poszłam do samochodu. Zdecydowałam, że zacznę od Coral. Może będzie wiedziała, czy Lovella jest nadal w mieście. Poza tym przypominałam sobie fragment rozmowy pomiędzy nią a Billym, którą podsłuchałam, czatując pod ich przyczepą. Nie pamiętałam, co dokładnie powiedziała, ale zachowałam w pamięci sens słów - istniała szansa, że Coral widziała kobietę, której szukałam.

Po przyjeździe na kemping zauważyłam, że w przyczepie pali się tylko jedno, słabe światło, jakby zostawiono je specjalnie, by zmylić ewentualnych włamywaczy. Obok stał Chevrolet Billy'ego; maska była

zimna, więc musiał stać tu od dawna. Zapukałam do drzwi. Po chwili usłyszałam odgłos zbliżających się kroków.

- Kto tam?

Zza drzwi dobiegł mnie przytłumiony głos Billy'ego.

- Kinsey - powiedziałałam. - Czy jest Coral?

- Nie. Jest w pracy.

- Mogę z tobą porozmawiać? Zawahał się.

- O czym?

- O piątkowej nocy. Nie zajmę ci dużo czasu. Zapadło krótkie milczenie.

- Poczekaj, muszę coś na siebie włożyć.

W chwilę później otworzył drzwi i wpuścił mnie do środka. Miał na sobie jedynie dżinsy - był boso, z nagim torsem, włosy rozczochrane. Odniosłam wrażenie, że ostatnimi czasy odpuścił sobie ćwiczenia na siłowni, choć mięśnie ramion i klatki piersiowej, pokrytej ciemnym meszkiem, nadal prezentowały się okazale.

W przyczepie panował okropny bałagan: na stole wciąż stały resztki wczorajszego obiadu, zarzucone stertą gazet i czasopism. Na blacie kuchennym piętrzyły się puszkki z jedzeniem, pogniecione pudełka i torebka z mąką, cukrem i mączką kukurydzianą. Trudno było znaleźć wolne miejsce, nie mówiąc już o siadaniu gdziekolwiek. Czuć było zatechły zaduch, z lekką domieszką dymu papierosowego.

- Przepraszam za najście - powiedziałałam.

Na twarzy Billy'ego malował się spory wysilek umysłowy, pewnie się zastanawiał, jak mnie spławić. Ciekawe, czy jest sam, pomyślałam.

- Masz gościa?

Szybko się obejrzał, ale zaraz odparł z uśmiechem.

- Nie. A co? Masz jakąś propozycję?

Uśmiechnęłam się, potrząsając głową. Jednocześnie przez głowę przemknął mi obraz siebie kotłującej się z Billym w rozgrzanej, przepo-conej pościeli. Roztaczał wokół siebie zapach niemalże zwierzęcej męskości, który powodował, że nie mogłam powstrzymać się od wyobrażania sobie, co moglibyśmy robić, gdyby puściły wszystkie bariery. Starłam się zachować obojętny wyraz twarzy, ale czułam, że się czerwienię.

- Mam kilka pytań i pomyślałam, że może Coral potrafi mi na nie odpowiedzieć.

- Skoro tak uważasz. Jest w Hubie. Pracuje aż do zamknięcia.

Położyłam spódnicę i buty na telewizorze, gdyż tylko tam było wolne miejsce.

- Nie wiesz, czy te rzeczy należą do niej? Rzucił na nie okiem, ale wolał ich nie dotykać.

- Skąd je masz?

- Od znajomego znajomego. Pomyślałam sobie, że wiesz, kto nosił te ciuchy.

- Najlepiej w piątek w nocy, co?

- Właśnie. Rozmawiałam z taksówkarzem, który zabrał Daggetta z Huba w piątek w nocy i zawiózł go w pobliże mola.

- I co z tego?

- Była z nim blondynka. Oboje jechali tą taksówką. Wymyśliłam sobie, że poderwał ją w barze, więc może Coral widziała tę dziewczynę.

Billy coś wiedział - miał to wymalowane na twarzy. Widać było, że zastanawia się, jakie znaczenie może mieć to, co powiedziałam. Zaczęłam się niecierpliwić.

- Do diabła, Billy, bądź ze mną szczerzy!

- Jestem!

- Nie, nie jesteś. Od początku łżesz jak najęty.

- Wcale nie - zaprotektowałam gwałtownie. - No, kiedy cię okłamałam?

- Choćby wtedy, gdy pytałam o Douga Polokowskiego. Kim on jest dla ciebie? Bratem?

Nie odezwał się. Patrzyłam na niego bez słowa, zdecydowana czekać, aż to z siebie wydusi.

- Przyrodnim bratem - warknął w odpowiedzi.

- No i...?

Nagle zmienił ton głosu, jakby czuł się zażenowany.

- Moi rodzice rozeszli się, ale gdy mama zaszła w ciążę z kimś innym, nie byli jeszcze oficjalnie rozwiedzeni. Miałem wtedy dziesięć lat i nie mogłem się pogodzić z całą tą sytuacją. Wkrótce potem zacząłem pakować się w kłopoty i co rusz lądowałem w poprawczaku -zresztą, nie było mi tam źle. W końcu matka zrzekła się, no tego, jak to się nazywa...

- Praw rodzicielskich?

- Właśnie. Wielkie mi rzeczy. Gównu mnie to obchodziło. Mogła się mnie pozbyć, proszę bardzo. Mogła sobie urodzić kupę następnych dzieciaków. Tylko to umiała robić, więc do diabła z nią!

- Więc ty i Doug nigdy nie byliście ze sobą blisko?
 - Nie. Widywałem go od czasu do czasu, gdy przyjeżdżałem do domu, ale nic nas nie łączyło.
 - A teraz jak ci się układa z matką?
 - W porządku. Już się z tym pogodziłem. Po śmierci Douga zbliżyliśmy się do siebie. Tak czasami bywa.
 - I wiedziałeś, że twojego brata zabił Daggett?
 - Pewnie, że tak. Mama pisała mi, że posadzono go w San Luis. Z początku zamierzałem go wykończyć. Chciałem zrobić to dla niej. Ale okazało się, że to wcale nie takie proste. Wiesz, Daggett był naprawdę żaloszny. Cholera, w końcu sam prawie zacząłem się nad nim litować. Gardziłem tym małym żalosznym dupkiem, ale nie mogłem go tak po prostu zostawić w spokoju. Zupełnie jakby coś kazało mi znęcać się nad nim. Lubiłem patrzeć, jak się zwija z bólu - pewnie jestem stuknięty, ale nie jestem mordercą. Nigdy nikogo nie zabiłem.
 - A co Coral ma z tym wszystkim wspólnego?
 - Sama ją zapytaj.
 - Może to ona była tą dziewczyną, z którą widziano Daggetta? Ja wprawdzie stawiam na Lovellę, ale kto wie?
 - Przecież mnie tam nie było. Skąd mam wiedzieć?
 - Czy Coral mówiła coś na ten temat?
 - Nie chcę o tym rozmawiać - odparł poirytowany.
 - Daj spokój. W czwartek spotkałeś się z Daggettem. Nie mówił nic o tej kobiecie?
 - Nie rozmawialiśmy o kobietach - warknął Billy.
- Zaczął cicho bębnić palcami prawej ręki po lewej dłoni. Nagle poczułam się jak mały szczeniak, który próbuje dostać się do szpiku, choć kość jest stanowczo za twarda na jego zęby.
- Musiał znać tę kobietę - rzekłam. - Przecież nie zmaterializowała się nagle w tym barze. Na plaży podtrzymywała go i wszystko wskazuje na to, że wiedziała, co robi. Postępowała według dokładnie przemyślanego planu.
- Bębnienie ustało, Billy nagle zbystrzał i oznajmił:
- Może była powiązana z tymi ludźmi, którzy chcieli odzyskać swoje pieniądze.
- Spojrzałam na niego z zainteresowaniem. O tym nie pomyślałam, a mogło to być słuszne przypuszczenie.
- Ty im powiedziałaś, gdzie szukać Daggetta?

- Słuchaj, laluniu. Nie jestem ani mordercą, ani kapusiem. Skoro Daggett miał z kimś na pieńku, powinien lepiej się pilnować, no nie?

- W takim razie o co chodzi? Nie rozumiem, dlaczego nie powiesz mi wszystkiego?

Billy westchnął ostentacyjnie i przejechał dłonią po włosach.

- Opuść sobie, dobrze? Nic więcej nie wiem, więc daj mi spokój.

- Billy, nie mam nastroju do żartów. Co ukrywasz? - Cierpliwie drażyłam temat.

- Dobrze, do cholery. To nie był czwartek - wyrzucił z siebie. Spotkałem się z Daggettem we wtorek wieczorem i wtedy poprosił mnie, bym mu pomógł.

- Uciec przed facetami z San Luis, tak? - wtrąciłam, upewniając się, czy nadążam za jego opowieścią.

- No, tak. Znaczący się, zadzwonili do niego w poniedziałek rano i ziemia zaczęła mu się palić pod stopami. Zadzwonił do mnie tego samego dnia wieczorem. Był pijany. Wcale nie miałem ochoty ruszać tyłka z domu - właśnie wróciłem i byłem zmęczony. Powiedziałem, że spotkam się z nim we wtorek wieczorem.

- W Hubie? -Tak.

- I tak zrobiłeś? - ciągnęłam go za język.

- Pewnie. Spotkaliśmy się i pogadaliśmy. Facet był nieźle spanikowany, a ja jeszcze go podpuściłem. Trochę go postraszyłem, ale nie ma w tym nic złego, nie?

- No i po co mnie okłamywałeś? Nie można było tego od razu powiedzieć? - Uznałam, że Billy'emu należy się lekki klaps, żeby powiedział mi wszystko, co wie.

- Sprawa nie wyglądała najlepiej. Nie chciałem, by łączono z nią moje nazwisko. Dlatego uznałem, że lepszy będzie czwartek. Nikt nie pomyśli wtedy, że tak od razu napaliłem się na rozmowę z Daggettem. Niech lepiej wygląda, że nie od razu do niego pogałem. I tylko tyle.

Jego tłumaczenia były na tyle mętne, że mnie przekonały.

- W porządku, kupuję to - powiedziałam - przynajmniej na razie. I co się stało potem?

- To wszystko. Wtedy widziałem go po raz ostatni. Pojawił się jeszcze w piątek wieczorem. Coral zauważyła go w barze i zadzwoniła do mnie. Ale zanim tam przyjechałem, już go nie było.

- Był z kobietą. - Tak.

- I Coral ją widziała, prawda?

- Jasne, ale nigdy wcześniej nie spotkała tej dziewczyny. Pomyślała, że to jakaś panienska, która chce go naciągnąć. No wiesz, dziwka. Cały czas stawiała Daggettowi drinki, a on je w siebie wlewał. Coral zaczęła się nawet martwić. Nie żeby nas to obchodziło, ale wiesz, jak jest, Nawet jeśli nie lubisz faceta, to głupio patrzeć, jak ktoś próbuje go obrobić.

- Zwłaszcza że wiedzieliście, iż ma przy sobie trzydzieści tysięcy dolarów, prawda?

- Wcale nie trzydzieści - to ty tak twierdzisz. Miał dwadzieścia pięć tysięcy. - Billy najwyraźniej zaczął żałować własnej szczerości. - Nieważne, po co ty to tak wałkujesz? Powiedziałem ci wszystko, co wiem.

- A Coral? Skoro ty kłamałeś, równie dobrze mogła i ona.

- Ona by tego nie zrobiła.

- Co ci powiedziała, gdy przyszedłeś wtedy do baru?

Na jego twarzy pojawił się lekki niepokój, z którego wywnioskowałam, że na coś trafiłam. Nie wiedziałam tylko, na co. Wykonałam następną strzał w ciemno:

- Coral poszła za Daggettem i dziewczyną?

- Oczywiście że nie.

- Więc co ci powiedziała?

- Tego wieczoru nie czuła się najlepiej - odparł z wahaniem.

- I co? Poszła do domu?

- Niezupełnie. Była przeziębiona i wzięła aspirynę. Potem poczuła się okropnie, więc poszła na zaplecze i położyła się. Barman myślał, że poszła do domu. No więc, wchodzę tam i jestem wkurzony, bo nie mogę jej znaleźć. Daggetta też nigdzie nie ma. Nie wiem, co się dzieje. Kręcę się chwilę po barze i wracam tutaj. Przypuszczałem, że Coral przyszła do domu, ale jej tu nie ma. Wszystko się popieprzyło. Przez cały czas była w Hubie.

- O której wróciła do domu?

- Nie wiem. Późno, koło trzeciej. Musiała poczekać, aż szef podliczy utarg. Podrzucił ją tylko kawałek, więc musiała iść sześć przecznic w deszczu. Gdy w końcu przyszła, była już całkiem chora.

Patrzyłam na niego, ale go nie widziałam. Przed oczyma miałam obraz Coral i Daggetta na nabrzeżu. Wszystko zaczynało pasować niczym kawałki układanki.

- Czemu tak się na mnie gapisz? - warknął Billy.

- Pozwól, że pomyślę na głos - oświadczyłam. - To mogła być Coral, prawda? Ta blondynka, która wyszła z Daggettem z baru? Wiesz o tym i dlatego mnie okłamywałeś, tak?

- O, nie. Nie ma mowy - zaprotestował.

Patrzył na mnie z podziwem. Nie podobało mu się to, co powiedziałam, ale byłam pewna, że sam brał pod uwagę taką możliwość.

- Masz tylko jej słowo, że ta druga kobieta rzeczywiście istnieje - zauważyłam.

- Taksówkarz też ją widział.

- Tak, ale to mogła być właśnie Coral. Może to ona kupowała Daggettowi drinki? Wiedział, kim jest, więc jej zaufał - ze względu na ciebie. Może barman myślał, że Coral poszła do domu dlatego, że widział, jak wychodzi z Huba?

- Wynoś się! - wychrypiał Billy.

Jego twarz gwałtownie pociemniała i widziałam, że napiął mięśnie.' Tak się zagalopowałam, kreśląc możliwą wersję wydarzeń, że nie zauważyłam jego reakcji. Szybko zgarnęłam spódnicę i buty i zaczęłam wycofywać się w kierunku drzwi, nie spuszczając oka z Biljy'ego. Otworzył je gwałtownym szarpnięciem.

Ledwo postawiłam stopę na schodkach, drzwi się zatrzasnęły. Billy odsunął zasłonkę i patrzył wściekłym wzrokiem, jak idę w kierunku bramy. Ale gdy tylko odszedł od drzwi, wróciłam biegiem pod okno, gdzie niedawno podśluchiwałam jego rozmowę z Coral. Tym razem kratownica otworu wentylacyjnego była zamknięta, ale zasłonka z boku okna nieco się odchyliła, więc mogłam zajrzeć do wnętrza przyczepy.

Billy usiadł ciężko na kanapie i schował twarz w dłoniach. Po chwili podniósł głowę. Kobieta, która cały czas była w sypialni, wyszła

i oparłszy się o ścianę, zapaliła papierosa. Miała na sobie przykrótką koszulkę nocną z bladeżółtego nylonu, która ledwie kryła masywne uda. Billy chwycił ją gwałtownie i przyciągnął do siebie, tuląc twarz do jej piersi. To była Lovella. Zaczął lizać jej sutki przez koszulkę. Spojrzała na niego wzrokiem świeżo upieczonej matki, karmiącej niemowlę piersią. Leniwym ruchem odchyliła się, zgasiła papierosa w talerzu i zaczęła przeczesywać palcami jego włosy. Chwycił ją za nogi i pociągnął na podłogę, podsuwając koszulkę pod szyję. Powoli schodził coraz niżej.

Wróciłam do samochodu i pojechałam do Huba.

ROZDZIAŁ 20

W HUBIE zapowiadała się kolejna długa i nudna noc. Deszcz znowu rozpadał się na całego, więc w barze było niewielu klientów. Dach przeciekał w dwóch miejscach, ktoś podstawił dwa metalowe wiadra: jedno na barze, a drugie koło toalety damskiej. W lepsze dni klientelę baru stanowili głównie okoliczni pijacy: stare tłuste kobiety w wyciągniętych swetrach, które pojawiały się zwykle koło drugiej po południu i siedziały aż do zamknięcia, wlewając w siebie hektolitry piwa; rechoczący faceci, mamroczący niewyraźnie, z bulwiastymi nosami, czerwonymi od alkoholu. W sali bilardowej gromadzili się przede wszystkim młodzi Meksykanie, z zębami pożółkłymi od tytoniu; kłębili się wokół stołu i sprzecali niczym niewyrośnięte szczeniaki. Dzisiejszej nocy nie było tam nikogo, opuszczony stół pokryty zielonym suknem lśnił, jakby podświetlony od dołu. W sali barowej doliczyłam się zaledwie pięciu klientów, z których jeden zapadł w sen przy stoliku, oparłszy głowę na złożonych na stole ramionach. Szafa grająca wyraźnie się psuła, dochodzące z niej dźwięki przypominały warkot łodzi podwodnej.

Podeszłam do baru, za którym na wysokim stołku pokrytym skórą siedziała Coral. Dziś miała na sobie brązową bluzkę do pępka, przetykaną srebrną nitką, obcisłe džinsy z podwiniętymi nogawkami i buty na wysokich obcasach, spod których wystawały krótkie białe skarpetki. Musiała zapamiętać mnie z pogrzebu, bo gdy poprosiłam o chwilę rozmowy, bez słowa zsunęła się ze stołka i przeszła na drugą stronę kontuaru.

- Chcesz coś do picia?

- Tak, chętnie. Wino z wodą - odparłam.

Nalała mi drinka, a sobie kufel piwa z beczki. Usiadłyśmy przy stoliku w kącie, tak by Coral mogła pilnować baru. Z bliska jej włosy wyglądały na tak wysuszone i cienkie, że bałam się, czy nie grozi im samozapłon. Miała zbyt mocny makijaż i zęby pokryte brązowym osadem, jakby przez całe życie żywiła się ciasteczkami orzechowymi. Przeziębienie najwyraźniej brało nad nią górę: czoło miała pokryte głębokimi zmarszczkami, a oczy tak zażawione, że spokojnie mogłaby reklamować lekarstwo na zapalenie zatok. Zapchany nos zmusił ją do oddychania ustami. To jednak wcale nie powstrzymało jej od palenia, bo gdy tylko usiadłyśmy, wyjęła z pudełka papierosa Virginia Slim.

- Powinnaś leżeć w łóżku - stwierdziłam i natychmiast uświadomiłam sobie, że to nie najlepszy pomysł. Zapewne Billy i Lovella tarzali się właśnie po podłodze, a przyczepa aż drżała w posadach. Kto mógłby spać w takich warunkach?

Coral odłożyła papierosa i wyjęła chusteczkę, żeby wydmuchać nos. Zawsze zastanawiało mnie, gdzie ludzie uczą się, jak to robić. Ona najwyraźniej preferowała technikę dwudziurkową: przytykała chusteczkę do obu nozdrzy jednocześnie i po każdym smarknięciu zawzięcie kręciła palcami wskazującymi w dziurkach. Dyskretnie odwróciłam wzrok, zastanawiając się przelotnie, czy Coral wie, co robi teraz Lovella.

- O co chodziło z tą Lovellą? Na pogrzebie była kompletnie wytrącona z równowagi.

Coral przerwała swoją porywającą czynność i spojrzała na mnie. Uświadomiłam sobie, że nie bardzo wie, o czym mówię. Widać było, że usilnie zastanawia się, co miałam na myśli.

- Nic jej nie jest. Po prostu nie wiedziała, że jej ślub z Daggettem jest nieważny. Dlatego się załamała. To ją dobiło. - Ostatnie dłuźnięcie w dziurce i Coral, pociągając nosem, wróciła do papierosa.

- Myślałam, że poczuje ulgę - zauważyłam. - Z tego co słyszałam, on prał ją regularnie.

- Na początku nie. Kiedy wyszedł, Lovella szalała za nim. Prawdę mówiąc, nadal szaleje.

- To pewnie dlatego na pogrzebie nazwała go największym sukinsynem na świecie.

Coral spojrzała na mnie badawczo i wzruszyła ramionami. Na pewno była sprytniejsza od Billy'ego, ale nie aż tak bardzo. Rozmawiając z nią, czułam się tak samo, jak podczas rozmowy z jej bratem. Krą-

żyłam wokół tematu, który chcieli za wszelką cenę ukryć, ale znałam za mało faktów, by przejść do sedna.

Uznałam, że nie zaszkodzi lekkie badanie gruntu.

- Myślałam, że Lovella i Billy kiedyś ze sobą kręcili.

- To było kopę lat temu. Miała wtedy siedemnaście lat. Wszyscy dawno o tym zapomnieli.

- Mówiła mi, że to Billy poznał ją z Daggettem.

- Taa... powiedzmy. Opowiadał o niej Daggettowi, a ten napisał do niej i zaproponował, żeby do siebie pisali.

- Szkoda, że nigdy nie wspomniał jej o swojej żonie - wtrąciłam. - Muszę porozmawiać z Lovellą, więc jeśli ją spotkasz, powiedz, żeby się ze mną skontaktowała. - Wręczyłam jej wizytówkę, którą przyjęła ze wzruszeniem ramion.

- Nie spotkam się z nią - oznajmiła.

- Nie byłabym taka pewna - odparłam.

Coral spojrzała na barmana, który gestem przywoływał ją do kontuaru.

- Zaczekaj.

Podeszła do baru, wzięła tacę zastawioną drinkami i zniosła do jednego ze stolików. Próbowałam wyobrazić sobie, jak wypycha Daggetta za burtę, ale miałam z tym trudności. Niby opis pasował do niej, ale coś tu nie grało.

Gdy wróciła do stolika, pokazałam jej buty znalezione na plaży.

- To twoje?

- Nie lubię zamszu - odparła bez namysłu.

Świetnie. W jej kanonie mody najwyraźniej nie było miejsca na zamsz.

- A spódnica?

Ostatni raz zaciągnęła się papierosem, a następnie zdusiła go w metalowej popielniczce, wypuszczając z ust obłok dymu.

- Nie. Czyje to ciuchy?

- Prawdopodobnie miała je na sobie w piątek w nocy blondynka, która zabiła Daggetta. Billy twierdzi, że była tu z nim.

Dopiero teraz uważniej przyjrzała się spódnicy.

- Tak, racja. Widziałam tę dziewczynę.

- Czy mogła być ubrana w tę spódnicę?

- Niewykluczone.

- Znasz ją?

- Nie.
- Coral, nie chcę być niegrzeczna, ale mogłabyś mi trochę pomóc. Rozmawiamy o morderstwie.
- Mam dosyć wałkowania tego tematu - oświadczyła ze znużeniem.
- Nic cię to nie obchodzi?!
- Żartujesz? Miałabym przejmować się Daggettem? Przecież to szumowina.
- No dobrze. A co z tą blondynką? Pamiętasz jakieś szczegóły? Coral wytrząsała kolejnego papierosa z paczki.
- Daj sobie spokój, kotku. Nie masz prawa tak nas wypytywać. Nie jesteś z policji.
- Mogę pytać, o co tylko chcę - stwierdziłam zjadliwie. - Nie mogę zmusić cię, żebyś odpowiedziała, ale pytać mogę.
- Zatrzęsła się ze złości i wstała.
- Wiesz co? Wcale mi się nie podobasz - warknęła. - Rzygać mi się chce, gdy patrzę na takie jak ty.
- Naprawdę? Jakże?
- Celowo zwlekała z odpowiedzią. Wolnym ruchem wyjęła zapalną z pudełka i potarła nią o boczną ściankę. Zapaliła papierosa i wrzuciła zapalną do popielniczki, gdzie zgasła z cichym syczeniem. Podparła twarz dłonią i uśmiechnęła się nieprzyjemnie. Usunięcie osadu z zębów z pewnością poprawiłoby jej wygląd, pomyślałam.
- Założę się, że wszystko szło ci jak po maśle, nie? - zasyczała jadowitym tonem.
- Jakbyś zgadła.
- Śliczny mieszczkański domek. Pikniki z mamusią i tatusiem. Jestem pewna, że miałaś malutkiego brata albo siostrzyczkę. Milusi, mały kudłaty piesek...
- Fascynujące - wtrąciłam.
- Dwa samochody. Raz w tygodniu dochodząca sprzątaczką. Ja nigdy nie byłam w college'u. Nie miałam tatusia, który by się o mnie troszczył.
- Cóż, to wyjaśnia wszystko. A wiesz, widziałam twoją mamę. Wygląda na kogoś, kto się mocno napracował w życiu. Szkoda, że nie doceniasz tego, jak się dla ciebie poświęca.
- Poświęca?! Pracuje w kasie, w supermarkecie.
- A, rozumiem. Uważasz, że powinna, choćby tak jak ty, zajmować się czymś bardziej wyszukany.

- Wcale nie zamierzam robić tego do końca życia, jeśli o to ci chodzi.
- Co się stało z twoim ojcem? Gdzie był przez te wszystkie lata?
- Cholera wie. Wyniósł się dawno temu.
- I zostawił dzieci, żeby wychowały się same?
- Nieważne. Nie wiem, dlaczego w ogóle o tym mówię. Streszczaj się, bo muszę wracać do roboty.

- Opowiedz mi o Dougu.

- To nie twoja sprawa - rzuciła, wstając z krzesła. - Czas minął -dodała i odeszła. No cóż, tak właśnie kończą się próby bycia przyjacielskim!

Schowałam spódnicę i buty, rzuciłam na stolik kilka banknotów i ruszyłam do wyjścia. W drzwiach przystanąłam na chwilę, po czym wyszłam na deszcz. Było siedemnaście po dziesiątej, a ulice Milagro już opustoszały. Mokry asfalt lśnił czarnym blaskiem, woda spływająca z jezdni uderzała o krawężniki z odgłosem przypominającym skwierczenie bekonu na patelni. Znad pokryw kanałów, które gęsto znaczyły okolice, unosiły się opary mgły, a woda cofająca się z kanałów burzowych wracała szerokim strumieniem do rynsztoków.

Nie czułam się zmęczona, nie chciałam jeszcze kończyć dnia. Zastanawiałam się, czy nie wskoczyć do Rosie, ale tam pewnie było tak samo jak w Hubie - pełno dymu, ponuro i przygnębiająco. Na zewnątrz, mimo chłodu, było przynajmniej rześko, a w powietrzu unosił się słodki, jakby kwiatowy zapach mokrego betonu. Uruchomiłam wóz, zawróciłam i przy akompaniamencie kropli bębniących o szyby pojechałam w stronę plaży.

Po pewnym czasie skręciłam na bulwar Cabana. Za oknem, mimo bezksiężycowej nocy, widać było spienione fale, szarobrazowe bałwany monotonnie walące o brzeg. Na horyzoncie majaczyły we mgle blade światła szybów naftowych. Nagle usłyszałam tuż za sobą dźwięk klaksonu, więc przyhamowałam. Na prawym pasie pojawiła się mała czerwona honda. Jonah - zapewne wracał do domu. Ręką wykonał ruch otwierania okna. Przechyliłam się przez siedzenie i odkręciłam szybę po stronie pasażera.

- Pójdziemy na drinka?

- Pewnie. Gdzie?

Wskazał restaurację Crow's Nest, po prawej stronie bulwaru - przed wejściem nadal paliły się lampy. Światło zmieniło się na zielone i Jonah ruszył. Pojechałam za nim na pobliski parking i zatrzymałam się obok

jego hondy. Wsiadł pierwszy - zmagając się z deszczem, otworzył parasol i podszedł do mojego auta. Objął mnie mocno w pasie i omijając kałuże pobiegliśmy do wejścia. Otworzył drzwi, weszłam do środka i poczekałam, aż otrząsnąwszy parasol z wody, wejdzie za mną.

Wystrój Crow's Nest miał zapewne przypominać marynarską tawernę, ale ktoś zrobił to bardzo niedbale. Większość dekoracji stanowiły sieci rybackie i elementy takielunku, porozpinane pomiędzy krokwiemi, oraz mapy morskie zatopione w blatach stolików pod centymetrową warstwą plastyku. Część restauracyjna była już zamknięta, ale bar funkcjonował w najlepsze - zajętych było jakieś dziesięć stolików. W pomieszczeniu rozlegał się cichy szmer rozmów, a słabe oświetlenie uzupełniały porozstawiane gdzieś tam świeczki, przykryte pękatymi abażurkami z pomarańczowego szkła.

Jonah poprowadził mnie przez mały parkiet taneczny do stolika w rogu. Miejsce to wywoływało nastrój sztucznego podniecenia. Schowani przed deszczem, siedzieliśmy obok siebie niczym przypadkowi znajomi z lotniska, wspólnie czekający na lot.

Do stolika podeszła kelnerka, Jonah spojrzał na mnie pytająco.

- Wybieraj - powiedziałam.

- Dwie margarity. Cuervo Gold i Grand Marnier. Dobrze wymieszane, bez soli - zwrócił się do kelnerki.

Skinęła głową i odeszła.

- Jestem pod wrażeniem - mruknęłam.

- Pomyślałem, że spodoba ci się to miejsce. Dlaczego włączysz się po mieście o tej porze?

- Z powodu Daggetta, naturalnie - odparłam. Jednocześnie uświadomiłam sobie, że mam już dosyć myślenia o Billym Polo i jemu podobnych. - Lepiej pomówmy o czym innym. Powiedz mi, nad czym teraz pracujesz.

- O nie, nie ma mowy. Jestem tu po to, aby się odprężyć. Kelnerka przyniosła drinki. Zamilkliśmy, obserwując, z jaką gracją

rozkłada przed nami serwetki i stawia na nich szklanki. Dziewczyna wyglądała jak bosman, tyle że żaden marynarz nigdy w życiu nie wcisnąłby się w tak wąskie, elastyczne spodenki. Pomyślałam, że szef baru z pewnością nie upierałby się przy takim stroju, gdyby sam musiał wcisnąć swój tłusty tyłek w takie gatki.

Gdy dziewczyna odeszła, Jonah wyciągnął szklankę nad stołem i trącił się ze mną.

- Za deszczowe noce - powiedział.

Przełknęliśmy pierwszy łyk. Tequila paliła przełyk jak ogień i natychmiast zaczęłam walić się w piersi. Jonah uśmiechnął się, widząc, jak się krztuszę.

- A co ty robisz w mieście po nocy? - spytałam.

- Miałem sporo papierkowej roboty. A poza tym nie mam ochoty wracać do domu. Siostra Camilli przyjechała na tydzień z Idaho. Pewnie teraz popijają wino i obgadują mnie, ile wlezie.

- Rozumiem, że jej siostra cię nie lubi?

- Uważa mnie za dupka. Camilla pochodzi z nadzianej rodziny, i Deirdre wyznaje zasadę, że żadna z nich nie powinna zadawać się z facetami, którzy żyją z gołej pensji. A na dodatek z policyjnej?! To takie drobnomieszczańskie. Boże, muszę się pilnować. Nic, tylko narzekam na sytuację w domu. Robię się taki sam jak Dempsey.

Uśmiechnęłam się. Porucznik Dempsey pracował od wielu lat w sekcji narkotykowej. Całe życie był nieszczęśliwy w małżeństwie i ciągle narzekał. Kiedy jego żona w końcu umarła, natychmiast ożenił się po raz drugi, z kobietą do złudzenia przypominającą pierwszą żonę. Wkrótce potem odszedł na wcześniejszą emeryturę i ruszył z żoną na wyprawę po kraju przyczepą kempingową. Pocztówki, które przysyłał kolegom z wydziału, były pełne humoru i radości, ale pozostawiały uczucie pewnego niesmaku - facet jakby kpił sobie ze zmarłej żony.

Rozmowa się nie kleiła. W tle leciała stara piosenka Johnny'ego Mathisa, która przywoływała na myśl czasy, gdy zakochanie się nie pociągało za sobą takich niebezpieczeństw, jak opryszczka, AIDS, bigamia, terapia małżeńska, feminizm, rewolucja seksualna, bomba atomowa, pigułka, psychoterapia czy wydzieranie sobie dzieci na weekendy.

Jonah prezentował się nieźle. Półmrok i światło świec maskowały jego zmarszczki, a podkreślały błękit oczu. Ciemne włosy, mokre od deszczu, lśniły niczym jedwab. Ubrany był w białą koszulę, rozpiętą na piersi, z podwiniętymi rękawami, z których wyglądały przedramiona pokryte ciemnym meszkiem. Naszym spotkaniom towarzyszy zwykle specyficzne napięcie, powodowane, jak sądzę, tym samym, co skłania ludzkość do rozmnażania się, czyli pierwotną potrzebą zachowania gatunku. Głęboko zakorzeniona nieufność, okoliczności, dziwaczne stosunki małżeńskie Jonaha, jego powściągliwość, a przede wszystkim świadomość, że po przekroczeniu pewnej linii nie ma odwrotu i nie da uniknąć się konsekwencji, pozwalają mi trzymać hormony na wodzy.

Zamówiliśmy drugą kolejkę, potem trzecią. Bez słów zmierzaliśmy ku nieuniknionemu. Jonah roztaczał wokół siebie zapach mydła. Był gładko ogolony i cicho chrząkał, zupełnie tak jak tato, gdy brał mnie na kolana i czytał do snu, choć wtedy byłam jeszcze zbyt mała, by rozumieć treść książki. Przed oczyma stanęło mi wewnątrz przyczepy i Billy Polo kładący Lovellę na podłodze. Obraz ten utkwił mi w pamięci, ponieważ tak wymownie określał potrzeby tych dwojga. Ja nie potrafiłam być tak otwarta - zawsze rozważna, pilnująca się, by nie popełnić błędu. Czasami zastanawiam się, jaka jest różnica między być ostrożnym a być martwym. Pomyślałam o deszczu i o tym, jak miło byłoby teraz wsuwać się między czyste prześcieradła. Odchyliłam głowę na oparcie. Jonah spojrzął na mnie z zaciekawieniem.

- To wszystko przez Billy'ego Polo - oznajmiłam. Uśmiechnął się.

-Co?

Przez chwilę wpatrywałam się w niego.

- Co zrobiłaby Camilla, gdybyś nie wrócił na noc do domu? Uśmiech zniknął, a w jego oczach pojawił się ten specyficzny błysk.

- To ona się upiera przy związku bez zobowiązań. Roześmiałam się.

- Jestem pewna, że to ma działać tylko w jedną stronę.

- Już nie - powiedział.

Jego pocałunek był jak stary znajomy. W chwilę potem wyszliśmy.

ROZDZIAŁ 21

Do BIURA przyjechałam o dziewiątej rano. Chmury deszczowe odpłynęły na północ, w kierunku gór, a niebo nad miastem przybrało blado-niebieski odcień spranych dżinsów. Wszystko nabrało ostrości; jakbym patrzyła na świat przez nowe okulary. Po wejściu do biura otworzyłam drzwi na balkon i wyszłam na zewnątrz. Wyciągnęłam ręce do góry i zaczęłam się kołysać na boki, niczym dziewczyna z grupy dopingującej futboliistów. To dla ciebie, Camillo Robb, pomyślałam i roześmiałam się na głos. Wróciłam do pokoju i stojąc przed lustrem, zaczęłam stroić miny. Zadziwiająca. W końcu wyglądałam tak jak powinnam. Szkody poczynione przez łzy odbudowała namiętna noc - czułam się pełna energii.

Nastawiłam kawę i zabrałam się do pracy. Musiałam uzupełnić akta sprawy i zapisać wnioski z rozmów z Billym oraz Coral. Gliniarze i prywatni detektywi spędzają mnóstwo czasu na papierkowej robocie. Ze wszystkiego trzeba sporządzać pisemne raporty, a do tego muszą one być na tyle przejrzyste i wyczerpujące, by osoba, która zechce je kiedyś przeczytać, miała przed oczami kompletne resume sprawy. Ponadto, pracując na własną rękę i pobierając honorarium za swoje usługi, muszę prowadzić wykaz przepracowanych godzin i wydatków i od czasu do czasu sporządzać zeznania finansowe, bo tylko na ich podstawie otrzymuję wynagrodzenie. Zdecydowanie wolę pracę w terenie -tak jak wszyscy. Gdybym chciała spędzać całe dnie za biurkiem, zostałabym agentem ubezpieczeniowym i pracowała w sąsiedniej firmie. Ale ich praca jest przeraźliwie nudna, podczas gdy w moim przypadku zajęcia biurowe zajmują zaledwie dziesiątą część życia zawodowego.

O pół do dziesiątej skontaktowałam się telefonicznie z Barbarą Daggett, aby poinformować ją pokrótce, czego się dowiedziałam, oraz powiedzieć, że pełny raport wysyłam pocztą. Prawdę mówiąc, dzwoniłam zupełnie niepotrzebnie, bo i tak przeczyta to wszystko w raporcie, ale co mi tam. W końcu to jej pieniądze, a za taką forszę miała prawo do usług najwyższej jakości. Po rozmowie wróciłam jeszcze na chwilę do papierów, a zaraz potem zgarnęłam spódnice i buty, zamknęłam biuro i wyszłam, bo chciałam odwiedzić Marylin Smith. Zaczynałam rozumieć, co czuł książę z bajki, wędrując z pantofelkiem od drzwi do drzwi w poszukiwaniu Kopciuszka.

Pojechałam autostradą na północ, wdychając powietrze, odświeżone deszczem. Colgate znajduje się zaledwie piętnaście minut drogi od mojego biura, ale to mi wystarczyło na pogrążenie się w rozmyślaniach. Jonah okazał się być łożkowym kłownem... zabawnym i pomysłowym. Zachowywaliśmy się jak niegrzeczne dzieciaki; pogryzaliśmy chipsy, opowiadaliśmy sobie straszliwe historie i co jakiś czas się kochaliśmy - czule i intensywnie. Zastanawiałam się, czy znaliśmy się w poprzednim życiu i czy rozpoznamy się w przyszłym. Jonah był taki szczęśliwy i beztroski, jakby zdumiony, że możliwe jest spędzenie nocy z kobietą, która nie krytykuje każdego jego słowa, nie komentuje złośliwie jego poczynań i nie wrywa się z jego ramion, jakby dotknęła ślimaka. Nie wiedziałam, czy coś z tego wyniknie, ale na razie nie zamierzałam zamartwiać się na zapas. Mam niezwykłą umiejętność niszczenia związków z mężczyznami - zamiast rozwiązywać problemy wtedy, kiedy się pojawiają, ja próbuję przewidzieć wszystkie komplikacje i zaradzić kłopotom, zanim w ogóle powstaną.

Oczywiście przegapiłam zjazd z autostrady. Wprawdzie go zauważyłam, ale dopiero wtedy, gdy mignął za moimi plecami, więc klnąc, na czym świat stoi, zjechałam w najbliższą przecznicę i cofnęłam się kawałek.

Do domu Wayne'a i Marylin Smithów dotarłam koło dziesiątej. Z ganku zniknęły rowery, które widziałam tu ostatnim razem. Drzewka pomarańczowe, mimo że prawie bezlistne, nadal roztaczały wokół siebie zapach świeżych owoców, jakby delikatny aromat nasycił otaczającą roślinność wspomnieniem dawnych czasów. Zaparkowałam na zwirowym podjeździe, za dużym samochodem kombi, który należał prawdopodobnie do pani domu. Mijając go, rzuciłam okiem do środka. Kłębiła się tam góra śmieci: zmięte opakowania po jedzeniu

na wynos, części wyposażenia do gry w softban, podręczniki szkolne i psie klaki.

Wcisnęłam dzwonek. W holu nie było nikogo, ale z głębi domu wypadł duży pies myśliwski i ślizgając pazurami po podłodze, wyhamował z impetem przy progu, czekając radośnie. Kręcił się na wszystkie strony niczym ryba złapana na wędkę.

- Słucham?

Obejrzałam się zaskoczona. Marilyn Smith przystanęła u stóp schodków. Ubrana była w podkoszulkę, poplamione džinsy i słomkowy kapelusz. Na rękach miała ogrodowe rękawiczki z kozłej skóry, a na nogach oblepione błotem, jaskrawożółte chodaki. Gdy mnie poznała, uprzejmy uśmiech na jej twarzy ustąpił miejsca z trudem ukrywanej niechęci.

- Pracuję w ogrodzie - wyjaśniła, jakbym sama nie zgadła. - Jeśli chce pani porozmawiać, to proszę pójść ze mną.

Ruszyłam za nią przez namoknięty deszczem trawnik. Roztargnionym gestem klepała się po udzie ubłoconą łopatką.

- Widziałam panią na pogrzebie - rzuciłam.

- Wayne nalegał - powiedziała oschle, następnie obejrzała się i spytała: - Kim była ta pijana kobieta? Spodobała mi się.

- Lovella Daggett. Myślała, że jest jego żoną, ale właśnie się okazało, że nie jedyną, bo tamta była pierwsza.

Dotarliśmy do warzywnika i pani Smith zaczęła przedzierać się pomiędzy dwoma rzędami ociekających wodą roślin. Przygotowywała ogród do zimy - ostatnie kalafiory, brokuły i bakłażany wystawiały główki spomiędzy wielkich liści. Najwyraźniej oderwałam ją od pielienia grządek. Tu i tam walały się podwiędłe chwasty, ziemia była wzruszona; widać było spore grudki świeżej gliny i ślady kopania.

- Nie za mokro na odchwaszczanie?

- Tutejsza gleba składa się w głównej mierze z gliny. Gdy wyschnie, nie sposób usunąć chwastów - wyjaśniła.

Zdjęła rękawiczki i zaczęła oddzierać szerokie pasma materiału ze starej powłoczki na poduszkę - zamierzała użyć ich do podwiązania długich pędów groszku, które deszcz przygniótł do ziemi. Białe pasemka odcinały się wyraźnie od jasnozielonych roślin. Wyjęłam z torebki spódnicę i buty.

- Poznaje pani te ubrania?

Ledwo rzuciła na nie okiem, ale na jej twarzy pojawił się chłodny uśmiech.

- Czy to miała na sobie zabójczym?
- Być może.
- Od naszego ostatniego spotkania wyraźnie pani zbystrzała. Wtedy nie była pani nawet pewna, czy to było morderstwo.
- W taki właśnie sposób zarabiam na życie.
- Może zabiła go Lovella, gdy dowiedziała się, że jest bigamistą.
- Wszystko możliwe - zgodziłam się. - Ale pani nie powiedziała, gdzie pani była tamtej nocy.
- Doprawdy? Byłam tutaj. Wayne siedział w biurze, tyle że żadne z nas nie ma na to świadków. - Znowu przemawiała tym swoim kpiąco łagodnym i słodkim tonem.
- Chciałabym porozmawiać z pani mężem.
- Proszę umówić się na spotkanie. Jest w pracy. Jego biuro mieści się przy State Street, w Granger Building.
- Marylin, nie jestem pani wrogiem.
- Ale gdybym to ja go zabiła, byłaby nim pani - stwierdziła.
- A, tak. W takim przypadku niewątpliwie tak.
Oddarła kolejne pasmo powłoczki - bawełniany strzęp zwisał bezwładnie z jej dłoni.
- Wygląda na to, że wytypowała już pani podejrzanych. Szkoda, że brakuje dowodów.
- Znalazłam kogoś, kto widział tę kobietę, a to już coś, nie sądzi pani? A teraz po prostu eliminuję kolejne osoby. - Naturalnie Wetowałam. Nie miałam pojęcia, czy pracownik motelu rozpoznałby kobietę, którą widział tylko raz, w dodatku niewyraźnie.
Jej uśmiech przygasł.
- Nie mam ochoty z panią rozmawiać - powiedziała cicho. Podniosłam ręce w pojednawczym geście.
- Już sobie idę - rzekłam. - Ale muszę panią ostrzec. Jestem uparta. Sądzę, że nie spodoba się to pani.
Zaczęłam wycofywać się, cały czas mierząc ją spojrzeniem. Niedaleko leżała zabłocona motyczka i wolałam nie odwracać się plecami do jej właścicielki.
Wracając do miasta, wstąpiłam do Westfallów. Barbara Daggett też powinna zobaczyć te ciuchy, ale do Close było mi po drodze. Niski kamienny murek zamykający zaułek pociemniał od deszczu. Minęłam bramę wjazdową i, tak jak poprzednio, zaparkowałam na ulicy, pod wielką kiścią bluszczu. Mimo światła dziennego, osiem wiktoriańskich

domów tonęło w cieniu; promienie słońca z rzadka przedzierały się przez splecione gałęzie drzew. Zamknęłam auto i ruszyłam ścieżką przez trawnik w kierunku ganku. Konary ogromnego dębu rosnącego koło podjazdu pokryte były mchem równie zielonym jak plamy śnieży na miedzianym dachu. Wysokie palmy wyznaczały narożniki budynku. W powietrzu czuć było chłód i wilgoć, jak zwykle przed sztormem.

Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Od progu widziałam cały hol, aż do kuchni, i dostrzegłam, że drzwi wychodzące na tył domu są także otwarte, a wejścia broni jedynie siatkowa przegroda, zamknięta na zasuwkę. Na stole kuchennym stało włączone radio, z którego dobiegały dźwięki Uwertury 1812. Wcisnęłam dzwonek, ale jego dźwięk ginął całkowicie w końcowych dźwiękach utworu.

Zeszłam z ganku i ruszyłam do tylnego wejścia, rozglądając się uważnie dookoła. Podobnie jak pozostałe pomieszczenia, kuchnia też została odnowiona, i choć właściciele poczynili wyraźne wysiłki, aby ją zmodernizować, miejsce to zachowało wiktoriański charakter. Ściany pokryto tapetą w drobny wzór kwiatowy, większość mebli wykonana była z wikliny i drzewa dębowego, a całość ozdobiono donicami z paprocią.

W pomieszczeniu nie było nikogo. Drzwi po lewej stronie były lekko uchylone, a widoczny za nimi podłużny cień rzucały zapewne schody prowadzące do piwnicy. Na stole kuchennym stały dwie brązowe papierowe torby, wypełnione zakupami; wyglądało na to, że ktoś zaczął je rozpakowywać, ale mu przerwano. Koło kuchenki dostrzegłam włączony ekspres do kawy. W pewnym momencie zapaliła się na nim zielona lampka i dopiero wówczas poczułam aromat kawy.

Muzyka w radiu dobiegła końca i odezwał się spiker - wygłosił kilka słów na temat właśnie zakończonego utworu i zapowiedział koncert e-moll Brahmsa. Zapukałam w futrynę drzwi z siatki, mając nadzieję, że zanim zabrzmi muzyka, ktoś zdoła mnie usłyszeć. Na schodach do piwnicy pojawiła się Ramona. Miała na sobie wełnianą spódniczkę z sześciu klinów w delikatną szarą kratkę oraz ciemnobordowy rozpinany pulower, a pod nim białą bluzkę, spiętą przy kołnierzyku staroświecką broszką. Pomyślałam, że odczekam trochę, nim pokaże jej pantofle i spódnicę, które przyniosłam ze sobą.

- Tony? - spytała. - A nie, to pani.

Przez ramię przerzuciła pęk niebieskich ręczników kąpielowych, które zaraz odłożyła na krzesło.

- Wydawało mi się, że słyszę pukanie, ale przez tę siatkę nic nie widać. Ruszyła w moim kierunku, wyłączając po drodze radio, i otworzyła drzwi, wpuszczając mnie do środka.

- Tony nosi zakupy z garażu. Właśnie wróciliśmy ze sklepu. Niech pani usiądzie. Kawy? Mam świeżo zaparzoną.

- Tak, chętnie.

Odsunęłam ręczniki i przysiadłam na krześle, wykładając na stół spódnice i szpilki. Widziałam, że jest zaskoczona, ale nie skomentowała tego ani słowem.

- Czy nie powinien być w szkole? - zagadnęłam.

- Drugoklasiści piszą teraz jakieś testy kwalifikacyjne. Tony skończył wcześniej, więc puścili go do domu. I tak niedługo ma wizytę u terapeuty.

Obserwowałam, jak krząta się po kuchni, szukając filiżanek i spodeczków. Na głowie miała jedną z tych zadziwiających fryzur, które układają się same za potrząśnięciem głowy. Ja strzygę się sama; średnio co sześć tygodni, za pomocą nożyczek do paznokci i dwustronnego lusterka. Fryzjerzy na widok mojej głowy gwałtownie bledną. Zawsze pytają: „Kto panią tak załatwił?”. Pewnie, że chciałabym mieć takie idealne fale jak ona, ale nie sądzę, bym umiała się tak ostrzyć.

Ramona napełniła filiżanki kawą.

- Jest coś, o czym chyba powinnam była powiedzieć pani wcześniej - zaczęła.

Wyjęła z kredensu porcelanowy dzbanuszek, nalała mleka, i chyba zrozumiała, że czekam na jakieś wyjaśnienia. Uśmiechnęła się słabo.

- W poniedziałek wieczorem dzwonił do nas John Daggett, chciał rozmawiać z Tonym. Zapisałam jego numer, ale potem doszliśmy z Ferrinem do wniosku, że to nie najlepszy pomysł. Teraz nie ma to już pewnie żadnego znaczenia, ale pomyślałam, że powinna pani wiedzieć.

- W jaki sposób sobie pani o tym przypomniała? Zawahała się.

- Znalazłam ten numer w notatniku koło telefonu, zupełnie o nim zapomniałam.

Poczułam mrowienie w karku - dziwne uczucie, jakie czasem ogarnia człowieka, gdy sobie uświadamia, że coś idzie zbyt gładko. W jej opowieści coś mi nie pasowało, ale nie wiedziałam, co.

- Po co mówi mi pani o tym teraz? - zapytałam.

- Twierdziła pani przecież, że usiłuje pani odtworzyć, co Daggett robił w ostatnim tygodniu przed śmiercią.

- Nic takiego sobie nie przypominam. Oblała się rumieńcem.

- Dzwoniła do mnie Marilyn Smith. To ona mi powiedziała.

- Skąd Daggett wiedział, gdzie was szukać? Gdy był u mnie w sobotę, twierdził, że nie może znaleźć Tony'ego i z pewnością nie znał ani waszego adresu, ani numeru telefonu.

- Nie ma pojęcia - powiedziała Ramona. - A zresztą, jaka to różnica?

- Nie wiem, ale przecież mogło się zdarzyć, że umówiła się pani z nim na spotkanie w piątkowy wieczór?

- Po co miałabym to robić?

Patrzyłam na nią bez słowa. W ułamku sekundy zrozumiała, do czego zmierzam.

- Przecież w piątek w nocy byłam tutaj!

- A kto to potwierdzi?

- To śmieszne! Proszę spytać Tony'ego. On wie, że byłam w domu. Zresztą, niech pani sama sprawdzi.

- To właśnie zamierzam zrobić - oznajmiłam.

Po schodkach werandy wbiegł Tony, tuląc do piersi kolejne dwie torby z zakupami. Nie zauważył mnie, mocując się z kławką. Dwukrotnie nic trafił, aż w końcu zawołał:

- Ciociu Ramono, możesz mi pomóc?

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Tony równocześnie zobaczył mnie i zieloną spódnicę, rozłożoną na stole. Spostrzegłam, że szybko spojrzał na ciotkę, a w jego oczach czał się wielki znak zapytania. Ramona zachowała kamienną twarz, lecz wyraźnie próbowała odwrócić uwagę siostrzeńca. Przesunęła puszki na blacie, tak by mógł postawić na nim jedną torbę. Drugą wyjęła mu z rąk i sama zajęła się rozpakowywaniem. Pogrzebała w niej chwilę i wyjęła pudełko lodów.

Lepiej od razu je schowam - zamruczała, podchodząc do zamrażarki.

- Co pani tu robi? - spytał mnie Tony.

- Byłam ciekawa, jak się czujesz. Twoja ciotka wspomniała, że w poniedziałek w nocy miałeś migrenę.

- Nic mi nie jest.

- A co myślisz o pogrzebie Daggetta?

- Banda świrów.

- Rozpakujmy to do końca - przerwała mu ciotka.

Zaczęli wyjmować jedzenie z toreb, a ja tymczasem sączyłam kawę. Trudno było mi stwierdzić, czy Ramona celowo odwraca uwagę chłopaka, ale z pewnością udało jej się to.

- Może pomogę? - zaproponowałam.

- Damy sobie radę - mruknęła.

- Kim była ta kobieta, która dostała szału? - spytał Tony. Lovella wywarła na wszystkich niezapomniane wrażenie.

Ramona wyciągnęła z foliówki ogromną plastikową butelkę napoju.

- Skoro już tu jesteś, to wsadź to do lodówki - zakomenderowała. Mówiąc to, wypuściła butelkę z rąk, zmuszając Tony'ego, by rzucił

się w jej kierunku. Ciekawe, czy zrobiła to naumyślnie? Chłopak czekał na moją odpowiedź, więc pokrótce opowiedziałam mu historię Lovelli. Rzecz jasna, trochę ją ubarwiłam, ale miałam nadzieję, że w ten sposób przyciągnę jego uwagę, i nie myliłam się.

- Nie chcę się wtrącać, ale Tony musi odrobić lekcje. Naturalnie, proszę spokojnie dokończyć kawę - oznajmiła Ramona. Ton jej głosu sugerował, że powinnam natychmiast wlać w siebie całą filiżankę i wynieść się.

- Ja też się spieszę do biura - oświadczyłam, podnosząc się z miejsca. Spojrzałam na Tony'ego. - Odprowadzisz mnie do samochodu?

Popatrzył na Ramonę, ale ciotka nie odwzajemniła jego spojrzenia. Nie protestowała, więc pokiwał potakująco głową.

Otworzył drzwi, a ja zebrałam ubrania ze stołu i ruszyłam do wyjścia. W progu przystanąłam i obejrzałam się przez ramię.

- Omal nie zapomniałam - zwróciłam się do Ramony. - Czy te rzeczy nie należą czasem do pani?

- Na pewno nie - odparła, po czym poinstruowała Tony'ego: - Zaraz wracaj.

Wyglądało na to, że chłopak chce coś powiedzieć, ale najwyraźniej zmienił zdanie i tylko wzruszył ramionami. Ruszył za mną po schodkach i dalej, dookoła domu. Dróżka prowadząca do furtki była wyłożona przypadkowo rozmieszczonymi płytami chodnikowymi, więc musiałam patrzeć pod nogi, żeby nie wejść w błoto.

- Chcę cię o coś spytać - odezwałam się, gdy doszliśmy do samochodu.

Popatrzył na mnie ostrożnie, zaciekawiony, lecz zdecydowany mieć się na baczności.

- Zastanawia mnie ta twoja piątkowa migrena. Pamiętasz, jak długo trwała?

- W piątek w nocy? - upewnił się zdumiony.

- Dokładnie. Miałeś wtedy migrenę?

- Chyba tak.

- Zastanów się - powiedziałam. - Nie ma pośpiechu. Wyglądał na zaniepokojonego. Rozglądał się dokoła niepewnie,

zerkając na mnie, jakby szukał jakiejś podpowiedzi z wyrazu mojej twarzy. Widziałam już, jak to robił-próbował odczytać z zachowania swojego rozmówcy, jakiej odpowiedzi ten oczekuje. Czekałam w milczeniu, pozwalając narastać jego zdenerwowaniu.

- Tak, chyba bolała mnie wtedy głowa. Po powrocie ze szkoły -powiedział. - Ale potem mi przeszło.

- Kiedy?

- Późno. Dopiero po północy. Gdzieś o drugiej... może pół do trzeciej w nocy.

- Skąd tak dokładnie pamiętasz godzinę?

- Ciotka Ramona zabrała mnie do kuchni i zrobiła kilka kanapek. Ta migrena była naprawdę paskudna. Przez kilka godzin wymiotowałem i ominęła mnie kolacja. Byłem strasznie głodny. Pewnie dostrzegłem godzinę na zegarze kuchennym.

- Jakie kanapki?

- Słucham?

- Ciekawa jestem, z czym były te kanapki? Patrzył na mnie bez słowa przez dłuższą chwilę.

- Z kotлетem - odparł w końcu.

- Dzięki. Bardzo mi pomogłeś.

Otworzyłam drzwiczki volkswagena, cisnęłam spódnicę i buty na siedzenie pasażera i wsiadłam. Wersja Tony'ego pokrywała się mniej więcej z tą, jaką podała mi jego ciotka, ale mogłabym przysiąc, że „kotlet” był strzałem w ciemno.

Uruchomiłam silnik i zawróciłam, by wyjechać z zaułka. Spojrzałam przelotnie w lusterko wsteczne i zobaczyłam, że Tony odwrócił się i poszedł do domu.

ROZDZIAŁ 22

JEST FAKTEM, sprawdzonym w praktyce, że jeśli sprawa utknie w martwym punkcie, nie wolno zaniechać działań śledczych; należy nadal działać - najlepiej wkładając kij w mrowisko. Mając świadomość tego, po drodze do domu zajechałam na kemping z nadzieją, że zastanę tam jeszcze Lovellę. Nie jestem głupia i doskonale wiedziałam, że włóczenie się po całym mieście z zieloną wełnianą spódnicą i czarnymi szpilkami z zamszu jest zajęciem bezużytecznym. Nikt nie przyzna się do tych rzeczy, a nawet jeśli, to co z tego? Same ubrania nie były żadnym dowodem. Przecież nikt na ich widok nie załamie się i nie zacznie szlochać, wyznając swoje winy. Moja zabawa w domokrażcę miała inny cel: chciałam ich wszystkich zaniepokoić, a pokazując się ponownie w ich domach, dawałam do zrozumienia, że nadal pracuję nad tą sprawą, a nawet robię postępy, choćby nieznaczące.

Zapukałam do drzwi przyczepy, ale nikt mi nie otworzył. Naba-zgrałam kilka słów na wizytówce, prosząc Lovellę o kontakt. Zatknęłam ją za futrynę, wróciłam do auta i odjechałam w kierunku miasta.

Biuro Wayne'a Smitha mieściło się na siódmym piętrze Granger Building, w centrum Santa Teresa. Budynek ten, oprócz wieży zegarowej ratusza, jest prawdopodobnie jedyną budowlą przy State Street, która ma więcej niż dwa piętra. To właśnie niska zabudowa stanowi podstawowy urok śródmieścia, w którym dominuje styl hiszpański. Nawet kosze na śmieci są wykonane z marmuru i zdobione sztukaterią. Budki telefoniczne stanowią udaną imitację wiejskich chat i przyjemnie jest z nich korzystać, o ile jest się w stanie zignorować duszący odór moczu - ślad po włóczęgach, którzy wykorzystują je w charakterze pisuarów.

Wzdłuż chodników rosną krzewy, drzewa jakarandy i palmy, a niskie murki służą jako ławki znużonym turystom. Okolica jest czysta, dobrze utrzymana i przyjemna dla oka.

Granger Building nie różni się niczym od setki podobnych mu biurowców, które masowo budowano w latach dwudziestych - ściany z żółtej cegły, symetryczne wąskie okna, okolone granitowym fryzem, i skośny dach z facjatkami. Wzdłuż linii dachu, tuż pod gzymsem umieszczono marmurowe pochodnie wyrastające z mocowań w kształcie odwróconych muszli. Styl, w jakim zbudowano ten budynek, plasuje się gdzieś pomiędzy starohiszpańskim a wiktoriańskim, z domieszką całkowicie bezużytecznych elementów. Na pewno nie jest to budowla typowa dla Santa Teresa. Ale dlatego stanowi charakterystyczny punkt miasta. Na parterze mieści się kino i jubiler, a kolejne siedem pięter przeznaczono na biura.

W marmurowym holu biurowca przystanąłam przed tablicą informacyjną, sprawdzając numer biura Wayne'a Smitha - jak się okazało, musiałam jechać aż na siódme piętro, pokój 702. W budynku znajdowały się dwie windy, ale jedna była akurat w naprawie. Drzwi otwarte na oścież prezentowały cały mechanizm windy. Takich rzeczy nie powinno wystawiać się na widok publiczny, bo widząc te wszystkie mechanizmy, zaczyna się mieć wątpliwości, czy takie urządzenie jest bezpieczne. Wozi w górę i w dół kabinę pełną ludzi, a wszystko to wisi na kilku długich linach. To śmieszne!

W pobliżu stał facet w kombinezonie roboczym i właśnie wycierał twarz czerwoną chustką.

- Jak leci? - zagadnęłam, czekając na sprawną windę.

- Zawsze jest coś do roboty. W zeszłym tygodniu tamta nie działała, - Potrząsnął głową z dezaprobatą.

Drzwi rozsunęły się, wsiadłam do środka, wcisnęłam guzik z cyfrą 7, ale to nic nie dało. Dopiero po chwili winda ruszyła z szarpnięciem, zatrzymała się na siódmym piętrze i na tym poprzestała. Wcisnęłam przycisk „OTWIERANIE DRZWI”. Nic. Zaczęłam się zastanawiać, jak długo uda mi się przeżyć o jednym kawałku gumy do żucia, który znalazłam na dnie torebki. Zdesperowana walnęłam w przycisk dłonią i wtedy drzwi rozsunęły się z ociąganiem.

Korytarz był długi i ciemny - jedyne okno znajdowało się na końcu holu. Po obu stronach były po cztery pary drzwi z ciemnego drewna. Na każdym wisiała złota tabliczka z wypisanym nazwiskiem; z wyglą-

du równie stara jak sam budynek. Na całym pięttrze nie było żadnych oznak życia, żadnych odgłosów czy dzwonekóv telefonu. Wayne Smith, dyplomowany księgowy, rezydował za pierwszymi drzwiami po prawej stronie. Uznałam, że ma sekretarkę, więc weszłam do środka bez pukania. Okazało się, że całe biuro mieści się w jednym, dużym pomieszczeniu. Teraz panował tu półmrok; światło dzienne słabo przebijało przez zasłony zaciągnięte w oknach. Wayne Smith leżał na podłodze ze stopami opartymi na krześle. Obrócił głowę i spojrzał na mnie.

- Och, przepraszam. Myślałam, że wchodzę do sekretariatu - powiedziałam. - Dobrze się pan czuje?

- Oczywiście. Proszę wejść - odparł. - Krótki relaks dla kręgosłupa - wyjaśnił. Ze sieknięciem zdjął nogi z krzesła. Przekręcił się na brzuch i krzywiąc się z bólu, wstał. - Pani jest Kinsey Millhone, prawda? Marylin pokazała mi panią wczoraj na pogrzebie.

Patrzyłam na niego, zastanawiając się, czy wyciągnąć dłoń.

- Co się panu stało?

- Wybity dysk. Boli jak cholera - odparł, dotknął dłonią pleców i delikatnie roztarł krzyż, jakby złapał go skurcz. Miał sylwetkę biegacza - chudy, mięśnie jak postronki, wąska klatka piersiowa. Musiał być starszy od żony: z wyglądu dawałam mu czterdzieści kilka lat, podczas gdy ją oceniałam na zaawansowaną trzydziestkę. Miał jasne, krótko przystrzyżone włosy - model rodem z kroniki szkolnej z lat pięćdziesiątych. Ciekawe, czy był kiedykolwiek w wojsku? Jego fryzura sugerowała, że duszą należał do przeszłości, może jakieś ważne wydarzenie spowodowało, że czas się dla niego zatrzymał. Miał blade tęczówki i twarz pokrytą zmarszczkami. Podeszedł do okna i rozsunał wszystkie zasłony. Pokój zalało oślepiające światło.

- Proszę usiąść - zwrócił się do mnie.

Nie miałam wielkiego wyboru: mała sofa lub składane plastikowe krzesło. Zdecydowałam się na krzesło, podpatrując ukradkiem, jak pan Smith wolno osuwa się na obrotowy fotel, zupełnie jakby siadał w wannie do kąpieli leczniczych. W pokoju stało sześć metalowych regałów. Były luźno ześrubowane, a półki uginały się lekko pod tomami książek. Wszędzie poniewierały się brązowe segregatory, prawie zasłaniały blat biurka. Podłoga wokół krzesła usłana była listami, a na parapecie leżał spory stosik okólników rządowych i broszur z zakresu prawa podatkowego. Na pewno nie powierzyłabym temu człowiekowi dokumentów firmy w przededniu kontroli z urzędu skarbowego. Wię-

cej, korzystanie z usług takiej osoby mogłoby się do tej kontroli walnie przyczynić.

- Właśnie rozmawiałem z Marylin. Mówiła, że odwiedziła ją pani dzisiaj. Byliśmy zdumieni, że pani się nami interesuje.

- Barbara Daggett zatrudniła mnie, bym zbadała okoliczności śmierci jej ojca. Interesuje mnie każda osoba z nim związana.

- Ale dlaczego my? Nie widzieliśmy go ładnych parę lat.

- Nie pokazał się w zeszłym tygodniu?

- A po co miałyby to robić?

- Szukał Tony'ego Gahana. Myślałam, że może próbował znaleźć go przez państwa.

W tym momencie zadzwonił telefon. Smith podniósł słuchawkę i zagłębił się w rozmowę na tematy zawodowe, ja tymczasem obserwowałam go. Miał na sobie nieco przykrótkie spodnie w kolorze khaki, spod nogawek wyglądały elastyczne skarpetki, a w zasadzie podkolanówki. Wyraźnie starał się zakończyć rozmowę, przyjmując pożegnalny ton:

- Aha. W porządku, dobrze. Świetnie. Tak zrobimy. Mam tu te formularze. Najpóźniej do końca miesiąca. To gruba ryba.

W końcu odłożył słuchawkę, potrząsając z poirytowaniem głową.

- No więc - zagaił, wracając do naszej rozmowy.

- Przypuszczam - powiedziałam - że nie pamięta pan, gdzie był pan w piątek wieczorem?

- Byłem tutaj. Robiłem sprawozdania kwartalne.

- A Marylin była w domu z dziećmi?

Popatrzył na mnie ze zdumieniem. Uśmiech na zmianę to pojawiał się, to znikał z jego twarzy.

- Sugeruje pani, że przyłożyliśmy rękę do wyeliminowania Daggetta?

- Ktoś to zrobił.

Roześmiał się głośno, przeciągając ręką po włosach, jakby sprawdzał, czy czas na wizytę u fryzjera.

- Panno Millhone, ma pani nerwy ze stali - powiedział. - W wiadomościach mówili, że to był wypadek.

Uśmiechnęłam się.

- Policja nadal tak myśli. Ja się z nimi nie zgadzam. Wiem, że sporo ludzi życzyło Daggettowi śmierci. A wśród nich także pan i pańska żona.

- Ale nigdy w życiu nie zrobilibyśmy czegoś takiego. Chyba pani żartuje. Pewnie, że nienawidziłem tego faceta, ale przecież nie zamierzaliśmy odszukać go i zabić. Dobry Boże!

Nie zmieniając tonu, rzuciłam lekko:

- Jednak mieliście zarówno motyw, jak i okazję.

- A cóż to za argumenty. Jesteśmy porządnyimi ludźmi. Nigdy nie dostałem nawet mandatu za złe parkowanie. John Daggett musiał mieć mnóstwo wrogów.

Wzruszyłam ramionami, dając do zrozumienia, że zgadzam się z nim.

- Westfallowie - zaczęłam wyliczać. - Billy Polo i jego siostra, Coral. Pewnie także niektórzy współwięźniowie.

- A ta kobieta, która histeryzowała na pogrzebie? Uważam, że to całkiem niezłą kandydatka.

- Już z nią rozmawiałam.

- W takim razie powinna pani zrobić to jeszcze raz. Traci pani na nas czas. Nie można nikogo aresztować tylko dlatego, że miał „motyw” i „okazję”.

- Wobec tego nie ma pan się o co martwić. Potrząsnął głową z wyraźnym sceptycyzmem.

- Cóż, widzę, że jest pani stworzona do tego zawodu. Ale wolałbym, żeby pani dała spokój Marylin. I bez tego ma dość problemów.

- Zauważyłam. - Podniosłam się do wyjścia. - Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. Mam nadzieję, że nie będę musiała już państwa niepokoić - dodałam, podchodząc do drzwi.

- Też mam taką nadzieję.

- Ale jeśli to pan go zabił albo jeśli pan wie, kto to zrobił, odkryję to. Tak czy inaczej za kilka dni zgłoszę się na policję. Nie uwierzy pan, jak dokładnie sprawdzą pańskie alibi.

Wyciągnął przed siebie ręce, jakby mnie odpychał.

- Dopóki nie ma dowodów, jesteśmy niewinni - powiedział z chłopięcym uśmiechem.

ROZDZIAŁ 23

CZEKAJĄC na windę, powtórzyłam w myślach całą rozmowę w nadziei, że zdołam wyłuskać z niej coś więcej. Teoretycznie reakcja Smitha była całkowicie prawidłowa, lecz mimo to czułam dziwny niepokój i podenerwowanie, może dlatego, że do niczego nie doszłam. Walnęłam pięścią w przycisk windy. - No jedź! - warknęłam. W końcu drzwi się otworzyły, ale tylko do połowy, więc rozsunęłam je na siłę i wsiadłam. Piętro niżej winda ponownie się zatrzymała. Drzwi się rozsunęły i ujrzałam za nimi Tony'ego Gahana, który stał na korytarzu z torbą na zakupy w ręce. Wyglądało na to, że jest równie zaskoczony tym spotkaniem, jak ja.

- Co pani tu robi? - spytał po wejściu do windy.

- Odwiedzałam kogoś w biurze - odparłam. - A ty?

- Wizyta u psychiatry. Miał dziś wrócić, ale jego samolot się spóźnił. Sekretarka powiedziała, że jedzie po niego na lotnisko za jakąś godzinę, i poprosiła, żebym przyszedł o piątej.

Winda zatrzymała się na parterze i wyszliśmy do holu.

- Jak wrócisz do domu? Podwieźć cię? - spytałam. Potrząsnął przecząco głową.

- Pokręcę się po okolicy. - Wskazał głową salon gier po drugiej stronie ulicy, przed którym snuło się sporo dzieciaków.

- W takim razie, do zobaczenia.

Ruszyłam na parking za budynkiem. Wsiadłam do samochodu i podjechałam cztery przecznice do swojego biura. Postanowiłam, że na razie zostawię spódnicę i buty na tylnym siedzeniu auta.

Na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości, za to przyszła świeża poczta. Sortowałam ją machinalnie, zastanawiając się,

co powinnam teraz zrobić. Prawdę mówiąc, byłam wyczerpana - skutek szalonej nocy z Jonahem. Po pierwsze, zwykle nie piję tak dużo, poza tym, będąc osobą samotną, zazwyczaj śpię dużo dłużej niż ostatniej nocy. Jonah wyszedł około piątej nad ranem, zanim zrobiło się jasno. Zdołałam zdrzemnąć się jeszcze godzinę, potem wstałam, poszłam pobiegać, wzięłam prysznic i zjadłam śniadanie.

Teraz odchyliłam się na krzesło, położyłam nogi na biurku i popadłam w błogostan, mając nadzieję, że nikt mi nie przerwie tej sjeisty. Kiedy w końcu oprzytomniałam, stwierdziłam ze zdumieniem, że wskazówki zegara w magiczny sposób przeskoczyły z dwunastej dziesięć na czternastą pięćdziesiąt. W głowie pulsował mi ostry ból. Zerwałam się na równe nogi i wyszłam na korytarz, zmierzając do łazienki. Umyłam ręce i twarz, przepłukałam usta i uniosłam głowę, by obejrzeć się w lustrze. Włosy z tyłu spłaszczyły się jak naleśnik, a reszta sterczała na wszystkie strony. W sztucznym świetle moja skóra przybrała niezdrowy odcień. Czyżby konsekwencje niemoralnych stosunków z żonatym mężczyzną? Mam szczerą nadzieję, że nie - odpowiedziałam sobie na głos. Wsadziłam głowę pod kran, po czym wysuszyłam włosy strumieniem gorącego powietrza z suszarki do rąk, pod którą umieszczony był napis, że urządzenie to mnie uchroni przed chorobami, których zarazki mogły znajdować się na podajniku z papierowymi ręcznikami. Spróbowałam sobie wyobrazić, o jakie choroby tu chodzi: tyfus, dyfteryt?

Już w połowie korytarza usłyszałam telefon dzwoniący w moim biurze, więc poderwałam się do biegu. Po szóstym dzwonku dopadłam słuchawki i podniosłam ją, rzucając do mikrofonu zadyszane: „Halo!”.

- Mówi Lovella - odezwał się ponury głos. - Znalazłam kartkę od ciebie.

Wzięłam głęboki oddech i próbując zebrać myśli, powiedziałam:

- Tak. Pomyślałam, że powinniśmy się skontaktować. Nie widziałyśmy się przecież od czasu mojej wizyty w Los Angeles.

Okrążyłam biurko i usiadłam na krzesło, czekając, aż mój oddech wróci do normy.

- Kinsey, jestem na ciebie wściekła - oznajmiła Lovella. - Dlaczego nie powiedziałaś mi wtedy, że miałaś pieniądze Daggetta?

- A po co? To był czek na okaziciela i nie było na nim twojego nazwiska. Dlaczego więc miałabym o nim mówić?

- Bo ja ci opowiedziałam, że jestem żoną faceta, który był gotów zabić mnie za jedno spojrzenie na kogoś innego, a ty chrzaniłaś mi

coś o centrum walki z przemocą w rodzinie. A Daggett cały czas miał kupę forsy!

- Ale on ukradł te pieniądze. Billy nic ci nie mówi?

- I co z tego? Nieważne, skąd je miał, mnie by się przydały. A teraz Daggett nie żyje i ona zgarnie wszystko.

- Jaka ona? Essie?

- Tak, razem z córką.

- Och, Lovello, daj spokój. Nie zostawił im aż tyle, by warto się o to bić.

- To i tak więcej, niż zostawił mnie - zauważyła. - Gdybym wiedziała o tych pieniądzech, może udałoby mi się wyciągnąć od niego trochę.

- Oczywiście. Sypnąłby ci hojną ręką - powiedziałam zjadliwie. - Gdybyś dostała tę forszę, to pewnie ty byłabyś teraz trupem. Chyba że Billy okłamał mnie, gdy twierdził, że Daggetta szukają jakieś typy z San Luis. - Nigdy nie wierzyłam w tę historię, a może powinnam.

W słuchawce zapadła cisza. Niemal słychać było, jak myśli.

- Może. Wiem jedno - jesteś tak samo podła jak on.

- Przykro mi, że odbierasz to w ten sposób. John mnie wynajął

i czułam się w obowiązku zachować lojalność... może niepotrzebnie, jak się później okazało, niemniej tak było. Zmienimy temat czy masz ochotę jeszcze trochę mnie podręczyć?

- Pewnie. To ja powinnam dostać te pieniądze, nikt inny. To ja dostawałam w skórę. Nadal mam dwa złamane żebra i uszkodzone oko.

- To dlatego dostałaś szalu na pogrzebie? Odparła z wyraźnym zakłopotaniem:

- Wcale nie chciałam, przepraszam. Tak jakoś wyszło. Od dziesiątej rano siedziałam w barze nad Krwawą Mary i chyba przeholowałam. Ale to całe religijne gadanie wkurzyło mnie. Daggett nigdy nie postawił nogi w kościele i to było po prostu nie fair. I jeszcze ta tłusta, stara dupa, która twierdziła, że jest jego żoną. Nie mogłam uwierzyć -przecież ona wygląda jak buldog!

Nie udało mi się powstrzymać od śmiechu.

- Może nie ożenił się z nią dla jej urody.

- Przypuszczam, że nie.

- Kiedy widziałas go po raz ostatni?

- W domu pogrzebowym, a gdzież by indziej?

- Nie, wcześniej. Przed śmiercią.
 - W dniu, w którym wyjechał z Los Angeles. W poniedziałek tydzień temu. Potem już go nie widziałam.
 - Pomyślałam, że może po mojej wizycie w czwartek pojechałaś go szukać.
 - Nie.
 - Ale mogłaś, prawda?
 - Po co? Przecież nie wiedziałam, dokąd pojechał.
 - Ale Billy wiedział. Mogłaś dowiedzieć się od Coral. Może byłaś z Daggettem w barze Hub w piątek wieczorem i postawiłaś mu kilka drinków?
- Zaśmiała się z przymusem.
- Nie wrobisz mnie w to. Skoro to byłam ja, dlaczego Coral mnie nie poznała, co?
 - Myślę, że poznała. Jest twoją znajomą. Może po prostu trzymała buzię na kłódkę.
 - Dlaczego miałyby to robić?
 - Może chciała ci pomóc?
 - Coral nawet mnie nie lubi. Uważa mnie za szmatę, więc dlaczego miałyby mi pomagać?
 - Być może miała swoje powody.
 - Kinsey, nie zabiłam go, jeśli o to ci chodzi.
 - Każdy tak mówi. Wszyscy otwieracie oczy szeroko ze zdumienia i twierdzicie, że jesteście niewinni. Daggett został zabity, a nikt nie przyznaje się do winy. Zadziwiający.
 - Nie chcesz, to mi nie wierz. Spytaj Billy'ego. Jak wróci, na pewno ci powie, kto to zrobił.
 - Świetnie. Tylko skąd się dowie?
- Nastąpiła chwila ciszy, jakby Lovella uświadomiła sobie, że powiedziała coś, czego nie powinna była mówić.
- Wydaje mu się, że na pogrzebie dostrzegł kogoś, a potem przypomniał sobie, skąd zna tę osobę - powiedziała z wahaniem.
- Spojrzałam ze zdumieniem na słuchawkę telefonu. Nagle przypomniałam sobie, jak Billy zainteresował się grupką ludzi, w której znajdowali się Westfallowie, Barbara Daggett i Smithowie.
- Nie rozumiem. Co on chce zrobić?
 - Umówił się z kimś na spotkanie - powiedziała Lovella. - Chce się przekonać, czy ma rację, powiedział, że potem do ciebie zadzwoni.

- Chce się spotkać z tą osobą?
- Na to wygląda, nie?
- Nie powinien robić tego na własną rękę. Dlaczego nie powiadomił policji?
- Bo nie chciał robić z siebie głupka. A jeśli się myli? Przecież nie ma żadnych dowodów. To tylko przypuszczenia, a i to nie wiadomo, czy słuszne.
- Nie wiesz czasem, kogo mógł mieć na myśli?
- Nie. Nic mi nie powiedział, ale wyglądał na zadowolonego z siebie. Mówił, że jak dobrze pójdzie, dostaniemy sporo pieniędzy.

No nie, pomyślałam, tylko nie szantaż. Czułam, że serce zamiera mi w piersi. Billy Polo nie był na tyle sprytny, by sobie z tym poradzić. Spieprzy to, jak wszystko, czego się tknie.

- Gdzie odbędzie się to spotkanie?
- A dlaczego pytasz? - zbystrzała nagle.
- Bo chcę tam pójść!
- Chyba nie powinnam ci mówić.
- Lovello, nie rób mi tego.
- Billy nic nie wspominał, żeby ci powiedzieć.
- Skoro powiedziałaś mi już tak dużo, dlaczego nie powiesz reszty? On może być w poważnych tarapatach.

Wahała się, nadal nieprzekonana.

- Gdzieś na plaży - wyznała w końcu. - On nie jest taki głupi. Specjalnie umówił się w miejscu publicznym. Doszedł do wniosku, że najbezpieczniej będzie załatwić to w dzień i przy ludziach.

- Gdzie na plaży?
- Billy wścieknie się, jeśli ci powiem.
- Wyjaśnię mu wszystko - obiecałam. - Przysięgnę, że cię zmusiałam, byś mi powiedziała.

- Jeśli pójdziesz tam i wszystko zepsujesz, nie będzie zachwycony.

- Nie zepsuję. Nie będę wchodzić mu w oczy, tylko sprawdzę, czy wszystko w porządku. Naprawdę, nic więcej.

Znowu milczenie. Pomyślałam, że jeśli zaraz się nie odezwie, zacznę krzyczeć.

- Popatrz na to z innej strony. Może będzie zadowolony z mojej obecności? A jeśli potrzebuje pomocy?

- Billy poradzi sobie sam, przecież tu chodzi o kobietę! Przymknęłam oczy, modląc się o cierpliwość.

- Pomóż mi, Lovello, albo przyjdę na kemping i wyrwę ci serce z piersi.
Wreszcie coś poskutkowało.

- Ale nie wygadaj się, że to ja ci powiedziałam - zastrzegła się.

- Przysięgam. Prędzej umrę. A teraz mów.

- Chyba chodzi o parking obok przystani dla łodzi.

Rzuciłam słuchawką i chwyciłam torebkę. Zamknęłam drzwi biura i zbiegłam na dół, przeskakując po trzy schody. Tym razem zaparkowałam na samym końcu parkingu i zanim ruszyłam, w kolejce do budki parkingowej ustawiły się trzy samochody. - No ruszcie się - mamrotałam pod nosem, waląc w klakson.

W końcu podjechałam do budki, machnęłam biletem parkingowym i ruszyłam z kopyta, zanim szlaban podniósł się do końca.

Chapel jest ulicą jednokierunkową, dlatego aby dotrzeć na plażę, musiałam wykonać skomplikowany manewr: najpierw skręcić w prawo, potem w lewo, a następnie wyjechać na inną jednokierunkową drogę, prowadzącą w przeciwną stronę. Dodatkowo zatrzymały mnie jeszcze światła przy wjeździe na autostradę nr 101. Nie chciałam się spóźnić, nie chciałam przyjechać dwie minuty po fakcie i stracić jedyną szansę. Oczyma wyobraźni widziałam już, jak wraz z Billym Polo dokonujemy aresztowania i stajemy się bohaterami.

Światło zmieniło się na zielone, więc szybko przejechałam na drugą stronę autostrady. Jeszcze dwie przecznice i znalazłam się na Cabana, gdzie skręciłam w prawo. Wjazd na parking, którego szukałam, znajdował się za zakrętem, w pobliżu Santa Teresa City College. Kupiłam bilet parkingowy w automacie i wolno wjechałam na teren parkingu. Uważnie obserwowałam stojące samochody, szukając wzrokiem białego chevroleta Billy'ego. Po prawej stronie miałam port. Promienie słońca odbijały się jaskrawym blaskiem od śnieżnobiałych żagli jachtu, który statecznie odpływał od nabrzeża. Przystań mieściła się po drugiej stronie parkingu, za następną bramką parkingową. Włożyłam w szczelinę automatu następny bilet i ramię szlabanu powędrowało do góry. Znalazłam wolne miejsce, zaparkowałam volkswagena i w dalszą drogę ruszyłam na piechotę.

Minęło mnie czterech biegaczy. Wszędzie było pełno ludzi: przy stanowiskach dla łodzi, na bulwarze, przy budce z przekąskami i przy toaletach. Przyspieszyłam kroku, cały czas rozglądając się bacznie za Billym i tajemniczą blondynką. W pewnym momencie z oddali dobie-

gly mnie trzy głuche, następujące szybko po sobie, kłaśnięcia. Ruszyłam biegiem. Oprócz mnie nikt więcej nie zareagował, ale ja byłam przekonana, że owe odgłosy to nic innego jak strzały z pistoletu.

Znalazłam się na przystani, w miejscu, gdzie parking gwałtownie opada w dół, urywając się w wodzie. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Nikt nie biegł, nikt w pośpiechu nie uciekał. Powietrze stało nieruchomo, a fale cicho biły o nabrzeże. Od lądu odchodziły w morze dwa pomosty do cumowania pontonów, ale tam także nie było nikogo. Powoli obróciłam się, badając wzrokiem najbliższą okolicę. I wtedy go zobaczyłam. Leżał na boku, koło przyczepy na łódź, z jedną ręką nienaturalnie zgiętą za plecami. Dysząc ciężko, zdołał przekręcić się na plecy. Podbiegłam do niego.

Z baru z zakąskami wyszedł mężczyzna w obciętych dżinsach i mijając mnie, spytał:

- Co mu się stało?

- Proszę zadzwonić po policję i karetkę - rzuciłam bez tchu. Przyklęknęłam przy Billym i pochyliłam głowę, żeby usłyszał, co do niego mówię.

- To ja - powiedziałam. - Spokojnie. Nic ci nie będzie. Za chwilę przyjedzie pomoc.

Billy spojrzął mi prosto w oczy. Jego twarz przybrała popielaty odcień, a wokół niego rozlewała się coraz większa kałuża jasnoczerwonej krwi. Wzięłam go za rękę. Ze wszystkich stron nadbiegli ludzie, wokół zgromadził się już niezły tłum. Słyszałam szmer szeptów za plecami.

Ktoś podał mi ręcznik plażowy.

- Może go pani przykryje?

Wzięłam ręcznik. Odsunęłam się nieco od Billy'ego i rozpięłam mu koszulę, żeby zobaczyć, gdzie jest ranny. Na brzuchu miał ranę postrzałową. Prawdopodobnie został trafiony od tyłu, ponieważ to, co miał na brzuchu, wyglądało na otwór wylotowy kuli - poszarpany, wypełniony krwią. Pocisk musiał uszkodzić tętnicę brzuszną. Z rany wypływały fragmenty jelit, szare i błyszczące od krwi. Czułam, że trzęsą mi się ręce, ale starałam się zachować kamienny wyraz twarzy. Billy obserwował mnie, jakby chciał odczytać wyrok z moich oczu. Złożyłam ręcznik i przytknęłam go do rany, aby zahamować upływ krwi.

Jęknął, oddychając chrapliwie. Jedną ręką trzymał się za pierś, palce drgały mu konwulsyjnie. Ponownie ujęłam jego dłoń i mocno ścisnęłam.

Przechylił głowę na bok i odezwał się:

- Co się stało z... moją nogą? W ogóle jej nie czuję. Spojrzałam w dół. Prawa nogawka spodni w okolicy kolana była

rozerwana, jakby zahaczyła o gwóźdź, a z rozdarcia wypływał strumień krwi, widać też było drobne odpryski kości.

- Nic takiego. Poskładają ją. Wszystko będzie dobrze. - Nie wspomniałam o krwi, która zaczęła już przeciekać przez ręcznik. Myślę, że dobrze o tym wiedział.

- Dostałem w bebechy.

- Tak, wiem. Spokojnie. Nie jest tak źle. Karetka już jedzie.

Jego dłoń była lodowato zimna, a palce białe jak śnieg. Powinnam była zadać mu kilka pytań, ale nie zrobiłam tego. Nie mogłam. Nie zamierzałam bawić się w upierdliwego reportera, który pyta umierającego, jak się czuje. Byliśmy tylko my dwoje i nic więcej nie miało teraz znaczenia.

Wpatrywałam się w jego twarz, przesyłając mu oczami słowa otuchy, modląc się, żeby przeżył. Z bliska jego włosy wyglądały na jeszcze bardziej kręcone. Drugą ręką odgarnęłam mu je z czoła. Nad górną wargą pojawiły się kropelki potu.

- Chyba... Czuję, że... - Konwulsyjnie ścisnął moją rękę, walcząc z kolejną falą bólu.

- Spokojnie. Nic ci nie będzie.

Oddychał coraz szybciej, ale walka była już przegrana. Widziałam, jak ucieka z niego życie, odpadają kolejne więzy łączące go z tym światem - krew, energia, strach, ból. Śmierć jest niczym gęsta mgła, która spowija człowieka jak welon. Billy Polo wydał ostatnie tchnienie, nie odrywając ode mnie spojrzenia. Jego dłoń zwiotczała, lecz mimo to nie zwolniłam uścisku.

ROZDZIAŁ 24

USIADŁAM na krawężniku koło baru z zakąskami i utkwiałam wzrok w jezdni. Właściciel przyniósł mi zimną puszkę coli, którą przycisnęłam do skroni. Czułam się chora, chociaż fizycznie nic mi nie dolegało. Na miejscu pojawił się porucznik Feldman; rozmawiał właśnie z technikami, którzy owijali dłonie Billy'ego w plastikowe torebki. Tuż obok stała karetka z otwartymi tylnymi drzwiami, które zasłaniały ciało przed gapiami. Nieopodal zaparkowały dwa radiowozy - trzaski dochodzące z radiotelefonów rozbrzmiewały zgrzytliwie na tle szmeru rozmów gromadzącego się coraz liczniej tłumu. Gwałtowna śmierć to widowiskowy sport i słyszałam, jak „kibice” wymieniają szeptem uwagi na temat prawdopodobnego przebiegu ostatniego etapu tej gry. Nie, nie byli bezwzględni, tylko ciekawi.

Oficerowie, Gutierrez i Pettigrew, przybyli piętnaście minut po tym, jak Billy przeniósł się na tamten świat, i natychmiast wezwali przez radio ekipę dochodzeniową. Wkrótce zapewne udadzą się na kemping, aby przekazać smutne wieści Coral i Lovelli. Powinnam chyba zrobić to osobiście, ale na razie nie czułam się na siłach. Nadal nie mogłam pogodzić się ze śmiercią Billy'ego. Wszystko zdarzyło się tak szybko i było tak nieodwołalnie ostateczne. Dlaczego nie można cofnąć taśmy i jeszcze raz odegrać ostatnich piętnastu minut, nadając im inne zakończenie. W tej wersji przyjechałabym wcześniej. Ostrzegłabym Billy'ego i nic by mu się nie stało. On by mi powiedział o swoich podejrzeniach, a ja postawiłabym mu piwo, tak jak obiecałam podczas naszego pierwszego spotkania w Hubie.

Podszedł do mnie Feldman. Gapiałam się na nogawki jego spodni, niezdolna podnieść głowy. Zapalił papierosa i przysiadł koło mnie na krawężniku. Siedziałam jak sparaliżowana, obejmując rękoma kolana. Prawie go nie znałam, ale to, co o nim wiedziałam, wystarczyło, bym zapalała do niego sympatią. Wyglądał jak mieszaniec Żyda z Indianinem: szeroka płaska twarz, wysokie, mocno zarysowane kości policzkowe i duży haczykowany nos. Był potężnym mężczyzną, miał jakieś czterdzieści pięć lat. Odezwał się głębokim basem:

- Chcesz, żebyś się tym zajął?

Już otwierałam usta, żeby odpowiedzieć, ale właśnie wtedy z oczu poleciały mi łzy. Staralam się je powstrzymać, nie chciałam płakać. Potrząsnęłam bezradnie głową, walcząc z przemożną chęcią, by pogrążyć się w rozpacz. Feldman podał mi chusteczkę, którą szybko przycisnęłam do oczu. Potem złożyłam ją w kostkę i uważnie obejrzałam. Biały, bawełniany prostokąt, z wyhaftowaną w rogu. lekko nad-prutą literą „F”.

- Przepraszam - wymamrotałam.

- Nic nie szkodzi. Nie spiesz się.

- Był takim dupkiem - rzekłam. - Chyba dlatego się rozkleiłam. Myślał, że jest taki sprytny i twardy. - Urwałam. - Nigdy nie wiadomo, kto wywrze wpływ na twoje życie, no nie?

- Nie powiedział, kto go postrzelił? Potrząsnęłam głową.

- Nie pytałam. Umierał i nie chciałam męczyć go niepotrzebnymi pytaniami.

Przepraszam.

- I tak nie wiadomo, czyby powiedział. Co to za sprawa? Zaczęłam mówić, wyrzucałam z siebie wszystko jak leci. Nie

przerywał mi, czekając cierpliwie, aż się pozbieram i zacznę mówić z sensem.

Uspokoiliam się w końcu i zaczęłam opowiadać po kolei, a Feldman notował to wszystko w mocno sponiewieranym czarnym not»sie.

Kiedy skończyłam, schował długopis i notes do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wstał, ja też automatycznie podniosłam się z krawężnika.

- I co teraz? - spytałam.

- Prawdę mówiąc, mam u siebie na biurku akta Daggetta - oznajmił. - Robb powiedział mi o twoich podejrzeniach odnośnie do jego śmierci, pomyślałem, że rzucę okiem na tę sprawę. Wczoraj wiecz-

rem mieliśmy w Biuffs podwójne morderstwo, typowe porachunki gangów. Skierowaliśmy tam większość sit, więc nie miałem czasu, by przejrzeć te akta. Najlepiej, gdybyś przyjechała na posterunek i osobiście porozmawiała z porucznikiem Dolanem.

- Najpierw muszę odwiedzić siostrę Billy'ego - powiedziałam. - To już drugi brat, którego straciła przez Daggetta.

- A nie sądzisz, że to ona mogła go zastrzelić? Potrząsnęłam głową.

- Nie jestem pewna, czy nie przyłożyła się do zabójstwa Daggetta, ale trudno mi sobie wyobrazić, by zabiła własnego brata. Chyba że umknęło mi coś bardzo ważnego, ale nie sądzę. Zresztą, Billy nie umawiałby się chyba z własną siostrą na mieście. Jestem prawie pewna, że chodzi o kogoś, kogo widział na pogrzebie.

- Przygotuj listę, to sprawdzimy tych ludzi. Skinęłam głową.

- Wstąpię też do biura i zrobię kopię swoich raportów. Może Lo-vella nie powiedziała mi wszystkiego, co wie. - Miło było zwalić całą tę robotę na niego. Zajmie się wszystkim: Essie, Lovellą i Smithami.

Podszedł do nas Pettigrew. Trzymał ostrożnie, za jeden róg, torebkę foliową, w której znajdowały się trzy mosiężne łuski po pociskach.

- Znaleźliśmy je koło tamtego pikapa. Odgradzimy cały parking taśmami, żeby chłopcy mogli go spokojnie przeszukać.

- Sprawdźcie pojemniki na śmieci - wtrąciłam. - Po zabójstwie Daggetta znalazłam tam tę spódnicę i buty.

Feldman skinął głową i obejrzał z bliska łuski.

- Trzydziestka dwójka - stwierdził.

Poczułam, jak zimny dreszcz przebiega mi po krzyżu. Nagle zaschło mi w ustach.

- Kilka dni temu skradziono mi z samochodu trzydziestkę dwójkę - powiedziałam. - Gutierrez powinna mieć raport.

- Sporo ludzi używa trzydziestki dwójki, ale weźmiemy to pod uwagę - rzekł Feldman, po czym zwrócił się do Pettigrewa. - Wyproś stąd tych wszystkich ludzi. Tylko zrób to grzecznie.

Pettigrew oddalił się, a Feldman spojrzał na mnie.

- Wszystko w porządku?

Skinęłam głową. Nagle zapragnęłam usiąść gdzieś na chwilę, ale wiedziałam, że jeśli to zrobię, to już się nie ruszę.

- Może przypomnisz sobie coś jeszcze, zanim pójdziesz?

Przymknęłam na moment oczy, próbując zebrać myśli. Znam odgłos wystrzału z pistoletu kaliber .32, a strzały, które usłyszałam na parkingu, brzmiały inaczej.

- Strzały - powiedziałam. - Brzmiały jakoś dziwnie. Głucho. Nie huk, bardziej pyknięcie.

- Tłumik?

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie strzelałam z tłumikiem. Widziałam to tylko w telewizji - odpowiedziałam z zakłopotaniem.

- Powiem w laboratorium, żeby obejrzelili uważnie te łuski, choć w Santa Teresa nie tak łatwo kupić tłumik - zauważył, zapisując coś w notesie.

- A katalogi wysyłkowe?

- No tak.

Fotograf policyjny robił zdjęcia miejsca zbrodni i zauważyłam, że Feldman obserwuje go z lekkim niepokojem.

- Muszę iść. Ten facet jest nowy, wolę się upewnić, że zrobi wszystko, jak trzeba.

Przeprosił mnie i ruszył w kierunku fotografa, stojącego nad ciałem Billy'ego. Natychmiast wdał się z nim w dyskusję i żywo gestykułując, wyjaśniał, jakie ujęcia należy zrobić.

Tymczasem podeszła do mnie Maria Gutierrez.

- Jedziemy na kemping. Gerry mówił, że pewnie zechcesz tam pojechać.

- Pojadę za wami swoim wozem. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak. Jeśli chcesz, spotkamy się na miejscu.

- Chcę sprawdzić, czy nie ma tu gdzieś samochodu Billy'ego. Nie zajmie mi to dużo czasu, ale nie czekajcie specjalnie na mnie.

- Dobrze - zgodziła się.

Popatrzyłam, jak wsiada do radiowozu i odjeżdża, po czym zabrałam się do sprawdzania parkingu. W pierwszej kolejności obejrzałam samochody zaparkowane koło przystani. Natknęłam się na chevroleta w trzecim rzędzie od wjazdu, stał wciśnięty między dwa mikrobusy. Za przednią szybą nadal tkwiła tabliczka z próbnym numerem rejestracyjnym. Szyby w oknach były opuszczone, więc uważając, żeby niczego nie dotknąć, wsunęłam głowę do środka. W aucie panował wręcz idealny porządek. Ani na przednich, ani na tylnych siedzeniach nic nie leżało. Okrążyłam wóz i zajrzałam przez okno od strony pasażera, szukając jakichś śladów na podłodze. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam,

czego szukać. Miałam nadzieję natrafić na jakąś wskazówkę, na coś, co pozwoli mi wpaść na jakiś trop. Tak czy inaczej, Feldman mógł spokojnie rozpocząć oficjalne dochodzenie i w głębi ducha byłam zadowolona, że mogę zwalić to na niego. Ale nie zamierzałam przerywać własnego śledztwa.

Poszłam do swojego volkswagena, zabrałam zieloną spódnicę i buty, wręczyłam je porucznikowi Feldmanowi i poinformowałam go, gdzie stoi samochód Billy'ego. Potem wsiadłam do swojego samochodu i odjechałam. Mimo że nie przyznałabym się do tego za skarby świata, wiedziałam, że specjalnie jadę tak wolno, by dać czas Pettigre-wowi i Gutierrez na przekazanie smutnych wieści. To musi być okropne przeżycie, gdy w drzwiach staje dwóch policjantów w mundurach, spoglądających ponuro i oznajmiających grobowym głosem, że zginął ktoś bliski.

Kiedy w końcu wjechałam na kemping, od razu się zorientowałam, że jest już po wszystkim. Ludzie, wiedzeni chyba siódmym zmysłem, gromadzili się w małych grupkach i rozmawiając cicho, spoglądali ukradkiem na przyczepę Coral. Drzwi do przyczepy były zamknięte i nie dochodziły zza nich żadne odgłosy. Natomiast moje pojawienie się wzbudziło zainteresowanie gapiów.

Od jednej z grupek odłączył się jakiś mężczyzna i podszedł do mnie.

- Jest pani z rodziny? Nie wiem, czy pani już słyszała, że stało się coś złego - oznajmił.

- Byłam już tutaj - odparłam. - Ona mnie zna. Policja odjechała?

- Tak, przed chwilą. Całkiem nieźle to załatwili... rozmawiali z nią i odjechali dopiero, gdy się upewnili, że nic jej nie będzie. Jestem Fritzy Roderick, kierownik kempingu - przedstawił się, wyciągając do mnie rękę.

- Kinsey Millhone - rzekłam. - Jest ktoś z nią?

- Chyba nie. Nic nie słyhać. Właśnie tak sobie tu rozmawiamy... no wie pani, znajomi i sąsiedzi... zastanawiamy się, czy ktoś nie powinien tam do niej pójść.

- A Lovella?

- Kto to jest? Jakaś krewna?

- Była dziewczyna Billy'ego - wyjaśniłam. - Pójdę i zobaczę, co się dzieje. Jeśli potrzebna jej będzie pomoc, powiem panu.

- Dobrze. Chętnie pomożemy.

Zapukałam do drzwi, niepewna, co zastanę. Coral otworzyła natychmiast i gdy zobaczyła, że to ja, wpuściła mnie do środka. Miała zaczerwienione oczy, ale ogólnie trzymała się nieźle. Usiadła na krześle w kuchni, wyjęła z paczki papierosa i zapaliła. Wdrapałam się na stołek barowy przy kontuarze.

- Przykro mi z powodu Billy'ego - zaczęłam. Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem.

- Wiedział, że umiera?

- Tak sędę. Gdy go znalazłam, był w szoku i tracił mnóstwo krwi. Chyba nie cierpiał, jeśli o to ci chodzi.

- Muszę powiedzieć mamie. Ci gliniarze, co tu byli, zaproponowali, że sami to zrobią, ale się nie zgodziłam. - Ostatnie słowa wychrypiała, nie wiem, czy to z powodu łez, czy przeziębienia. - Wiesz, on wiedział, że umrze młodo. Gdy widział na ulicy starych ludzi, schorowanych albo kalekich, zawsze mówił, że on tego nie dożyje. Błagałam go, żeby zaczął żyć po ludzku, ale on musiał robić wszystko po swojemu. - Urwała.

- Gdzie jest Lovella?

- Nie wiem - odparła Coral. - Gdy przyszłam, jej nie było.

- Coral, musisz powiedzieć mi o wszystkim. Muszę wiedzieć, o co tu naprawdę chodzi. Billy opowiedział mi trzy różne wersje.

- Dlaczego ja? Ja nic nie wiem.

- Ale ja wiem jeszcze mniej.

- To się na nic nie zda.

- Proszę, bądź ze mną szczerą. Billy'ego już nie ma. Nie musisz nikogo chronić. Bo przecież tak jest, prawda?

Utkwiła spojrzenie w podłodze, po czym westchnęła głośno i zgasiła papierosa. Wstała, odkręciła kran nad małym zlewem kuchennym i zaczęła sprzątać ze stołu.

Wycisnęła płyn do zmywania naczyń z butelki i zabrała się do pracy. Stawiając kolejne naczynia na suszarce, mówiła monotonnym głosem:

- "Kiedy Daggetta wsadzili do San Luis, Billy już tam był. Daggett nie miał pojęcia, że Doug był naszym bratem, więc Billy mógł udawać, że go lubi, i zaprzyjaźnił się z nim. Wiesz, oboje byliśmy na niego wściekli.

- Billy twierdził, że on i Doug nigdy nie byli ze sobą blisko.

- Gówno prawda. Powiedział ci tak, żebyś go nie podejrzewała. Cała nasza trójka była ze sobą bardzo związana.

- Więc od początku chcieliście go zabić? - spytałam.

- Nie wiem. Na pewno chcieliśmy, żeby zapłaci! za to, co zrobił. Chcieliśmy go ukarać. Uznaliśmy, że jak już znajdziemy do niego dojście, to coś się wymyśli. No a potem zmarł kumpel Daggetta z celi, a on zabrał tę forszę.

- I pomyśleliście sobie, że mógłby oddać ją wam w ramach rekompensaty?

- Ja nie. Wiedziałam, że nie zaznam spokoju, dopóki Daggett będzie chodził po tym świecie, ale nie potrafiłam zrobić tego sama. No wiesz, zabić go z zimną krwią. To Billy twierdził, że powinniśmy wziąć pieniądze. Skoro nie mógł nam wrócić Douga, to niech przynajmniej zapłaci. Billy od początku wiedział, że Daggett podwędził tę forszę, ale nie sądził, żeby uciekł z nią gdzieś daleko. Plan był taki: Daggett wychodzi z więzienia i pewien, że mu się upiekło, wraca do domu. Zaczyna szastać pieniędzmi, a wtedy Lovella dzwoni do Billy'ego i bierzemy się za niego.

- Więc ci źli faceci z San Luis nie istnieją?

- Nie. Jak tylko Billy się dowiedział, że Daggett jest na wolności, zdecydowaliśmy, że go obrobimy.

- A Lovella brała w tym udział?

Coral skinęła głową, nie przerywając zmywania.

- Wyszła za niego w kilka dni po jego powrocie z więzienia, co idealnie nam pasowało. Wymyśliliśmy sobie, że najpierw spróbuje go przekonać, by oddał pieniądze, a jeśli się nie uda, to mu je ukradnie...

- A ponieważ wam się nie powiodło, to...?

- Nie chcieliśmy nikogo zabijać - powiedziała. - Chcieliśmy tylko tych pieniędzy. Tyle że nie było czasu, Daggett szastał forszą. Zanim go namierzyliśmy, już zdążył wydać pięć tysięcy. Wiedzieliśmy, że jeśli się nie pośpieszymy, przepuści wszystko.

- Nic wiedzieliście, że chciał oddać pieniądze Tony'emu Gahanowi?

- Pewnie że nie - zaprotestowała energicznie. - Billy nie wierzył, kiedy mu o tym powiedziałaś. Myśleliśmy, że gdzieś zamelinował pieniądze i że ciągle mamy szansę je zdobyć.

Obserwowałam ją spod oka, ważąc w głowie to, co mi mówiła.

- Czyli wyswataliście Daggetta z Lovellą tylko po to, żeby wyrwać od niego dwadzieścia pięć tysięcy?

- Zgadza się - przyznała.

- Było was troje do podziału! Wychodzi zaledwie osiem kawałków na osobę.

- No i co z tego?
- Coral, przecież to tyle co nic!
- Gówno prawda! Ładne mi nic. Wiesz, co bym mogła zrobić z takim szmałem? A ty masz tyle? Masz osiem tysięcy?
- Nie.
- No właśnie. Więc nie mówi mi, że to nic.
- W porządku. Niech będzie, że to niezła fortuna - zgodziłam się. - Ale coś wam poszło nie tak, prawda?
- Na początku wszystko było w porządku. Billy zadzwonił do Dag-getta i powiedział mu, że faceci z San Luis wiedzą o kradzieży i chcą zwrotu pieniędzy. Powiedział też, że już go szukają, i wtedy Daggett pękł.
- A skąd wiedzieliście, że przyjedzie właśnie do Santa Teresa?
- Billy obiecał, że mu pomoże - odparła, wzruszając ramionami. -A kiedy Daggett przyjechał do miasta, Billy zaczął go urabiać, żeby sam nam podał forszę na widelcu. Powiedział mu, że może robić za pośrednika, że pogada z tymi facetami i pomoże mu się wypłatać.
- Tyle że wtedy pieniądze były już u mnie, prawda?
- Właśnie, ale myśmy o tym nie wiedzieli. Daggett zachowywał się tak, jakby nadal miał je przy sobie. Mówił nawet, że zwróci je przez Billy'ego, ale to był kit. Zresztą wtedy pił już bez przerwy.
- Więc on kantował was, a wy jego?
- Robił nas w konia! - skorygowała z oburzeniem. - Billy spotkał się z nim we wtorek wieczorem i Daggett zupełnie go skołował. Twierdził, że potrzebuje czasu, by zabrać pieniądze z miejsca, w którym je schował. Mówił, że będzie miał je w czwartek, no i Billy poszedł jeszcze raz do Huba, a wtedy Daggett powiedział, że potrzebny mu jeszcze jeden dzień. Billy mocno go docisnęła. Powiedział, że ci faceci są nieźle wkurzeni i jak to jeszcze potrwa, to zabiją Daggetta, nawet jeśli odda im w końcu forszę. Wtedy Daggett zrobił się naprawdę nerwowy i przysięgał, że w piątek wieczorem już na pewno przyniesie pieniądze.
- Tyle że właśnie wtedy zginął.
- No właśnie. W piątek pracowałam na nocnej zmianie i miałam go pilnować, dopóki nie pojawi się Billy. Billy twierdził, że specjalnie przyjdzie późno, aby go trochę zmiękczyć. A potem ani się obejrzałam, jak do Daggetta przysiadła się ta kobieta i zaczęła fundować mu drinki. Resztę znasz.
- Billy mówił mi, że wzięłaś jakieś lekarstwo na gripę i poszłaś na zaplecze, żeby się położyć. Naprawdę tak było?

- Nieźle mnie siekło - przyznała. - Gdy zobaczyłam, że Daggett wychodzi, od razu wiedziałam, że Billy się wścieknie. Nie poszłam za nimi, bo i bez tego czułam się podle.

- A Billy w końcu odkrył, kim była ta blondynka?

- Nie wiem. Chyba tak. Dziś rano nie było mnie w domu, więc nie wiem, czego się dowiedział.

- Posłuchaj. Muszę pójść na policję i powtórzyć wszystko, co mi powiedziałaś, pułkownikowi Dolanowi. Jeśli Lovella wróci, powiedz jej, że muszę z nią porozmawiać. To bardzo ważne. Proszę.

Coral odstawiła ostatnie naczynie na suszarkę, wodą napełniła szklanekę i polała je, splukując resztki mydlin. Potem odwróciła się od zlewu i spojrzała na mnie tak, że ciarki przeszły mi po plecach.

- Myślisz, że to ona zabiła Billy'ego?

- Nie wiem.

- A powiesz mi, jeżeli okaże się, że to ona?

- Coral, jeśli to prawda, to ona jest niebezpieczna. Nie chcę, żebyś się w to mieszała.

- Ale powiesz mi, dobrze?

- Tak - odparłam z wahaniem.

- Dziękuję.

ROZDZIAŁ 25

Po WYJŚCIU od Coral podeszłam do kierownika kempingu. Wręczyłam mu swoją wizytówkę i poprosiłam, aby zadzwonił do mnie, gdyby Lovella wróciła. W tej sprawie nie miałam wielkiego zaufania do Coral. Odjeżdżając, widziałam, że kierownik puka do drzwi jej przyczepy. Na posterunku policji spytałam oficera dyżurnego o porucznika Dolana i dowiedziałam się, że wraz z Feldmanem bierze udział w zebraniu wydziałowym. Oficer przywołał przez interkom Jonaha, który zjawił się w chwilę później i wpuścił mnie do zamkniętej części komisariatu. Oboje zachowywaliśmy się, jakby nic się nie zdarzyło - uprzejmie, lecz na dystans. Nikt, kto by na nas spojrział, nie domyśliłby się, że zaledwie kilka godzin temu, nadzy, jak nas Pan Bóg stworzył, kochaliśmy się w moim łóżku.

- Nie miałeś w domu przykrości? - zagadnęłam.

- Nie. Kiedy wróciłem, wszyscy jeszcze spali - odparł. - W laboratorium jest coś, co powinnaś zobaczyć. - Skręciliśmy w prawą odnogę korytarza. Jonah spojrział na mnie i dodał: - Zgodnie z twoją sugestią Feldman polecił chłopcom przeszukać kosze na śmieci. Chyba znaleźliśmy tłumik.

- Naprawdę? - spytałam ze zdumieniem.

Otworzył drzwi laboratorium i puścił mnie przodem. W pomieszczeniu nikogo nie było, ale zauważyłam rozłożoną na blacie zakrwawioną koszulę Billy^{go}, oznaczoną etykietą, a obok niej przedmiot, którego w pierwszej chwili nie rozpoznałam.

- Co to jest? - spytałam. - Czyżby to?! - Patrzyłam na dużą plastikową butelkę po jakimś napoju, pomalowaną na czarno, z małym otworem wywierconym w dnie.

- Wymienny tłumik. Wykonany w domu. Nieźle tłumi huk wystrzału. Usunięto z niego wszystkie odciski palców - wyjaśnił Jonah.

- Nie bardzo rozumiem, jak to działa.

- Kruger wyjaśniłby ci lepiej ode mnie, ale spróbuję. Butelka jest wypełniona ścinkami materiału. Spójrz, zazwyczaj okleja się lufę pistoletu taśmą i do niej, za pomocą jednocalowej gumowej opaski, przyczepia się butelkę. Butelki na napoje mają utwardzane denka, ale i tak to urządzenie nie wytrzymuje więcej niż kilkukrotnego użytku. Za każdym wystrzałem otwór się powiększa, a tym samym wzrasta hałas. Rzecz jasna, taki tłumik najlepiej sprawdza się na krótkich odległościach.

- Jezu, Jonah. Skąd ludzie o tym wiedzą? Nigdy nie słyszałam o takiej metodzie.

Wziął do ręki leżącą na blacie papierową broszurę i zaczął ją przerzucać tak, abym widziała jej zawartość. Na każdej stronie były schematy i fotografie, na których wyjaśniano, jak wykonać tłumik do pistoletu z przedmiotów codziennego użytku.

- Wziąłem ją ze sklepu z bronią w Los Angeles - wyjaśnił. - Powinnaś zobaczyć, co można zrobić z żaluzji albo nakrętek do butelek.

- Boże.

Porucznik Becker wsunął głowę w drzwi: - Telefon na pierwszej linii rzucił do Jonaha i zniknął. Jonah spojrział na telefon, aie rozmowa nie została przełączona do laboratorium.

- Poczekaj, odbiorę i zaraz wracam - powiedział do mnie.

- Dobra - mruknęłam.

Nachyliłam się nad tłumikiem, próbując sobie przypomnieć, gdzie widziałam podobny przedmiot. Przez otwór w dnie widać było skrawki niebieskiej tkaniny frotte, którą wypchano butelkę. Kiedy uświadomiłam sobie, skąd ją znam, coś zaskoczyło w mojej głowie i procesy myślowe ruszyły z kopyta. Już wiedziałam.

Wyprostowałam się, podeszłam do drzwi, ostrożnie wyjrzałam na korytarz, a gdy zobaczyłam, że jest pusty, ruszyłam do wyjścia i dalej do samochodu. Przed oczami stanęła mi jak żywa scena z domu Westfallów: Ramona wychodząca z piwnicy z naręczem niebieskich ręczników, które złożyła na krześle w kuchni, i butelka z napojem, którą nieomal upuściła, podając Tony'emu.

Wpadłam na chwilę do biura i wykręciłam numer Westfallów. Po czterech dzwonekach włączyła się automatyczna sekretarka: „Halo. Mó-

wi Ramona Westfall. Nie możemy podejść teraz do telefonu, ale jeśli zostawisz swój numer, nazwisko i krótką wiadomość, oddzwonimy najszybciej, jak to możliwe. Dziękuję". Po długim sygnale rozłączyłam się.

Rzuciłam okiem na zegarek. Była czwarta czterdzieści pięć. Nie miałam pojęcia, gdzie jest Ramona, ale wiedziałam, że o piątej Tony ma wizytę u terapeuty, kilka ulic stąd. Gdyby udało mi się go spotkać, mogłabym docisnąć go w sprawie alibi Ramony, bo on był jedynym świadkiem, który potwierdzał jej wersję. Jakim cudem jej się udało? Pewnie chłopak był pod wpływem leków przeciwbólowych, więc wymknęła się, gdy spał, a po powrocie tak przesunęła wskazówki zegara w kuchni, żeby mieć alibi na czas śmierci Daggetta. Przygotowała kanapki, pogawędziła z Tonym, czekając, aż zje, a gdy wrócił do łóżka, ponownie przestawiła zegar. A może wszystko odbyło się jeszcze prościej. Może najpierw ustawiła wskazówki zegarka Daggetta na drugą trzydzieści siedem, a potem go rozbiła. Mogła zabić go wcześniej i o drugiej być już w domu. Z drugiej strony, może Tony domyślił się, co zrobiła i widząc, że zacieśniam krąg poszukiwań, postanowił ją chronić. Mogłam jedynie żywić nadzieję, że jego udział w tej sprawie ograniczał się do krycia ciotki.

Wyszłam z biura i ruszyłam piechotą na State Street. Granger Building znajdował się zaledwie trzy przecznice dalej, więc nie było sensu jechać tam samochodem i tracić czasu na szukanie miejsca do parkowania. Niewykluczone, że Tony nadal wystawał pod salonem gier po drugiej stronie ulicy. Musiałam porozumieć się z nim, zanim zrobi to Ramona. Było mi nie na rękę, żeby wracał teraz do domu. Ona na pewno już się zorientowała, że robi się gorąco, zwłaszcza od chwili, gdy pojawiłam się w jej domu z tą spódnicą i pantoflami. Chciałam jedynie, by Tony potwierdził moje podejrzenia, a wtedy mogłabym spokojnie zadzwonić do Feldmana. Pomyślałam o Close, gdzie o tej porze, w zapadającym zmroku, robiło się mocno nieprzyjemnie. Wołałabym tam nie wracać.

Sprawdziłam salon gier. Tony siedział z tyłu, po prawej stronie. Grał na jakimś automacie i tak go to wciągnęło, że w ogóle mnie nie zauważył. Czekałam cierpliwie, obserwując ekran, na którym jakieś małe istotki ginęły w zastraszającym tempie. Chłopak nie grał zbyt dobrze i już zaczęłam się zastanawiać, czy mnie nie poszłoby lepiej. W tym momencie jednak stworzonka zastygła w bezruchu, a ze wszystkich stron ekranu siekły je serie z pistoletów, na które Tony nie

miał najwyraźniej żadnego wpływu. Podniósł głowę znad automatu i zauważył mnie:

- O, cześć!
- Muszę z tobą porozmawiać - oznajmiłam. Spojrzał na zegarek.
- Za pięć minut mam wizytę. Nie można z tym poczekać?
- Odprowadzę cię. Możemy porozmawiać po drodze.

Zebrał swoje rzeczy i wyszliśmy na ulicę. Po półmroku panującym w salonie przygaszone popołudniowe słońce zdawało się świecić oślepiającym blaskiem, choć znad oceanu powoli nadciągała mgła. Zapadał listopadowy wieczór. Przycisnęłam guzik na słupie przy przejściu dla pieszych i czekaliśmy, aż światło zmieni się na zielone.

- W zeszły piątek... tej nocy, kiedy zginął Daggett... może pamiętasz, gdzie był wtedy twój wujek?

- Pewnie. Wyjechał w delegację do Milwaukee.

- Czy bierzesz jakieś lekarstwa na te migreny?

- Tak. Tylenol z kodeiną. A jeśli wymiotuję, to także Compazine. A dlaczego pani pyta?

- Czy twoja ciotka mogła wyjść z domu, gdy spałeś?

- Nie. Nie wiem. Nie rozumiem, o co pani chodzi - odparł.

Byłam przekonana, że kłamie, ale nic nie powiedziałam. Tymczasem doszliśmy do Granger Building. Tony wyminął mnie i szybko wszedł do holu. Winda, która rano była zepsuta, teraz działała, natomiast ta dobra odmówiła posłuszeństwa: przez otwarte drzwi widać było otwarty szyb, a wokół nich ustawiono barierki i znak ostrzegający o niebezpieczeństwie.

Tony spojrzał na mnie groźnie.

- A co, mówiła, że wychodziła?

- Twierdzi, że przez cały czas była z tobą w domu.

- No więc?

- Tony, nie zgrywaj się. Jesteś jej jedynym alibi, Skoro byłeś oszołomiony lekami, skąd możesz wiedzieć, co robiła twoja ciotka?

Wcisnął przycisk windy.

Drzwi otworzyły się i weszliśmy do kabiny. Bez żadnych przeszkód dojechaliśmy na szóste piętro. Gdy wyszliśmy na korytarz, popatrzyłam ukradkiem na jego twarz. Widać było, że bije się z myślami, ale na razie nie chciałam go dociskać. Ruszyliśmy w kierunku gabinetu psychiatry.

- Czy na pewno nie chcesz mi niczego powiedzieć? - zagadnęłam.
- Nie - odpowiedział głosem łamiącym się z emocji. - Jest pani szalona, jeśli pani myśli, że ona ma z tym coś wspólnego!
- Może wyjaśnisz to porucznikowi Feldmanowi. To on prowadzi tę sprawę.
- Nie będę rozmawiał z glinami - oznajmił Tony i nacisnął klamkę gabinetu. Drzwi były zamknięte. - Cholera, nie ma go.

Na drzwiach przyczepiona była kartka. Wyciągnął rękę, jakby chciał ją zerwać, lecz zamiast tego wykonał nagły ruch, i nim się obejrzałam, leżałam jak długa, a Tony uciekał korytarzem. Dopadł windy, wałnął pięścią w przycisk, ale zmienił zdanie i pobiegł dalej. Podniosłam się i ruszyłam za nim. W chwilę później usłyszałam trzaśnięcie drzwi prowadzących na klatkę schodową. Przyspieszyłam kroku i wpadłam na schody zaledwie kilka sekund za chłopakiem, który tymczasem wbiegał na górę.

- Tony! Nie rób tego!

Sądząc po tupocie nóg na betonowych schodach i ciężkim oddechu, który słychać było na całej klatce, biegł bardzo szybko. Jak się okazało, mój poranny jogging w końcu na coś się przydał. Na korzyść Tony'ego przemawiała młodość, aleja też byłam w niezłej formie. Cisnęłam na bok torebkę i trzymając się poręczy, pobiegłam za nim, przeskakując po kilka schodków naraz. Jednocześnie spoglądałam w górę między szczeblami poręczy z nadzieją, że zdołam go dostrzec. Bez zatrzymywania się minął siódme piętro i popędził wyżej. Ileż pięter ma ten budynek?

- Tony, do cholery! Co ty robisz?

W oddali usłyszałam ponowne trzaśnięcie drzwiami. Spróbowałam jeszcze przyspieszyć.

Wpadłam na podest ostatniego piętra. Wyglądało na to, że mechanik naprawiający windę zostawił otwarte drzwi na poddasze i to właśnie ich trzask słyszałam na schodach. Chwyciłam za klamkę, niemalże pewna, że Tony zamknął je za sobą na klucz. Drzwi jednak ustąpiły, więc pchnęłam je lekko i stanęłam w progu. W pomieszczeniu panował półmrok; powietrze było nagrzane i suche. Po prawej stronie zauważyłam małe drzwiczki, za którymi umieszczono mechanizm sterujący windą: hamulce i układ napędowy. Zajrzałam tam ostrożnie, ale w środku nie było nikogo. Zamknęłam drzwiczki i rozejrzałam się po strychu. Dach znajdował się jakieś dwadzieścia stóp na-

de mną: skośnie ułożone, drewniane krokwie, schodzące się na środku pod kątem prostym.

Cisza. Wtem zauważyłam jasny kwadrat na podłodze i zadarłam głowę do góry. Z prawej strony, tuż przy ścianie przymocowana była drewniana drabinka. Prowadziła do uchylonej kłapy w dachu, przez którą wpadało światło. Jeszcze raz rozejrzałam się po pomieszczeniu. Zauważyłam tablicę rozdzielczą wspartą na jakichś skrzynkach. Uznałam, że jest to zapewne stara skrzynka oświetleniowa z kina mieszczącego się na parterze budynku. Nie wiadomo dlaczego, ktoś postawił obok figurkę ptaka z papier-mache... sójka, ubrana w namalowany farbami garnitur. Po lewej stronie stał rząd złożonych drewnianych krzeseł.

- Tony?

Z wahaniem położyłam dłoń na szczeblu drabinki. Równie dobrze chłopak mógł się ukrywać gdzieś tutaj i czekać, aż zacznę się wspinać, by spokojnie uciec tą samą drogą, którą się tu dostał. Weszłam do połowy drabiny i odwróciłam się, by jeszcze raz obejrzeć strych z góry. Żadnego ruchu, żadnych odgłosów. Nie mam lęku wysokości, ale wspinanie się po murach nie należy do moich ulubionych zajęć. Jednakże drabinka wyglądała na solidną, a poza tym skoro Tony'ego nie było na strychu, mógł się schować jedynie na dachu.

Po chwili dotarłam na górę, podciągnęłam się tak, by usiąść na ostatnim szczeblu, i wyjrzałam na zewnątrz. Kłapa otwierała się na małą niszę ukrytą za zdobionym frontonem; drugi identyczny znajdował się niżej, w połowie dachu. Z dołu wydawało się, że są tu jedynie dla dekoracji, ale teraz widziałam, że jeden z nich służy do zamaskowania przewodów wentylacyjnych. Wokół całego dachu biegło bardzo wąskie przejście, zabezpieczone jedynie niskim gzymsem. Ostry spadek dachu praktycznie uniemożliwiał bezpieczne zejście.

Obejrzałam się, mając nadzieję, że zobaczę Tony'ego przemykającego w kierunku schodów. Nigdzie ani śladu chłopaka, chyba że ukrył się pod drugą, niewidoczną z drabiny ścianą. Z duszą na ramieniu wstałam i wyszłam na dach. Stałam w wąskim przejściu, mając po jednej stronie niemalże pionową stromiznę dachu, a po drugiej kilkucentymetrową obmurówkę. Poruszałam się nie tyle wąskim przejściem, ile po metalowej rynnie, która skrzypiała i trzeszczała pod moim ciężarem. Ten dźwięk bardzo mi się nie podobał - lada chwila rynna mogła nie wytrzymać i runąć w dół wraz ze mną.

Odważyłam się spojrzeć osiem pięter w dół na ulicę, która wcale nie wydawała się taka odległa. O wiele niższe, dwupiętrowe budynki po drugiej stronie dawały złudne poczucie bliskości, choć z tej wysokości przechodnie wyglądali jak krasnoludki. Ruch na ulicy wyraźnie zelżał, zapaliły się latarnie. Po prawej stronie, kilkadziesiąt metrów dalej, jaśniała w zapadającym mroku podświetlana dzwonnica Axminster Theater. Łukowate nisze okien skąpane były w błękitno-złotej poświacie. Znajdowałam się około trzydziestu metrów nad poziomem ulicy. Gorączkowo próbowałam przypomnieć sobie wzór na prędkość spadającego obiektu: coś tam razy, coś tam na sekundę... nie pamiętałam dokładnie, ale znałam wynik tego równania: mokra plama na chodniku.

Zatrzymałam się i jeszcze raz krzyknęłam:

- Tony!

Kątem oka zarejestrowałam jakiś ruch i serce podeszło mi do gardła. Plastikowa torba Tony'ego rzucana podmuchami powietrza minęła mnie, wolno spływając na dół. Skąd? Zerknęłam za krawędź dachu. Z tego miejsca widziałam jedną z wnęk wyciętych w ścianie budynku, tuż poniżej rzeźbionego gzymsu. Z ulicy fryz biegnący dookoła kamienicy wyglądał na wykonany z marmuru, ale teraz poznałam, że był to rzeźbiony gips. Nisza znajdowała się jakiś metr niżej, z lewej strony. Z jej dolnej krawędzi wystawała kamienna muszla, która z kolei podtrzymywała coś na kształt rzeźbionej pochodni; całość, podobnie jak gzyms, była gipsowa. Tony siedział właśnie tam i patrzył wprost na mnie. Musiał przejść przez krawędź dachu i zsunąć się do niszy, w której usiadł, trzymając się kurczowo kamiennej pochodni. W torbie, którą wyrzucił, miał perukę. Założył ją teraz na głowę i popatrzył na mnie z dziwnym błyskiem w oku.

Miałam przed sobą blondynkę, która zabiła Daggetta.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w absolutnym milczeniu. Tony spoglądał na mnie wyzywająco, jak dziesięcioletek, któremu udało się przechytryć naiwną matkę, ale pod tą maską ukrywał się dzieciak, przerażony i modlący się o to, by ktoś pomógł mu uwolnić się od samego siebie.

Chwyciłam się krawędzi frontonu, żeby zachować równowagę.

- Przyjdiesz tu czy ja mam zejść do ciebie? - Starłam się, by zabrzmiało to bez troski, ale w ustach zaschło mi ze strachu.

- Za chwilę sam zejść.

- Może byśmy o tym porozmawiali? - zaproponowałam.

- Za późno - powiedział, uśmiechając się chytrze. - Mam już bilet na ten lot.
- A możesz poczekać, aż do ciebie zejść?
- Tylko żadnego przytrzymywania - zastrzegł się.
- W porządku.

Miałam dłonie mokre ze zdenerwowania, więc wytarłam je szybko o nogawki dżinsów. Przykucnęłam, odwracając się twarzą do dachu. Ostrożnie wysunęłam stopę poza krawędź budynku i zaczęłam opuszczać ją wzdłuż fryzu. Spojrzałam w dół, szukając jakiegoś punktu oparcia. Główny motyw reliefu stanowiły girlandy winogron, owoców ananasa i listków figowych.

- Jak ty to zrobiłeś? - spytałam.

- Nie zastanawiałem się, po prostu to zrobiłem. Nie musi pani schodzić. To i tak nic nie da.

- Nie chcę z tobą rozmawiać, zwisając z gzymsu - wystękałam przez zacisnięte zęby. Naturalnie łągałam w żywe oczy. Miałam nadzieję, że uda mi się zbliżyć do niego na tyle, by móc go złapać i przytrzymać. Uparcie usuwałam z myśli wizję szarpania się z nim tak wysoko nad ziemią. Przyjęłam w miarę stabilną pozycję, opierając czubki palców o wąski występ, utworzony przez rzeźbiony pęd dzikiego wina. Nisza znajdowała się zaledwie metr niżej. Na ziemi taki wyczyn nie sprawiłby mi najmniejszych trudności.

Czułam, że Tony mi się przygląda, ale nie odważyłam się spojrzeć w dół. Mocniej chwyciłam gzyms i zaczęłam opuszczać drugą nogę.

- Nie przekona mnie pani, bym zmienił zdanie - odezwał się Tony.
- Chcę tylko usłyszeć twoją wersję.
- Dobrze.

- Ale nie będziesz próbował mnie zabić, dobrze? - upewniłam się. ~ A po co miałbym to robić? Przecież nic mi pani nie zrobiła.

- Cieszę się, że to rozumiesz. Teraz czuję się naprawdę bezpieczna. - Usłyszałam cichy chichot dobiegający z dołu.

Kiedyś w gazecie widziałam zdjęcia faceta, który wspinał się na pionową skałę w tenisówkach. Wyszukiwał maleńkie szczeliny i opierał się na nich czubkami palców. Takie wyczyny zawsze wydawały mi się bezsensowne i niewykonalne, toteż nie zwracałam sobie głowy czytaniem całego artykułu. Już same zdjęcia wystarczały, by zlewał mnie zimny pot; zwłaszcza ujęcia robione z góry, na których w pełnej okazałości widać było niebotyczną przepaść, jaka dzieliła wspinającego

się szaleńca od ziemi. Może teraz, gdy mam okazję przekonać się na własnej skórze, jak to jest, w końcu zacznę darzyć należnym szacunkiem ludzi, którzy zajmują się tym na co dzień.

Zsunęłam prawą nogę dalej, do początku zagłębienia niszy. Trochę niżej po prawej stronie znalazłam jakiś wystający punkt, którego mogłam się uchwycić. Namacałam go dłonią - chyba ananas. Zawierzałam swoje życie nędzemu owocowi! Musiałam chyba oszaleć!

Kiedy w końcu postawiłam stopę we wnęce, najgorsze miałam za sobą. Ugięłam kolana, żeby odwrócić się przodem do ulicy, i powolutku zsunęłam się do środka niszy. Tony, jak zawsze szarmancki, pomógł mi, podtrzymując za rękę, dopóki nie usiadłam obok niego. Wcale nie jestem taka odważna, naprawdę. Po prostu nie chciałam patrzeć, jak na moich oczach popełnia samobójstwo. Naśladując Tony'ego, chwyciłam się ręką pochodni, dla pewności podtrzymując nadgarstek drugą dłonią. Czułam, jak pot spływa po mnie strumieniami.

- Nienawidzę tego - oświadczyłam. Brakowało mi tchu, nie tyle ze zmęczenia, ile ze strachu.

- Nie jest tak źle. Wystarczy nie patrzeć w dół.

Oczywiście natychmiast to zrobiłam, nie mogłam się opanować. Miałam nadzieję, że ktoś nas zauważy - w filmach zawsze tak się dzieje. Przyjeżdżają gliny, straż pożarna z siatkami i długą drabiną; ktoś przekonuje samobójcę, by zrezygnował ze swoich zamiarów. Urodziłam się pod znakiem Byka, który należy do trygonu ziemskiego. Nigdy nie ciągnęło mnie do wody, ognia czy powietrza. Jestem gorącą po-pleczniczką grawitacji, ziemia przywołuje mnie gromkim głosem, gdy tylko oderwę od niej stopy. To samo dzieje się, gdy znajdę się w jakimś starym hotelu, powiedzmy na dwudziestym drugim piętrze. Otwieram okno i najchętniej bym wyskoczyła.

- Boże. To naprawdę fatalny pomysł-jęknęłam.

- Może dla pani. Dla mnie nie.

Gorączkowo próbowałam przypomnieć sobie procedurę postępowania z potencjalnymi samobójcami. Nie pamiętam, żeby mówiono coś o zwisaniu na gzymsie budynku, ale było już za późno. Wobec tego zagadnęłam:

- No i co? Powiesz mi, o co tu chodzi?

- Nie ma wiele do opowiadania. Daggett zadzwonił do nas w poniedziałek. Ciocia Ramona zapisała jego numer, więc zatelefonowałam do niego. Od dawna marzyłem, żeby go zabić. Nie mogłem dłużej

czekać. Co noc przed snem wyobrażałem sobie, jak to robię. Chciałem owinać mu metalową pętlę wokół szyi i zaciskać, aż zmiażdży mu krtań i język wyjdzie na wierzch. To nie trwa tak długo. Zapomniałem, jak to się nazywa...

- Garota - podpowiedziałam.

- Taak. Podoba! mi się ten pomysł, ale potem doszedłem do wniosku, że lepiej, aby to wyglądało na wypadek, bo wtedy nikt mnie nie złapie,

- Dlaczego Daggett do was zadzwonił?

- Nie wiem - odparł niepewnie. - Był pijany i bełkotał. Mówił, że jest mu bardzo przykro i chciałby mi jakoś wynagrodzić to, co zrobił. Powiedziałem: „Dobrze. Może spotkamy się i porozmawiamy”, a on na to: „To jest dla mnie bardzo ważne, synu”. - Tony opowiadał z podziałem na role, nieźle imitując skrzekliwy falset Daggetta. - Więc powiedziałem mu, żebyśmy spotkali się następnego dnia wieczorem w tym barze, z którego dzwonił, w Hubie. Miałem niewiele czasu, żeby się przygotować.

- Czy ta spódnica należała do Ramony?

- Nie. Kupiłem ją za dolca w sklepie Armii Zbawienia. Do tego sweter za pięćdziesiąt centów i buty za dwa dolary.

- A co zrobiłeś potem ze swetrem?

- Wyrzuciłem go do innego kosza, ulicę dalej. Myślałem, że wywiozą je na wysypisko, zanim ktokolwiek nabierze podejrzeń.

- A peruka?

- Ciotka kupiła ją wiele lat temu. Nawet nie zauważyła, że ją wziąłem.

- Dlaczego jej też się nie pozbyłeś?

- Nie wiem. Chciałem schować ją z powrotem do szafy, mogła się jeszcze przydać. Potem przypomniałem sobie, że Billy mnie przecież rozpoznał. - Nagle stracił wątek i zamilkł. Po chwili dodał: - Gdyby tam był, powiedziałbym mu o wszystkim. Nieważne, ta peruka jest zrobiona z prawdziwych włosów. Sporo kosztuje.

- I taki ładny kolor - wtrąciłam. A co niby miałam powiedzieć? Tony wyczuł absurdalność tego stwierdzenia i spojrzał na mnie baczny wzrokiem.

- Chce mnie pani rozśmieszyć, tak?

- No pewnie, że tak! - warknęłam. - Nie przyszłam tu po to, żeby się z tobą kłócić.

Wzruszył ramionami, uśmiechając się pod nosem.

- I co, spotkałeś się z nim we wtorek?

- Niezupełnie. Poszedłem tam. Miałem w głowie cały plan, tyle że jak wszedłem do baru, Daggett rozmawiał z jakimś facetem. Później okazało się, że to był Billy Polo, ale wtedy nie wiedziałem. Billy siedział plecami do drzwi, za parawanem, więc dopiero jak podszedłem do Daggetta, zobaczyłem, że ma towarzystwo. Od razu się zmyłem, ale Billy zdążył mnie zauważyć. Nie przejmowałem się tym. Myślałem, że więcej go nie spotkam. Trochę pokręciłem się po barze, ale oni gadali w najlepsze. Billy nachylił się nad stolikiem i coś mu tłumaczył. Zrozumiałem, że nieprędko skończą, więc zrezygnowałem. Złapałem stopa i wróciłem do domu.

- Tej samej nocy miałeś atak migreny, prawda?

- Tak. To znaczy, czasami udaję, a czasami naprawdę choruję. Muszę to robić zgodnie z jakąś regułą, żeby się nie połapali, rozumie pani? W ten sposób mam alibi i mogę wychodzić z domu, kiedy chcę.

- Czym pojechałeś do Huba? Taksówką?

- Rowerem. Tej nocy, kiedy go zabiłem, pojechałem rowerem do portu. Zostawiłem go tam, zadzwoniłem z budki po taksówkę i pojechałem nią do Huba.

- Skąd wiedziałeś, że zastaniesz tam Daggetta?

- Bo zadzwonił i jeszcze raz umówiliśmy się na spotkanie.

- I nie skojarzył, że widział cię w barze we wtorek?

- A skąd miał wiedzieć, że to ja? Ostatni raz widział mnie w trakcie procesu. Wtedy byłem młodszy i o wiele grubszy niż teraz. Poza tym, pomyślałem sobie, nawet jeśli się domyślił, to i tak to zrobię... zabiję sukinsyna, a martwy nikomu nic nie powie, no nie?

- W takim razie, co poszło nie tak? Zmarszczył brwi.

- Nie mam pojęcia. Chociaż nie - wiem. Plan był idealny, ale tu chodzi o coś innego.

Spotkaliśmy się wzrokiem. Wyglądał tak dziecinnie, a jasna peruka jeszcze łagodziła jego nie w pełni ukształtowane rysy. Zrozumiałam, że z tą gładką cerą, nieśmiałym uśmiechem, pełnymi ustami i szczupłą figurą, mógł spokojnie udawać kobietę. Spojrzał w dół i przez moment myślałam, że skoczy.

- Gdy miałem osiem lat, rodzice kupili mi parkę myszek - odezwał się nagle. - Były naprawdę słodkie. Trzymałem je w klatce, miały tam

wszystko, specjalne naczynko na wodę, różne rzeczy do zabawy. Mama myślała, że nie potrafię się nimi zająć, ale nie miała racji. Dno klatki wysypałem ścinkami papieru, żeby miały legowisko. No, mniejsza z tym, potem urodziły się młode. Były takie malutkie - powiedział, wysuwając mały palec dłoni i pokazując na paznokiec. - Zupełnie łyse. Jak miniatury dorosłych. W któryś weekend wyjechaliśmy za miasto. Kiedy wróciliśmy, okazało się, że kot dobrał się do klatki. Zrzucił ją z biurka i tak dalej. Wszystkie myszy zniknęły, pewnie je zjadł. Ocalała tylko jedna, była przykryta tymi ścinkami papieru. Podczas upadku woda rozlała się, papier namókł i ta mała chyba dostała zapalenia płuc. Dyszała ciężko, nie mogła złapać tchu. Próbowałem ją ratować, trzymałem w cieple, ale z godziny na godzinę było coraz gorzej, więc w końcu stwierdziłem, że lepiej będzie, no wie pani... skończyć z nią. Żeby nie cierpiała.

Pochylił się i zaczął machać nogami.

- Nie rób tego - mruknęłam ostrzegawczo. - Skończ opowiadać. Chcę wiedzieć, co było potem.

Spojrzał na mnie i odezwał się łagodnym tonem:

- Wrzuciłem ją do ubikacji. Nie mógłbym jej udusić czy rozdeptać, więc pomyślałem, że tak będzie najlepiej. I tak była na wykończeniu, pomyślałem, że robię dobrze, że nie będzie się już męczyła. Ale właśnie wtedy ona zaczęła się bronić. Mała różowa istotka wpadła w panikę, walczyła ze wszystkich sił... - Urwał, przymykając powieki.

Z Daggettem było tak samo... ciągle mam przed oczami to, jak na mnie patrzył. Przez cały dzień widzę jego twarz. On wiedział, co chcę zrobić. I dobrze, wtedy chciałem, żeby wiedział. Chciałem, żeby mnie poznał i żeby wiedział, że jego życie nie jest warte złamanego grosza. Ale nie myślałem, że będzie się bronił. Był pijakiem, śmieciem, zabił tylu ludzi. Powinien był umrzeć i powinien się z tego cieszyć. To tak jakbym pomagał mu uwolnić się od cierpienia, no nie? Więc dlaczego nie chciał pozwolić mi, żebym to zrobił? Zamilkł, po czym westchnął głęboko.

- W każdym razie, tak to właśnie było. Od tamtej chwili nie mogę spać, a gdy zasnę, ciągle śni mi się to samo. Czuję się podle.

- A co z Billym? Rozumiem, że domyślił się wszystkiego, gdy zobaczył cię na pogrzebie.

- Tak. To był idiotyzm. Daggett w ogóle go nie obchodził, ale ubzdurał sobie, że zapłacę mu, żeby trzymał głę na kłódkę. Oddałbym mu

całą forszę, ale nie wierzyłem w to, co opowiadał. Trzeba było go widzieć - taki pewny siebie, te wszystkie groźby, które rzucał... Wiedziałem, że prędzej czy później nie wytrzyma i wygada się, więc musiałem coś z tym zrobić.

Krawędź niszy zaczęła wbijać mi się w tyłek. Tak kurczowo trzymałam się pochodni, że nie czułam już ręki, ale nie miałam odwagi poluzować uścisku. Nie miałam najmniejszego pojęcia, jak się stąd wydostaniemy, ale wiedziałam, że nie wolno przestać mówić.

- Kiedyś zabiłam człowieka - zaczęłam. Myślałam, że będę w stanie opowiedzieć mu tę historię, ale okazało się, że nie mogę. Zacisnęłam mocno zęby, jakby to mogło sprawić, że emocje wrócą na swoje miejsce. Nie miałam pojęcia, że po tak długim czasie ten temat nadal będzie mi sprawiać taki ból.

- Celowo?

Potrząsnęłam przecząco głową.

- W obronie własnej, ale co to za różnica? Śmierć to śmierć. Uśmiechnął się chłopięco.

- Zawsze może zrobić pani to, co ja.

- Nawet o tym nie mów. Nie skoczę i nie chcę, żebyś ty to zrobił. Masz piętnaście lat i wszystko przed tobą.

- Nie sądzę.

- Twoi rodzice mają pieniądze. Stać ich na najlepszego prawnika w tym kraju.

- Moi rodzice nie żyją.

- No tak. Miałam na myśli Westfallów.

- Kinsey, zamordowałem dwoje ludzi, a ponieważ zrobiłem to z premedytacją, zostanę oskarżony o zabójstwo pierwszego stopnia. Jakim cudem wykręcę się od szubienicy?

- Tak jak robi to połowa morderców w tym kraju - oświadczyłam beztrąsko. - Do diabła, skoro Ted Bundy nadal żyje, dlaczego z tobą miałoby być inaczej?

- Kto to jest Ted Bundy?

- Nieważne. Ktoś, kto zrobił coś o wiele gorszego niż ty. Pomyślał przez chwilę, po czym się odezwał:

- To nie przejdzie. Nie mam żadnego wytłumaczenia na to, co zrobiłem.

- Wymyślisz coś!

- Może pani coś dla mnie zrobić?

- Pewnie. O co chodzi?

- Niech pani pożegna ode mnie ciocię, dobrze? Chciałem napisać do niej list, ale nie zdążyłem.

- Cholera, Tony! Nie rób tego. Ona już tyle wycierpiała.

- Wiem rzekł - ale ma wujka Ferrina, poradzą sobie. I tak tylko im przeszkadzałem.

- Ach, tak. Widzę, że wszystko sobie obmyśliłeś.

- Owszem. Czytałem sporo na ten temat i wiem, że to nic wielkiego. Codziennie jakiś dzieciak popełnia samobójstwo.

Zwiesiłam bezradnie głowę, nie miałam pojęcia, co powinnam powiedzieć.

- Tony, posłuchaj - zaczęłam z wahaniem. - To, co chcesz zrobić, jest idiotyczne i bezsensowne. Wiesz, jak strasznie się czułam, będąc w twoim wieku? Ciągle płakałam, uważałam, że jestem do niczego. Byłam brzydka, chuda jak szczapa, rozpaczliwie samotna i nieszczęśliwa. Myślałam, że tak będzie już całe życie, ale wyszłam z tego. Życie nie jest łatwe i boli jak cholera. No i co z tego? Poradzisz sobie. Jesteś twardy, przetrwasz ciężkie czasy, a potem będzie dobrze. Uwierz mi, proszę!

Przechylił głowę i spojrzał na mnie uważnie.

- Nie w moim przypadku. Zaszedłem za daleko. Już dłużej nie mogę, nie dam rady.

- Tony, każdy z nas myśli czasami, że już dłużej nie wytrzyma, ale potem znowu jest lepiej. Szczęście, jak wszystko inne, nie trwa bez końca - pojawia się i odchodzi. Musisz przeczekać złą passę. Masz bliskie osoby, które cię kochają i pomogą ci.

Potrząsnął głową.

- Nie mogę. Zawarłem ze sobą układ i muszę go dotrzymać. Ona to zrozumie.

Czułam, że tracę cierpliwość.

- Mam jej to powiedzieć, tak? Mam poinformować ją, że skoczyłeś bez spadochronu, bo zawarłeś ze sobą jakąś pieprzoną umowę? - Widziałam czającą się w jego oczach niepewność i ciągnęłam pospiesznie, nieco łagodniejszym tonem. - Co jej powiem? Ze siedziałam tu z tobą, a mimo to nie zdołałam przekonać cię. Byś zmienił zdanie? Nie mogę ci na to pozwolić. Złamiesz jej serce.

Wpatrywał się tępym wzrokiem w dół. Na jego twarzy pojawił się rumieniec, chłopięca wersja łez.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego. Proszę jej powiedzieć, że była wspaniała i że to moja wina. Bardzo ją kocham, ale to moje życie.

Zamilkłam, gorączkowo myśląc nad kolejnym argumentem. Nagle jego twarz rozjaśniła się i podnosząc wskazujący palec, powiedział:

- Prawie zapomniałem. Mam dla pani prezent. - Zaczął się wiercić i przechylać, aż instynktownie wyciągnęłam ręce, by go złapać. Widząc to, roześmiał się. - Spokojnie. Chcę wyciągnąć coś z kieszeni.

Spojrzałam w dół, by zobaczyć, co trzyma w dłoni. Była to moja trzydziestka dwójka. Trzymał broń tak, jakby oczekiwał, że ją wezmę, ale natychmiast zorientował się, że za nic w świecie nie oderwę dłoni od rzeźby.

- W porządku. Położę tutaj - powiedział uprzejmie. Położył pistolet w niszy, za podstawą kamiennej pochodni, którą tak kurczowo ściszałam.

- Skąd masz tę broń? - „Rozmawiaj z nim! No, mów coś!”

- Zdobyłem ją tak samo, jak wszystko inne. Użyłem głowy. Dała pani ciotce Ramonie swoją wizytówkę z domowym adresem, więc pojechałem do pani mieszkania na rowerze i czekałem, aż wróci pani do domu. Z początku chciałem przedstawić się i udawać grzecznego chłopczyka. No wie pani, dobrze wychowany, szarmancki, ulizane włoski i tak dalej. Takie niewiniątko. Nie byłem pewien, ile pani wie, i pomyślałem sobie, że może uda mi się panią zbajerować. Zobaczyłem pani samochód - prawie się pani zatrzymała, a potem znienacka odjechała. Pedalowałem jak wściekły, żeby panią dogonić. Zaparkowała pani przy plaży i uznałem, że to świetna okazja, żeby przejrzeć pani rzeczy.

- To tym zabiłeś Billy'ego?

- Tak. Ten pistolet jest bardzo poręczny i szybki.

- A skąd wiedziałeś, jak zrobić tłumik?

- Powiedział mi taki jeden ze szkoły Umiem też zrobić bombę z kawałka rury - dodał, po czym westchnął głęboko. - Muszę się streszczać. Zostało niedużo czasu.

Odważyłam się spojrzeć w dół. Tu na górze było już ciemno, ale ulice tonęły w światłach, a witryna salonu gier jaśniała niczym kinowe foyer. Dwoje przechodniów po drugiej stronie zauważyło nas, ale sądząc z ich zachowania, nie bardzo wiedzieli, co o tym myśleć. Kaskaderzy? A może ktoś kręci film? Zerknęłam na Tony^go. Najwyraźniej

nie zwrócił na nich uwagi. Moje serce znowu rozpoczęło szalony galop, który niemalże rozrywał mi piersi i wyciskał kolejne strużki potu.

- Jestem trochę zmęczona - zagadnęłam ostrożnie. - Chyba wrócę na górę, ale będziesz musiał mi pomóc, dobrze?

- Pewnie - przytaknął ochoczo, po czym nagle zmienił ton głosu i spytał z lekkim przestraszaniem: - Ale to nie żaden podstęp, prawda?

- Nie - odparłam drżącym głosem, chociaż niemalże czułam, jak kłamstwo, wypychane na siłę z gardła, rani mi język. Zawsze tak łatwo mi to przychodziło, łągałam gładko i przekonująco, więc dlaczego akurat tym razem miałam opory? Zauważyłam, że Tony wykonuje jakiś ruch, szybko wyciągnęłam rękę i chwyciłam z całych sił jego dłoń. On jednak zrobił szybki unik i poczułam, że w dłoni zostaje mi pustka. Zamachnęłam się jeszcze raz, ale było już za późno. Jednym ruchem odepchnął się od ściany, przez moment zawisł w powietrzu niczym liść, po czym runął w dół, znikając mi z oczu. Nie spojrzałam, gdzie upadł.

Wydawało mi się, że słyszę jęk syren, ale ten odgłos wydobywał się z moich ust.

WYSTAWIŁAM Barbarze Daggett rachunek na tysiąc czterdzieści dolarów, który zapłaciła odwrotną pocztą. Jest już prawie Boże Narodzenie, a ja od sześciu tygodni cierpię na bezsenność. Sporo myślałam o Daggetcie i doszłam do wniosku, że w jednym nie miałam racji. Teraz wiem, że był w pełni świadom, co go czeka. Z daleka można było wziąć Tony'ego za kobietę, ale z bliska wyglądał dokładnie na tego, kim był... młody chłopak, przebrany za dziewczynę, bardzo inteligentny jak na swój wiek, lecz naiwny niczym dziecko. Nie sądzę, by Daggett dał się nabrać. Natomiast nie potrafię powiedzieć, dlaczego grał w tę grę do samego końca. Jeśli uwierzył w opowieści Billy'ego, pewnie myślał, że i tak zginie. A może uznał, że jest winien Tony'emu tę ostatnią ofiarę. Nigdy nie dowiem się prawdy, ale wydaje mi się, że prawdziwa jest ta druga wersja. Niektóre długi zaciągnięte na tym świecie są tak olbrzymie, że spłacić można je tylko własnym życiem. Być może w tej sprawie rachunki zostały w końcu wyrównane, a jedynym dłużnikiem jestem... ja.

Wasza oddana Kinsey Millhone